M.B. im. L. W. w Łodzi

- Noc, która wstrząsnęła Polską str. 4
- Jak zabić żonę? — str. 10
- Mnich w błogosławionym stanie str. 11
- Ostatni lubraniecki Żyd str. 1 i 5
- Przygody rodaków w Budapeszcie str. 6
- Czym jest dziś „Drewbud"? str. 7

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

3892-A

NR 1 (1658) ROK XXXIII 7 STYCZNIA 1990 ROKU CENA 400 ZŁ

Rys. Dariusz Romanowicz

Rys. Dariusz Romanowicz

RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH": — Konkurencja może wyjść nam na dobre!

Mity i rzeczywistość

Rozmowa z ALINĄ TEPLI — wiceprezes Zarządu Głównego RSW „Prasa — Książka — Ruch" w Warszawie.

— Stanowisko, jakie zajmuje Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" wobec pojawiających się licznych, nierzadko bardzo ostrych ataków, przypomina zachowanie się kogoś „winnego", co pani na to?

— Rzeczywiście ostatnio pisze się o nas dużo, niestety na ogół bardzo jednostronnie, a nierzadko wręcz tendencyjnie. Widać służy to jakiemuś ogólniejszemu politycznemu celowi, a RSW bywa niejednokrotnie tematem zastępczym.

Nie reagujemy na wszystkie te publikacje-ataki nie z poczucia winy, ale dlatego, że dominujący w nich styl wymuszałby nie kończące się pasma sprostowań, wyjaśnień, polemik. Robimy to więc jedynie wybiórczo, choć myślę, że zbyt rzadko. To się jednak niebawem zmieni, gdyż od niedawna mamy rzecznika RSW, znanego dziennikarza i publicystę red. Franciszka Lewickiego, który będzie czuwał nad tym, żeby w środkach komunikacji masowej obraz naszej instytucji i jej problemów prezentowany był rzetelnie, na podstawie liczb i faktów, a nie mitów i zwykłych pomówień.

Nasza ograniczona aktywność w reakcjach na te publikacje bierze się również, a może przede wszystkim stąd, że obecnie musimy stawić czoła bardzo trudnym, piętrzącym się problemom i zagrożeniom, przed którymi staje cały ruch wydawniczy. Urynkowienie papieru, ogromny wzrost pozostałych kosztów wydawania prasy i książki przenoszony jest z konieczności na ich ceny. Grozi to poważnym obniżeniem czytelnictwa i zasięgu oddziaływania słowa drukowanego.

— Powołanie rzecznika nie jest zapewne jedyną zmianą w funkcjonowaniu RSW. Na czym będą one polegały?

— Wszystkie dokonywane zmiany polegają na przystosowaniu RSW, zasad jej funkcjonowania do nowej sytuacji politycznej, społecznej, a także — co jest szczególnie ważne, a zarazem bardzo trudne — do nowych warunków ekonomicznych, które dopiero powstają wraz z ogromnymi zmianami w całym systemie gospodarczym państwa. Gazeta, książka, czasopismo — jakkolwiek by to nie brzmiało jest towarem i podlega grze warunków rynkowych. Jednym z głównych kierunków planowanych przeobrażeń RSW są zmiany organizacyjne i rozwiązania systemowe zmierzające do ekonomicznej samodzielności wszystkich ogniw i podmiotów gospodarczych działających w ramach naszej firmy. Proces ten został już zapoczątkowany, ale szerokie i kompleksowe zmiany w tej dziedzinie nastąpią w najbliższym czasie.

Przewiduje się w nich między innymi radykalne zwiększenie samodzielności redakcji gazet i czasopism. Kierownictwa poszczególnych pism zostaną już wkrótce wyposażone w szerokie uprawnienia do samodzielnego podejmowania decyzji we wszystkich sprawach związanych z ich działalnością. Dotyczyć to będzie także decyzji co do sposobu wykorzystania i wydatkowania przeznaczonych im pieniędzy oraz pozyskiwania nowych dochodów. Słowem stawiamy na pełną samodzielność redakcji w podejmowaniu decyzji, ale i na odpowiedzialność za te decyzje. Jeśli do tego dodać przygotowywane rozwiązanie bezpośredniego, materialnego zainteresowania zespołów redakcyjnych racjonalnym kształtowaniem swoich kosztów i zwiększaniem dochodów, sądzę, że powinno to przynieść dobre wyniki.

— W pewnych kręgach utrzymuje się, że Zarząd Główny RSW zakłada swoim przedsiębiorstwom „kaganiec", gdyż jest sterowany przez określone siły polityczne.

— Są to opinie lansowane głównie przez tych, którym wygodnie jest skryć się za parawanem wszechmocnej „centrali". Prawda natomiast wygląda tak, że w ostatnich latach przekazaliśmy przedsiębiorstwom wiele uprawnień decyzyjnych. Faktem natomiast jest, że

3

Na jednej ziemi

Tablice

HANNA KRALL

1.

Włodzimierz Wincławski, socjolog, prawnuk murarza, który zbudował w Lubrańcu kościół w stylu neogotyckim (część muru pochodzi z końca piętnastego wieku), wnuk murarza, który budował Chicago, były prorektor uniwersytetu toruńskiego, wraz z siedemdziesięcioma innymi rektorami i dziekanami zdjęty ze stanowiska w minionym okresie, napisał list rozpoczynający się słowami: *„Pragnę podzielić się z Panem myślą, która dręczy mnie jak wyrzut sumienia od kilku lat".*

Człowiekiem, z którym Włodzimierz Wincławski pragnął podzielić się myślą, był lekarz, dr Władysław Hofman, wieloletni radny miejski, jeden z bardziej szanowanych obywateli miasta Lubrańca. Sprawa, dręcząca Włodzimierza Wincławskiego, dotyczyła tablicy.

Chodziło o tablicę dużą, najpewniej czarną, z granitu, którą należałoby umieścić na frontonie odbudowanej synagogi. Tablica miałaby przypominać, że w Lubrańcu byli Żydzi.

2.

Włodzimierz Wincławski, zajmując się socjologią wsi, historią socjologii itd. i przeglądając archiwa, stwierdził, że Żydzi przybyli do Lubrańca w początkach osiemnastego wieku.

Pierwsi żydowscy przybysze byli sukiennikami. Podobnie jak pierwsi osadnicy niemieccy, którzy pojawili się w Lubrańcu w wieku siedemnastym. Konkurencji między nimi nie było — rynek był chłonny, ponieważ wojsko szyło sobie z sukna mundury. Po 1830 roku rynek się skończył. Po powstaniu listopadowym skończyło się polskie wojsko i ani żydowskie, ani niemieckie sukno nie było już Polakom potrzebne.

Żydzi zajęli się handlem, młynarstwem i innymi rzemiosłami, większość Niemców wzięła się za murowanie. (Dlatego właśnie pradziadek Włodzimierza Wincławskiego, wywodzący się z osadników niemieckich, nazwiskiem Schultz — Szulcami stali się później, po przejściu na katolicyzm — mógł budować kościół, a dziadek Chicago).

3.

Dr Hofman odpisał Włodzimierzowi Wincławskiemu natychmiast (*„Jestem jak najbardziej za umieszczeniem tablicy, upamiętniającej ten naród, który z nami żył i wspólnie tworzył naszą kulturę..."*) i przekazał list radnemu Miejskiej Rady Narodowej Arnoldowi Szczerbiakowi.

Arnold Szczerbiak — wspomina doktor — opowiedział o propozycji Włodzimierza Wincławskiego członkom Prezydium. Wkrótce po posiedzeniu przyjechał z Włocławka funkcjonariusz SB i spytał Arnolda Szczerbiaka, kto był inicjatorem całej sprawy. — *Lepiej nie ruszajcie tego* — poradził funkcjonariusz. Arnold Szczerbiak zastosował się do rady i sprawę przestał ruszać.

4.

Członkowie Prezydium, kiedy Arnold Szczerbiak przeczytał im wiadomy list, mieli uczucia mieszane. — *Nie chodziło o Żydów* — wyjaśnia Arnold Szczerbiak. — *Mój tatuś, na przykład, kolegował się z ostatnim powojennym Żydem miasta Lubrańca, niejakim Kałme Lewkowskim, który miał parę koni i wóz, i rozwoził chleb i mleko, i jak tatuś nie miał pieniędzy, dawał nam za darmo... Tego jednego Żyda w życiu znałem i jako znając jednego z panów Żydów też uważam, że trzeba tablicy nadać bieg, czyli nie o Żydów szło, tylko o klimat społeczno-polityczny w naszym kraju i o państwo Izrael. Przecież powstanie tam jest... Nie było jeszcze? Ale ta okupacja jest, tej Syrii... Nie Syrii? Ja bliżej się nie znam, ale coś było takiego, że stosunek Polski był za Arafatem raczej, no nie? No, krótko, szefowo, dyskusja była, nikt nie mówił, żeby temat nadać na sesję, tylko przytrzymać z rok, ze dwa, bo nie był to czas na taką chwilę.*

Co się tyczy funkcjonariusza SB, to dr Hofman chyba pomylił dwa zdarzenia. Funkcjonariusz przyjechał, owszem, ale w sprawie innej tablicy, „Solidarności", w Spółdzielni Kółek Rolniczych. Związku już nie było, a tablica wisiała nadal i Arnold Szczerbiak, dyrektor SKR, polecił jednemu z pracowników ją zdjąć. Pracownik wykonał polecenie, a nazajutrz na jego warsztacie pojawiły się dwie zapalone świece. Co miały oznaczać — nie wiadomo dokładnie. Za „Solidarność" paliły się? Za pracownika, który zdjął tablicę? Stały tak, i się paliły, cokolwiek dwuznacznie, i od razu przyjechał z Włocławka funkcjonariusz. Chłopaka, który świece zapalił, chcieli internować. Na szczęście dyrektor Szczerbiak oświadczył, że bierze odpowiedzialność na siebie i skończyło się na ostrzeżeniu. Co się zaś drugiej tablicy tyczy, tej żydowskiej, to funkcjonariusz nie zajął stanowiska. List przeczytał, ale interesował się nim znacznie mniej niż świecami. W każdym razie rozmowa o ewentualnym zamknięciu dotyczyła tylko człowieka z „Solidarności".

Nie jest to wszystko całkiem jasne. Świece zdarzyły się w pierwszych tygodniach stanu wojennego, a list Włodzimierza Wincławskiego po pięciu latach. Jakże funkcjonariusz mógł zajmować się dwiema tablicami naraz, solidarnościową i żydowską?

Odległy to czas, dyrektor Szczerbiak nie pamięta go dokładnie i pewnie już nigdy nie dowiemy się, ile było tablic, ile przestróg i ilu funkcjonariuszy.

5.

Człowiekiem, którego chcieli internować, za świece, był obecny wiceprzewodniczący komisji „Solidarności" w SKR — Tadeusz Pieńkowski. Umówiłam się z nim telefonicznie, czekałam dwie godziny, nie przychodził.

— *Może nie chce się narażać dyrektorowi* — powiedziała żona.

— Za *„Solidarność"*

4

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70; 32-89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka literacka: Henryk Pustkowski.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski,
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Konrad Frejdlich, Eugeniusz Iwanicki, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Bogumił A. Makowski, Paweł Tomaszewski,
Graficy: Dariusz Romanowicz, Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż — Londyn), Grzegorz Gazda, Janusz Janyst, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Zenon J. Michalski, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 32-59-11.

Organizacja reklamy: Andrzej Bartosiewicz, tel. 36-89-99.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa-Książka-Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty w 1990 roku: 1) Z możliwości prenumerowania mogą korzystać mieszkańcy wsi osiedli oraz miasteczek w których nie ma Oddziałów RSW a także osoby niepełnosprawne bez względu na miejsce zamieszkania. 2) Natomiast nie mają możliwości prenumerowania mieszkańcy miast.

Wpłaty na prenumeratę przyjmują: 1) Oddziały RSW właściwe dla miejsca zamieszkania lub siedziby prenumeratora; odbioru zamówionych egzemplarzy dokonuje prenumerator w wyznaczonych punktach sprzedaży lub w inny uzgodniony sposób 2) Urzędy pocztowe i listonosze — od prenumeratorów z terenów wiejskich lub innych miejscowości w których nie ma oddziałów RSW a w miastach tylko od osób niepełnosprawnych

Wpłaty na prenumeratę przyjmowane są tylko na okresy kwartalne Należność za przyjęta prenumeratę pocztowa obejmuje cenę tygodnika oraz opłatę za doręczenie Prenumerata ze zleceniem dostawy za granicę jest o 100 proc. wyższa: w przypadku zlecenia dostawy drogą lotniczą — koszt dostawy lotniczej w pełni pokrywa prenumerator.

B-10

Przegląd prasy

Urodził się w 1937 roku we Francji. Przybył z rodziną do Polski w 1948 roku. Zamieszkał w Aleksandrowie Kujawskim. Uczęszczał do liceum ogólnokształcącego najpierw w Ciechocinku, a później w Gdyni. Studiował początkowo na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, potem na Uniwersytecie Warszawskim. Znał dobrze język francuski, hiszpański, i angielski. Poznał wiele krajów: Francję, Meksyk, Bliski Wschód, Norwegię, Szwajcarię, Kanadę, Stany Zjednoczone. Miał dwóch braci i siostrę. Był chory na schizofrenię. Popełnił samobójstwo w 1979 roku w warszawskim mieszkaniu. Matka widziała go ostatni raz 11 lipca. Dwa tygodnie wcześniej napisał o niej:

„A oto matka moja mówi, że gdyby miała w tamtym życiu tak jak w tym, to by za dobrze miała. Skąd się to bierze, że może tak powiedzieć? Przecież wiem, że życie miała pełne cierpień".

Bardzo często mówił o śmierci. Nie bał się jej i nie unikał. Nie wierzył chyba w życie pozagrobowe. W każdym razie twierdził, że jest ono dla tych, którzy umierają za życia. W dziesięć lat po śmierci syna jego matka zwierza się:

„Mimo że często z nim rozmawiałam, mój syn był mi prawie obcy. Ja go zupełnie nie znałam i nie umiałam go zrozumieć. Najpierw wolał czytać, a potem odjechał, by wrócić za dwa miesiące. Gdy zabrała go śmierć, gdy przeczytałam jego dzieła, zrozumiałam, kim on był, jakie ciężkie i straszne wiódł życie".

Prawie dokładnie dwa lata temu, w świątecznym wydaniu „Odgłosów" (nr 51—52) pisałem na temat światopoglądu Edwarda Stachury. A dziś polecam w tygodniku społeczno-politycznym „WPROST" (nr 52) rozmowę z matką legendarnego pisarza i poety, którą przeprowadzili Dariusz Michalski i Stanisław Wysokiński. Na pytanie — czy w okresie szkolnym Edward różnił się w jakiś szczególny sposób od swoich rówieśników? — Jadwiga Stachurowa odpowiada:

„Syn często milczał, wolał samotne, długie spacery lub dobrą książkę — czytał zawsze bardzo dużo — niż rówieśników. Lubił też malować. Jako mały chłopiec zbierał wszystko, co mu wpadło do rąk. Proszę, to jest jego pudełko z tamtych lat. Trzymał w nim swoje «skarby» — śrubki, blaszki, młotki i mnóstwo innych rzeczy. Mam je do dziś — jest jedną z niewielu po nim pamiątek. Później, w szkole podstawowej, zaczął czytać gazety. Przez wiele lat stosy gazet leżały na strychu. Czytał praktycznie wszystkie. Nie tylko polskie, również francuskie i rosyjskie. Czasem miałam tego dosyć. Potem, gdy był już starszy, robił takie różne rzeczy, jak gdyby chciał zwrócić na siebie uwagę. Potrafił na przykład iść boso na odpust lub też latem ubierał się w futro, szal i czapkę. To, że wyskakiwał z pociągu koło Trzeciaka (jezioro przy Łazieńcu — D.M. i S.W), nikogo nie dziwiło. Miał po prostu bliżej do domu. Jedynie konduktor pociągu ciągle próbował go na tym przyłapać, ale bez skutku".

Jadwiga Stachurowa mówi, że jej mąż był alkoholikiem. Nienawidził swego syna. Nie umiał go zrozumieć. Edward zdobył sławę w nędzy. Ale już w szkole dostawał nagrody za wyniki w nauce. Potem z kolegą chodził na zabawy do Ciechocinka. Nie przepadał jednak za kobietami. Na pewno pociągały go mniej niż innych, choć lubił czasem poflirtować.

„Co innego było, gdy się ożenił. Zyta, jego żona, pochodziła z Wałbrzycha — spotkali się gdzieś w drodze i pokochali. Syn bardzo ją szanował. Mieszkali w Warszawie. Mieli mieszkanie na Stegnach, przydzielone im w odpowiedzi na list syna do Gierka. Mieszkanie nie było wykończone i w tym pomagali im znajomi. Żyli skromnie, często zmuszeni byli do pożyczania cukru lub innych artykułów żywnościowych. Zawsze oddawali i nigdy nie chcieli innej pomocy. Byli prawie samowystarczalni. Mam tu kosmetyczkę syna, którą zrobiła Zyta. Wyhaftowała na niej gałązkę jabłoni. Tak właśnie Edziu nazywał żonę. Teraz ona mieszka w Warszawie na Starówce i nie kontaktuje się ze mną. Byli małżeństwem przez dziesięć lat. Myślę, że powodem rozwodu był brak dzieci, których syn bardzo chciał. Mam żal do Zyty, za to, że nie chciała mieć dzieci i że teraz w ogóle się mną nie interesuje. Po ich rozstaniu, a nawet po śmierci syna, nie była tu ani razu.

Pamiętam, że była też inna dziewczyna — Danka. Miała wtedy osiemnaście lat, a syn trzydzieści osiem. Koniecznie chciała wyjść za niego, była nim zachwycona, zresztą jeździli razem po świecie. Była — jak on — małomówna, prawie się nie odzywała. Przyjechała tutaj i Edzio wysłał ją do domu. Powiedziałam mu wtedy: «Chyba pomyliłeś się, to dziewczyna nie dla ciebie». Wyszłam na podwórko, a gdy wróciłam, już go nie było. Obraził się i wyjechał. Nie dokończył nawet obiadu".

Podczas pobytu w Łodzi Edward Stachura został okradziony. Stracił zeszyty i chlebak. Nie żal mu było pieniędzy, lecz zeszytów zawierających bezcenne notatki. Chodził długo po łódzkich śmietnikach i szukał daremnie.

PRZESTROGI DLA „SOLIDARNOŚCI"

Niedawno gościł w naszym kraju wybitny pisarz niemiecki Günter Grass. Nie wszystkim jednak wizyta ta przypadła do gustu. Autor powieści „Blaszany bębenek" mówił bowiem szczerze, co myśli, a nie to, co chcieliby usłyszeć pytający. Na przykład stwierdził, że dziwi się Lechowi Wałęsie i Polakom, że tak serdecznie przyjmowali premier Margaret Thatcher. Według relacji Renaty Mroczkowskiej w tygodniku studenckim „ITD" (nr 51) Günter Grass powiedział między innymi:

„Dla mnie tragikomiczna była sytuacja, kiedy Wałęsa podejmował panią Thatcher — największego i najbardziej zaciekłego wroga związków zawodowych. To ona przecież zniszczyła misterną siatkę ochrony socjalnej nad słabszymi ekonomicznie grupami. Efekt jej polityki jest taki, że całe grupy ludzi żyją obecnie w takiej nędzy, która jest porównywalna z niedostatkiem i biedą końca XIX wieku".

Günter Grass przestrzegał nas przed zachodnimi kapitalistami. Mogą oni zrobić w Polsce — podobnie jak w Portugalii — świetny interes, gdyż mamy tanią siłę roboczą. Kapitaliści nie robią niczego z czystej miłości.

W tym samym piśmie krytykuje niektórych działaczy „Solidarności" związkowiec Kazimierz Świtoń. Swoim przeciwnikom zarzuca, że przedstawiają się jako socjaldemokraci, lecz w istocie opowiadają się za państwem marksistowskim. Mówi o nich:

„Byli to dawni działacze i funkcjonariusze PZPR. Nie mogłem się z nimi zgodzić, a już w maju 1977 roku — gdy oficjalnie podjąłem działania opozycyjne, przystępując do głodówki w kościele św. Marcina — chciano wywrzeć wpływ na moją koncepcję polityczną i na moje działanie. Od 1978 roku przyjeżdżali tu wysłannicy KOR i chcieli nami zawładnąć. Chcieli, by ten ruch był pod ich patronatem".

Kazimierz Świtoń uważa, że niektórzy ludzie wykorzystali „Solidarność" do realizacji własnych ambicji politycznych. A teraz, kiedy już doszli do władzy, będą osłabiać wpływy „Solidarności". Mogą nawet zamykać aktywistów związkowych, bo choć mówią o pluralizmie, to mają zakodowany totalizm.

Kazimierz Świtoń przewiduje upadek obecnego rządu w niedalekiej przyszłości. Przyczyni się do tego działanie Śląska. Każdej władzy, która nie dostrzega specyfiki regionu śląskiego, można wróżyć bliski koniec. I tak się stanie z rządem Tadeusza Mazowieckiego.

Społeczno-moralną i polityczną podstawą obecnego rządu jest NSZZ „Solidarność". Sytuacja tej organizacji jest jednak dość skomplikowana. W regionie bydgoskim na przykład przewodniczącym został (chyba nieoczekiwanie) Jan Rulewski. Jak donosi „TYGODNIK OBYWATELSKI" (nr 12) zgłoszono trzech kandydatów. W pierwszej turze otrzymali: Maciej Głuszkowski — 87 głosów, Jan Perejczuk — 100, a Jan Rulewski — 146. Wymagane minimum wynosiło zaś 169 głosów. W drugiej turze startowało dwóch kandydatów. Jan Perejczuk uzyskał 159 głosów, a Jan Rulewski — 155. W tym przypadku absolutna większość wynosiła 162. Głosowano więc po raz trzeci. Jan Perejczuk zdobył — 157 głosów, a Jan Rulewski — 164 i został przewodniczącym Zarządu Regionu Bydgoskiego NSZZ „Solidarność".

„Reakcja na sali była różnorodna: zwolennicy Jana Rulewskiego skakali z radości, natomiast pozostali trzymali się za głowy lub po prostu opuszczali salę".

Jan Rulewski stwierdził, że wybór jest dla niego wielką niespodzianką. Przypomniał zebranym delegatom, że nie uznaje jedności ponad wszystko. Może być jedność organizacyjna, lecz nie światopoglądowa.

NASTROJE SPOŁECZEŃSTWA

W październiku 1989 roku krakowski Ośrodek Badań Prasoznawczych przeprowadził sondaż opinii na temat instytucji, członków nowego rządu oraz warunków życia. Skrócony raport z badań opublikował w świątecznym wydaniu „POLITYKI" (nr 51-52) Stanisław Nowicki.

Na pytanie — **„Czy wierzy Pan(i) w zdecydowaną poprawę swoich warunków życia w ciągu najbliższych pięciu lat?"** — uzyskano następujący rozkład odpowiedzi: zdecydowanie tak — 7,0 proc., raczej tak — 30,4 proc., raczej nie — 28,2 proc., zdecydowanie nie — 17,6 proc., nie wiem, trudno powiedzieć — 16,7 procent. Pesymiści przeważali więc nieznacznie nad optymistami.

W skali od 0 do 100 hierarchia zaufania do wybranych instytucji przedstawia się następująco: Kościół — 62,4 pkt., Sejm — 61,7 pkt., Rząd — 59,5 pkt., Solidarność — 57,5 pkt., Wojsko — 47,1 pkt., Sądownictwo — 40,5 pkt., OPZZ — 36,1 pkt., Milicja — 29,1 pkt., PRON 28,9 pkt., KC PZPR — 21,1 pkt. W okresie od maja do października 1989 roku nastąpiła wyraźna polaryzacja w społecznym stosunku do ocenianych instytucji.

„Obok instytucji, które znalazły się na fali wznoszącej, coraz wyraźniej wyodrębnia się grupa instytucji tracących i tak nie najlepsze dotąd pozycje. Rozmiary tych strat także przybrały w ostatnim okresie na sile (KC PZPR — 10 pkt., PRON — 10 pkt.). Słabiej, ale także traciły społeczne przyzwolenie dla podejmowanych działań wojsko (—4), milicja (—3) i związki zawodowe sfederowane w OPZZ (—2)".

W ankiecie redakcyjnej — co uważa za swój największy błąd? — Adam Michnik odpowiedział, że to, iż zajął się polityką; a Karol Modzelewski to, że dał się wybrać na senatora. Natomiast prof. Jan Szczepański napisał:

„Mam 78 lat, więc popełniłem tyle błędów, że trudno byłoby je wyliczyć. Wkrótce będę się z nich tłumaczyć na tamtym świecie".

W tym samym numerze polecam bardzo ciekawy artykuł Franciszka Ryszki o ziemiaństwie kresowym w powiecie sokólskim. Pod koniec obszernego tekstu czytamy:

„Na ruinach dawnych dworów, które oglądam co roku, nie wyrosły kwitnące fermy, zboża jak dawniej rosną sobie niziutko, na łąkach nie pasie się dorodne bydło, spotkani ludzie jakby przygnieceni codzienną egzystencją, bo przecież nie przedwojenną biedą. Kościół parafialny w naszym najbliższym miasteczku jak stał tak stoi, wyrósł nawet obok reprezentacyjny budynek parafii. Po kościele, w sąsiadującej knajpie — jednej z nielicznych inwestycji spalonego w 1941 r. żydowskiego miasteczka — tłum pijanych. Drogi są wprawdzie asfaltowe, traktor coraz bardziej zastępuje konia. Dokąd jednak prowadzą te drogi...? Jak wszystkie — do cmentarza. A na cmentrzu rozsypują się groby przedstawicieli kilku pokoleń «umarłej klasy». (...) Słyszę ostatnio głosy, jakoby należało «zwracać» zagrabione majątki ziemskie. Uważam to za obłęd, a głosicielom takich bzdur niech się przyśni duch Jakuba Szeli".

E. L.

Do Czytelników „Odgłosów"

Wchodzimy razem w trudny rok 1990. Trudny dlatego, że wszystko strasznie drożeje, że nie będzie się nam łatwo żyło, że poszerzy się krąg ludzi biednych, że pojawią się bezrobotni. Ten brutalny zabieg na naszej gospodarce jest konieczny — tak twierdzą ekonomiści. Jest konieczny dla jej ratowania.

Chciałbym, abyśmy przez ten trudny rok przeszli razem. Nie dla wszystkich będzie to możliwe, bo cena „Odgłosów" będzie stale rosła i nie wiem, jaką wysokość osiągnie pod koniec 1990 roku. Ten wzrost ceny pisma jest nieunikniony. Rośnie i będzie rosła cena papieru, a to pociąga za sobą wzrost kosztów wydawania pisma. Wzrośnie cena energii elektrycznej, transportu, usług poligraficznych. Będziemy starali się ten wzrost cen łagodzić drukiem ogłoszeń, ale w całości kosztów nie pokryjemy, a poza tym musimy się utrzymać na rynku jako pismo dochodowe, a nie deficytowe. Los pism deficytowych jest już przesadzony.

Od 1 grudnia 1989 roku podrożał papier i w związku z tym koszt wydania jednego egzemplarza „Odgłosów" wzrósł do 450 złotych. Cenę numeru świątecznego podnieśliśmy do 400 zł, a więc sprzedaliśmy go poniżej kosztów własnych. Deficyt pokryjemy z ogłoszeń. Na długa metę tak postępować nie będziemy mogli. Już następny numer musi kosztować 500 zł. A zapowiadają, że kilogram papieru będzie kosztował około 7000 zł Zatem cena papieru zmusi nas znowu do podniesienia ceny pisma. Do ilu? Nie wiem.

Mimo rosnących trudności chciałbym, abyśmy rok 1990 przeżyli wspólnie. Przy wysokości obecnego nakładu. Życzę więc wszystkim Czytelnikom i Przyjaciołom „Odgłosów" spokojnego, zdrowego roku. Życzę dużo zimnej krwi, stalowych nerwów i — mimo wszystko — optymizmu. A więc wiary, że jednak musi być lepiej!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Po rewizji nadzwyczajnej i drugim wyroku skazującym, z warszawskiego więzienia przy Rakowieckiej przewieziono Andrzeja Słowika do zakładu karnego w Potulicach, zaś Jerzego Kropiwnickiego do Hrubieszowa. Jesienią 1983 roku obaj znaleźli się w Barczewie, gdzie warunki były znośne i gdzie wywalczyli sobie nawet możliwość przebywania w jednej celi. Na przełomie 1983 i 1984 roku, stosunek personelu więziennego do skazanych pogorszył się, a w marcu był już taki, iż zmuszeni zostali do podjęcia głodówki. Prowadzili głodówkę przez 57 dni — pisze PAWEŁ TOMASZEWSKI.

— Żadne ugrupowanie w Polsce nie może uczciwie i jasno powiedzieć, czym będzie. Wskazuje na to dość mętna ideologia spotkania, w którym uczestniczyli Wałęsa, Mazowiecki i Geremek; że tam już nie mówiono o ideologii, mówiono o etosie, czyli czymś takim, jak klimacie, bardzo ogólnej skłonności ideowej, która jeszcze to grono łączy. W Polsce jest jak gdyby punkt zero, od którego zaczyna się ewolucja cynizmu — mówi JERZY URBAN.

— Jeśli chłopi nie zdobędą się na powołanie jednej liczącej się w kraju partii politycznej, to w przyszłych wyborach nie będzie miał kto bronić ich interesów w parlamencie. Chodzi więc o jak najszybsze zjednoczenie ruchu ludowego, ale do tego potrzebny jest ktoś na miarę Wincentego Witosa. Sęk w tym, że takiego wodza chłopskiego nie widać — artykuł RYSZARDA BINKOWSKIEGO.

— Początkowo nic nie zapowiadało katastrofy. Widzew zajmował miejsca w środku tabeli. W tym sezonie miało być jeszcze lepiej. Klub dokonał obiecujących transferów. Za 135 mln zł kupił króla strzelców II ligii Grzegorza Waliczka, po 125 mln zł dał za Jacka Bayera i Jarosława Michalewicza z Jagiellonii Białystok. Dlaczego więc jest tak źle? — próbuje odpowiedzieć ANNA GRONCZEWSKA.

— W kilku oknach pełgało światło świec i awaryjnych lamp naftowych. Ogród wypełniał mrok, drewniak stał ciemny i głuchy jak zapomniana trumna na cmentarzu. Kaczmarkówna poczuła, że pierś i głowę wypełnia jej fala gorąca. Ale gdy drzwi, które powinny być zamknięte, ustąpiły ze skrzypieniem, zdjął ją chłód... — kolejny odcinek opowiadania RYSZARDA BINKOWSKIEGO.

— Stosunki między muzułmanami i Żydami były od początku nacechowane podejrzliwością, a potem przerodziły się we wzajemną wrogość. Żydzi odrzucali naukę Proroka i czekali na własnego Mesjasza. Przez to muzułmanie zmienili kierunek modłów z Jerozolimy, gdzie znajdowała się Świątynia Akka, do Mekki i Świątyni Ka'by. Walki między stronami konfliktu często miały krwawy przebieg — pisze HASSAN ALI JAMSHEER.

— Mieszkańcy Warty mają trzech sławnych rodaków, wszyscy trzej to Stanisławowie: pierwszym był pilot Stanisław Skarżyński, zdobywca Atlantyku Południowego, drugim rzeźbiarz Stanisław Szukalski, a trzeci to pisarz i naukowiec Stanisław Kaszyński, o którym mówią „nasz Staś z Warty" — reportaż TADEUSZA GICGIERA.

— Na widok wchodzących oczy młodej blondynki, siedzącej na polowym łóżku, zastygły z przerażenia. Joseph Stocker odziany w białą gregoriańską szatę podszedł wolno i zerwał z niej koszulę. Przyklękła naga na pościeli. Teraz podsunął się hurtownik Bettio z grubym kauczukowym wężem w ręku. Stocker zrobił uroczysty znak krzyża. „Rób swoje" — zwrócił się do hurtownika. Przed laty Stocker pełnił kapłańskie powinności w miasteczku Frieburg-Bisgau. Płonął wewnętrznym żarem. Jego wzrok jakby przenikał innych. Zdrowy to był, silnie zbudowany mężczyzna. Tylko ta cera, ziemista i szara. I te usta, wąskie, zimne i cienkie jak dwa sznurowadła — sensacyjny materiał JANA BĄBIŃSKIEGO.

— Niedziela 1 października 1989 r. była dniem Lwowa. W trakcie uroczystych obchodów rozeszła się pogłoska, że na stadionie kogoś aresztowano. Z ust do ust krążyła wieść, że był to młody chłopak, który trzymał błękitno-żółty proporzec. Wiadomość była nie sprawdzona, nie wyklucza się prowokacji, jednak ludzie tłumnie poszli pod miejską komendę milicji i zażądali wyjaśnień. Samorzutnie powstał wiec szacowany na ponad 100 tysięcy uczestników — korespondencja MONIKI MATUSZAK ze Lwowa.

— Historycy donoszą, że królowa Kleopatra urządzała tygodniami trwające nocne orgie, w czasie których uczestnicy oddawali się najprzeróżniejszym wyuzdaniom. Atmosfera lubieżności panująca w jej pałacu, w czasie jej związku miłosnego z Markiem Antoniuszem wskazuje w jak wielkim stopniu Kleopatra zaakceptowała jego powszechnie znane upodobania do obscenicznych żartów i seksualnie podniecających rozmów. Aby go zabawić, a przez to przychylnie do siebie usposobić utrzymywała na swoim dworze artystę, który wykonywał obsceniczne tańce. Kleopatra i Marek Antoniusz przed bramami Aleksandrii założyli klub nazwany „wyborowi", w którym goście brali udział w budzących zgorszenie scenach teatralnych. Jeden z rzymskich gości na przykład odgrywał rolę boga morza i mając całe nagie ciało pomalowane na niebiesko tańczył na kolanach przed Kleopatrą i Markiem Antoniuszem. Orgie te były powodem rozlicznych historii skandalicznych opowiadanych o życiu seksualnym Kleopatry — pisze KAZIMIERZ IMIELIŃSKI.

ze str. 1

proces ten nie zszedł niżej, do jednostek tych przedsiębiorstw. Nie chcę przez to powiedzieć, że zrobiliśmy w tej dziedzinie wszystko, ale z pewnością niemało.

Warunki w których działamy obecnie, zmiany w otaczającej nas rzeczywistości a także, co jest bardzo istotne, wola większości naszych zespołów pracowniczych, tworzą przesłanki do poczynienia w tej dziedzinie radykalnych kroków. Do tego się intensywnie przygotowujemy. Nie oznacza to, że jako centrala dużej organizacji wydawniczo-gospodarczej, zrezygnujemy z funkcji koordynacyjnych i strategicznych wobec usamodzielnianych jednostek. Nie musimy tu niczego specjalnie wymyślać, wystarczy wykorzystać i zaadaptować dorobek organizacji typu koncernowego działających w wielu krajach.

Jako jedną z głównych funkcji centrali widzę tworzenie warunków i rozwiązań systemowych służących dynamizowaniu działalności samodzielnych jednostek i podmiotów gospodarczych, wyzwalaniu ich przedsiębiorczości i efektywności działania.

— Pominę pytanie, co do programowych uprawnień redakcji. Uważny czytelnik jest w stanie sam zauważyć, iż wiele pism RSW jest w treściach bardziej bojowych od tych, które uznają się za niezależne. Niektóre tytuły RSW z powodzeniem mogłyby stać się sztandarowymi tytułami tych, którzy spółdzielnię ostro atakują.

— Jest to po prostu znak czasów, w których żyjemy. W miarę jak sytuacja polityczna będzie się stabilizować a pluralizm zakwitnie prawdziwie wszystkimi barwami i nie będzie się ograniczał do jednostronnych rozliczeń z przeszłością, minie występujące obecnie — i jak sądzę przejściowe — rozchwianie programowe części tytułów. Uważam zresztą, że to dobrze, iż prasa RSW jest w swoich treściach pluralistyczna, że udostępnia swoje łamy autorom o różnych poglądach i postawach. Nie chcemy i nie zamierzamy w to ingerować. Chcemy jedynie — i tego będziemy przestrzegać — aby nasza prasa w swym wyrazie mieściła się w szerokim nurcie prasy postępowej lewicy, sprzyjającej reformom i służącej interesom ogółu obywateli.

— Rośnie konkurencja, pojawiają się nowe tytuły, jak w tej sytuacji radzą sobie pisma RSW?

— Konkurencja może nam wyjść tylko na zdrowie, jeżeli potrafimy z faktu jej istnienia wyciągnąć prawidłowe wnioski. Sądzę, że pojawianie się na rynku prasowym coraz większej liczby nowych tytułów, powinno przyspieszyć konieczne przemiany w naszej prasie, w sposobie jej redagowania, w kształtowaniu jej zawartości. Ja sama, narażając się wielu redaktorom, mówię często, iż mamy przed sobą wiek XXI. Nie można więc redagować gazet i czasopism jak za czasów Prusa, Pruszyńskiego, Borejszy czy nawet Korotyńskiego. Od dawna potrzeba przemian dawała o sobie znać. Teraz stajemy z nią twarzą w twarz. Wszystko, bądź prawie wszystko, zależy od zespołów redakcyjnych, od ich inicjatywy, pomysłowości, fachowości i hartu ducha, a głównie od wyczucia i sprostania zainteresowaniom i potrzebom czytelników. Dla dobrych zespołów możliwość rywalizowania na rynku może być jedynie mobilizująca. Sądzę, że mamy do tego mocne atuty. Musimy jedynie uznać, że okres kiedy prasa „sprzedawała się sama" należy do bezpowrotnej przeszłości i że przyszła pora, aby przy jej redagowaniu uwzględniać również myślenie kategoriami konkurencyjnego rynku.

— Panuje dość rozpowszechniona opinia, że to RSW stoi na przeszkodzie powstawania konkurencji, jest molochem, który każdego konkurenta na rynku czytelniczym natychmiast zmiażdży, unicestwi.

— Ależ to właśnie mit i fałszywy stereotyp! Oto fakty. Mówi się i pisze, że RSW jako monopolista wydaje 90 proc. całej prasy polskiej. A w rzeczywistości wydajemy: 8,9 procent ogółu tytułów gazet i czasopism ukazujących się w naszym kraju oraz 49 procent ich średnich nakładów. Są to dane z 1988 roku. W 1989 roku udział ten z pewnością będzie niższy, bo zaczęły się ukazywać wysokonakładowe tytuły innych wydawców — chociażby „Gazeta Wyborcza", natomiast nasza prasa, z powodu ograniczeń w dostawach papieru, zmniejszyła nakłady. Co więcej, nasz udział na rynku prasowym w ostatnim czasie systematycznie maleje. W latach 1980—1988 liczba wydawanych przez RSW tytułów zwiększyła się o 10, poza nami powstało aż 540 nowych pism. W tym samym czasie średnie jednorazowe nakłady prasy RSW wzrosły o 1,5 mln egz. czyli o 6 procent, zaś prasy wydawanej przez pozostałych wydawców — o 12,5 mln egz., to jest o 81 procent.

Mówi się i pisze, że RSW jest monopolistą w poligrafii. A w rzeczywistości: są i to duże drukarnie innych właścicieli. Nasze drukarnie nie pracują tylko dla nas — drukują szeroką gamę prasy i książek innych wydawców. Od pierwszego numeru udostępniliśmy „Gazecie Wyborczej" nasze urządzenia do teletransmisji kolumn, dzięki czemu jest ona drukowana, identycznie jak „Trybuna Ludu", w czterech ośrodkach poza Warszawą, a ściślej w naszych drukarniach w Łodzi, Bydgoszczy, Krakowie i Wrocławiu.

W drukarniach RSW wykonuje się przeważającą część nakładu „Tygodnika »Solidarność«", regionalne tygodniki „Solidarności" bydgoskiej, gdańskiej, „Tygodnik Solidarności Rolników Indywidualnych" czy wreszcie „Tygodnik Powszechny" i pierwszą prywatną gazetę w Polsce, która niebawem zacznie drukować nasza drukarnia w Koszalinie. Przykładów tego rodzaju jest więcej. Dziwny to monopol, który polega na drukowaniu konkurencyjnych gazet i na udostępnianiu wolnych mocy produkcyjnych wszystkim wydawcom.

Zarzuca się nam także monopol w dziedzinie kolportażu, chociaż ustawowo został on już uchylony. To też zarzut nieprawdziwy. W rzeczywistości: w naszej sieci sprzedawana jest prasa wszystkich wydawców, którzy chcą z niej korzystać. Nikogo w sprzedaży pism nie blokujemy, niczego nie monopolizujemy. Powiem panu przy tym coś, co nie jest wyobrażalne pod żadną szerokością geograficzną. Otóż podczas lokalnych strajków kioskarzy, jedną z form protestu strajkujących bywa dosyć często wstrzymanie sprzedaży naszej prasy, czyli prasy RSW, a więc macierzystej instytucji, podczas gdy prasa innych wydawców nie podlega takim represjom...

— Jeżeli pani pozwoli, przejdźmy do spraw, które wzbudzają najwięcej emocji. Czy z zysków RSW korzystają tylko udziałowcy? Na całym świecie, takie firmy jak RSW uczestniczą w wielu poczynaniach społecznych, sponsorują różne dziedziny działalności.

— Jest to kolejny problem przedstawiony nieprawdziwie.

— Czyżby?

— Oczywiście! Zyski RSW są bowiem przeznaczane nie tylko na potrzeby udziałowców, ale także na bieżące i rozwojowe potrzeby naszej instytucji oraz na różne formy sponsorowanej przez RSW działalności. Od wielu, wielu lat poważny udział w podziale zysku RSW przypada na inwestycje, głównie poligraficzne. Z tych środków finansowana jest modernizacja, rozbudowa i budowa drukarń (swego czasu także drukarni łódzkiej).

Tylko w tym roku, z własnych zysków gromadzonych centralnie, przeznaczyliśmy na ten cel ponad 13 mld zł, o wiele zresztą za mało w stosunku do potrzeb. A ponieważ, jak wspomniałam, drukarnie RSW służą nie tylko naszym potrzebom, ale wykonuje się w nich wiele różnych publikacji periodycznych i nieperiodycznych innych wydawców, jest to w części inwestowanie w dobro ogólniejsze. Nie wiem jak wyglądałaby polska baza poligraficzna, oceniana i tak jako ubogą gdyby nie inwestycje RSW.

Jeśli chodzi o udział RSW w popieraniu celów społecznych, w sponsorowaniu działalności społecznie pożytecznej, jest on nieodłącznym elementem pracy naszej instytucji od początku jej dziejów. O bardzo licznych tego przykładach jakby się nie pamięta bądź pamiętać nie chce. Przypomnę więc:

To RSW od dawna wydaje i finansuje szeroką paletę periodyków społeczno-kulturalnych, literackich i artystycznych zarówno ogólnopolskich jak i regionalnych. Jesteśmy wydawcą 36 tego typu pism, z których tylko dwa (w tym pański tygodnik) są dochodowe. Reszta zamyka bilanse stale rosnącą stratą, wynoszącą już obecnie setki milionów złotych rocznie.

To RSW finansuje od wielu lat działalność klubów prasy i książki, placówek, które służą lokalnym społecznościom i są dostępne dla wszystkich, bez żadnych ograniczeń. Mimo deklaracji wielu potencjalnych kontrahentów zainteresowanych upowszechnianiem kultury i oświaty na wsi, mimo międzyresortowych porozumień, zostaliśmy z tym problemem sami. Z wypracowanych przez nasze załogi zysków utworzyliśmy własny fundusz kultury na finansowanie działalności klubów, fundusz systematycznie zwiększamy. W roku 1989 przekroczy on 4 miliardy złotych. W tym samym czasie realizowaliśmy ustawowe świadczenia na rzecz Narodowego Funduszu Rozwoju Kultury, nie mogąc uzyskać chociażby częściowej partycypacji w wykorzystaniu tego funduszu.

Nikt nie pamięta dziś o finansowaniu przez RSW, od początku lat siedemdziesiątych, budowy szkół w miejscowościach, w których w okresie wakacyjnym organizowane są kolonie dla dzieci naszych pracowników. Inicjatywa ta, od strony społecznej jest podwójnie korzystna, tym bardziej, że po każdych koloniach, RSW świadczy niemałe środki na remonty tych szkół.

Są to tylko niektóre przykłady naszego mecenatu nad realizacją różnych celów społecznych. Zwielokrotniają się one rozlicznymi inicjatywami i świadczeniami organizowanymi przez wszystkie jednostki RSW, a przede wszystkim przez redakcje.

W tej dziedzinie nie odbiegamy więc od przywołanych tu przez pana odniesień światowych. Sądzę też, że jesteśmy dobrym przykładem dla wielu instytucji nam pokrewnych.

— W niektórych środowiskach panuje zaniepokojenie co do dalszych losów wielu pism, w stosunku do których RSW ponoć przestała się czuć mecenasem.

— RSW nie przestała być mecenasem, ale stanęła wobec konieczności zasadniczego ograniczenia tego mecenatu. Nie do utrzymania jest bowiem sytuacja, że połowa wydawanych przez nas pism przynosi deficyt, który ostatnio gwałtownie rośnie i liczy się już w miliardach złotych. Buntują się przeciwko takiemu obciążeniu pisma dochodowe i trudno się temu dziwić. Dlatego uznaliśmy, że przyszła pora, aby się tym mecenatem sprawiedliwie podzielić z innymi instytucjami i organizacjami żywotnie zainteresowanymi poszczególnymi pismami czy grupami pism.

Podjęliśmy rozmowy na ten temat między innymi z Ministerstwem Kultury i Sztuki, które zdecydowało się przejąć od nas wydawanie i finansowanie sześciu periodyków kulturalnych („Dialog", „Twórczość", „Teatr", „Kino", „Ruch Muzyczny", „Odra") w stosunku do dwóch dalszych („Inspiracje" i „Twórczość Robotników") zdecydowaliśmy się na wspólne pokrywanie ich deficytu. Z analogicznymi wnioskami wystąpiliśmy także do innych instytucji i organizacji.

Nie znajdujemy uzasadnienia, aby dla przykładu RSW pokrywała w dalszym ciągu deficyt specjalistycznych periodyków sportowych związanych z poszczególnymi związkami, które przecież nie są najbiedniejsze. To samo dotyczy wielu innych tytułów. Chcę przy tym wyraźnie zastrzec, że nie chodzi tutaj o zapędy likwidatorskie, które się nam chętnie przypisuje, a o racjonalne rozłożenie obciążeń na wszystkich potencjalnych sponsorów.

— W ostatnim czasie nasiliły się pogłoski o wzroście rynkowych zagrożeń, który może postawić całą prasę w bardzo trudnej sytuacji, nawet tę dotychczas dochodową.

— Rzeczywiście trzeba się z tym liczyć. Zapowiadany kilkakrotny wzrost cen papieru, usług poligraficznych i wielu innych kosztów, a w związku z tym konieczność dalszego, znacznego wzrostu cen prasy, zagraża poważnym regresem w zasięgu jej oddziaływania. Może to dotknąć nawet tytuły charakteryzujące się dotychczas dużą poczytnością.

— Jak RSW zamierza się przed tym bronić?

— Ofensywnym poszukiwaniem środków zaradczych, neutralizujących wzrost kosztów wydawniczych. Przede wszystkim zobowiązaliśmy nasze wydawnictwa i redakcje do poszukiwania nowych, dodatkowych źródeł dochodów. Wnioski, które dotychczas wpłynęły są bardzo obiecujące.

Uważamy też, że bezwzględną koniecznością staje się obecnie potanienie kosztów wydawania prasy. Dotychczas żyliśmy — i to dotyczy nie tylko wydawców — we względnym komforcie, który się kończy. Musimy zastanowić się czy każdy tytuł ma być wydawany w takiej objętości jak dotychczas, czy w takiej częstotliwości, czy część naszych periodyków musi być, w tych trudnych czasach, nadal drukowana na najdroższym papierze III klasy, czy bez straty dla poziomu merytorycznego naszych tytułów nie można zracjonalizować także innych wydatków, w tym między innymi zatrudnienia?

Przyjdzie nam także przypomnieć sobie o tych okresach w historii powojennej prasy, które charakteryzowały się szczególną dbałością o utrzymanie i pozyskiwanie czytelników. A to w warunkach konkurencyjnego rynku wcale nie będzie łatwe. Sądzę także, że najwyższa już pora, aby niezależnie od istniejących rozbieżności, różnic interesów, wszyscy wydawcy zdobyli się na solidarne działanie w sprawie racjonalnego usytuowania ruchu wydawniczego w dokonujących się reformach ekonomicznych.

Póki co tradycji stało się zadość i wszyscy, także wydawana przez nas prasa, biją w alarmowe werble w sprawie sytuacji książek. A przecież nie zmniejsze zagrożenia stoją obecnie przed prasą. Nie sądzę, żeby był konieczny aż kataklizm, abyśmy zdali sobie z tego sprawę. Są sprawy wspólne dla całego ruchu wydawniczego, niezależnie od tego komu ta czy inna jego część jest przypisana i czyje barwy reprezentuje. Jeśli potrafimy wznieść się nad te podziały mamy szanse, przynajmniej częściowego złagodzenia czekających nas trudności. Pokaże to jednak najbliższa przyszłość.

Za rozmowę podziękował:

MARIAN ZDROJEWSKI

Mity i rzeczywistość

Z tej ziemi

Jak skutecznie pożegnać się z komunizmem?

29.12.1989.

1.

Wiem, że historia nie znosi rozważań typu: — co by było, gdyby.... — ale nie mogę powstrzymać się przed pewnym ahistorycznym przykładem. Otóż wyobrażam sobie, że gdyby pod koniec 1989 roku Karol Marks zasiadł do pisania „Manifestu Komunistycznego", to nie mógłby napisać słynnego zdania: *„Widmo krąży po Europie — widmo komunizmu"*. Jest to bowiem widmo przerażające, zbroczone krwią, napiętnowane zbrodnią. W XIX wieku, gdy Karol Marks pisał „Manifest komunistyczny" widmo to budziło nadzieje ludzi uciskanych, zapowiadało zmianę ich losu. Dziś widmo to straszy zbrodniami. Nie przypadkiem podczas manifestacji w Lipsku niesiono transparent z napisem: „Socjalizm? Nie! Dziękujemy!".

Już od długiego czasu nurtuje mnie pytanie: — jak to się mogło dziać, że pod ideologiczną frazeologią socjalizmu, który miał przewyższać kapitalizm, dochodziło do rodzinnych rządów? W Bułgarii rządziła rodzina Todora Żiwkowa, w Rumunii Nicolae Ceausescu, w Korei Północnej — Kim Ir Sena. Czy powodem tego był tylko brak demokracji pod pozorem *„demokracji socjalistycznej"*? Czy też grały tu rolę inne mechanizmy, głęboko tkwiące w historycznej spuściźnie tych krajów? A może właśnie brak opozycji, co tak wyraźnie widać w Rumunii. Dyktatorzy szczególnie uczuleni są na opozycję. Im się nie wolno sprzeciwiać. Oni i tylko oni mają rację. Problemy opozycji — jak to nauczał Józef Stalin — powinny znikać razem z opozycjonistami. Józef Stalin zwykł był mawiać: — *Jest człowiek i jest problem. Nie ma człowieka — nie ma problemu!*

2.

Formacja *„realnego socjalizmu"* bezpowrotnie odeszła w przeszłość. Być może są jeszcze ludzie, którym marzy się powrót *„dobrych czasów realnego socjalizmu"*, ale to tylko nierealne marzenie. Im dokładniej zdamy sobie z tego sprawę — tym lepiej będzie dla wszystkich. Kończy się bowiem czas życia w złudzeniach i kierowania się nadziejami. Nadchodzi czas twardego kroczenia po ziemi. Trzeba zejść z obłoków marzeń na realnie istniejącą ziemię i na niej szukać rozwiązań problemów, jakie przed nami stają. Wszystkie one wiążą się z przebudową gospodarki, co — jak widać z zapowiedzi sejmowych — będzie operacją bolesną i być może groźną w skutkach. Ale jest to operacja konieczna!

Wszyscy wokół zwracają mi uwagę, że przyszłość Polski rozgrywa się przede wszystkim i jedynie na płaszczyźnie gospodarczej. Jedni mówią, że wracamy do epoki wczesnego kapitalizmu, inni, że z tego galimatiasu wyłoni się coś zupełnie nowego, ale nikt nie jest w stanie powiedzieć, co to będzie. Pożyjemy, zobaczymy. Będzie to jednak — zapewniają wszyscy — życie niełatwe. I wierzę, że jest to zapowiedź, która się spełni. Z tych wszystkich uwag wynika jednak wniosek, że teraz nie czas na wielkie spory ideowe, że czas na rzetelną pracę. Ba! Na rzetelną pracę czas był zawsze, nie było tylko warunków dla takiej pracy. Czy teraz powstały?

Pisałem już o tym niedawno. Mogę więc powtórzyć, że nadal nie ma — albo że jest bardzo mało — warunków, które sprzyjałyby rzetelnej pracy. Sejm dokonuje gigantycznej pracy, aby zmienić prawne uwarunkowanie dla reform gospodarczych. Prasa, radio, telewizja postanowienia sejmowe popularyzuje, omawia, niekiedy krytykuje. Ale to jest wierzchołek góry lodowej. Reszta — ta najważniejsza — tkwi w wodzie niekompetencji, obojętności, bezruchu, rutyny, niewiedzy, czy złej woli wreszcie. Jak to zmienić? Bo bez tego Sejm może sobie pracować aż do całkowitego wyczerpania posłów, a cały decydujący aparat wykonawczy będzie nadal tkwił w bezruchu. Tylko, że ludzie będą mieli pretensje nie do urzędników i pomniejszych wykonawców, ale do Sejmu i rządu. Społeczne rozczarowanie szczególnie dziś stanowi wielkie niebezpieczeństwo. Dla dobra nas wszystkich trzeba uniknąć takiego niebezpieczeństwa.

3.

Jak byśmy jednak nie patrzyli, jak byśmy się nie zastrzegali, czas sporów i rozważań ideowych, politycznych nie minął. Schodzą one w cień, ale przecież są potrzebne. Będą też decydowały o przyszłości Polski. Wprawdzie tu i ówdzie słyszę, że nie ma jeszcze warunków dla *„pełnego pluralizmu politycznego"* i dlatego potrzebna jest jedność, ale gdy się rozglądam po politycznej scenie, to widzę tylko rozdrobnienie i zróżnicowanie. Jedność odsuwa się jako postulat, marzenie, cel w przyszłości. Dlatego zdecydowanie sprzeciwiam się budowaniu jedności za wszelką cenę. Ze skutkami takiego postępowania wschodnia Europa boryka się dziś i borykać będzie się jeszcze przez najbliższe lata. My również.

Po pierwsze — trzeba rozpoznać dokładnie arenę polityczną. Jest na niej wiele partii, grup, ruchów, które różnie siebie zwą i określają swoją tożsamość polityczną i ideową. Niektóre z nich nawiązują do dalekiej przeszłości, co jest z góry skazane na małą skuteczność, gdyż — jak to ktoś ładnie powiedział — nie można wsiąść do pociągu, który stoi na bocznicy, aby jechać nim w przyszłość. Rozumiem jednak, że ludzie, którym kiedyś przerwano działalność i ją uniemożliwiono, chcą wrócić do tego, co niegdyś było ich życiem. I mają prawo. Czy taka działalność ma przed sobą przyszłość, to już inna sprawa.

Rodzą się nowe partie i też ich przyszłość będzie różna. Przeobrażają się wreszcie stare partie. Jest to operacja konieczna, ale bolesna i rodzi wiele nieporozumień.

Po trzecie — znajomość życia politycznego precyzyjnie określonego ugrupowania. Na przykład PZPR nie może tylko zmienić szyldu, musi stać się nową partią. Ta nowość powinna wyrazić się w programie, nazwie i nowej strukturze. Kto tę strukturę zbuduje? Sądzę, że XI Zjazd PZPR, który zakończy jej działalność, powoła jednocześnie tymczasowe zespoły upoważnione do tworzenia struktur nowej partii, w wyniku czego dojdzie do zwołania II Zjazdu nowej partii, na którym określi się dokładnie tożsamość tej partii. Trzeba wykorzystać doświadczenia partii w Czechosłowacji, NRD, na Węgrzech, gdzie zmiana nazwy dała mało, a skomplikowała sytuację dokładnie i na długo.

Po trzecie —znajomość życia politycznego, precyzyjnie określona tożsamość ideowa i polityczna, społecznie akceptowany program dają możliwość wchodzenia w układy polityczne, aliansе i porozumienia. Fakt, że Lech Wałęsa uznał za potrzebne spotkanie z Leszkiem Millerem — członkiem władz partii schodzącej z politycznej areny — dowodzi wybitnie, że takie porozumienia i rozmowy są konieczne. Pozwalają bowiem skutecznie działać. Jednocześnie wielość partii i ugrupowań stanowi barierę dla arogancji, bezkrytycyzmu, megalomanii jednej partii. Wielość partii i różnorodność punktów widzenia odnoszących się do rzeczywistości politycznej Polski, do praktyki rządzenia może i powinna stanowić gwarancję przed popełnianiem błędów, jak to drzewiej bywało.

4.

Co pod koniec stycznia stanie się z PZPR? Sądzę, że wyłonią się z niej trzy grupy: dogmatyczna, zachowująca komunistyczną argumentację i program, socjaldemokratyczna — wzorująca się na partiach zachodnich i trzecia — socjalistyczna, najliczniejsza, która musi odżegnać się od złej tradycji PZPR. Taka partia — wyraźnie socjalistyczna — musi przystąpić do walki o społeczne poparcie, co przyniesie jej pozytywny skutek tylko pod warunkiem autentyczności przeobrażeń.

Słuchałem niedawno bardzo interesującego wystąpienia Ludwika Krasuckiego, który powiedział, że najważniejszym problemem dla przyszłej partii — jego zdaniem też socjalistycznej — będzie problem skutecznego pożegnania się z komunizmem. Niech widmo komunizmu z minionych lat przestanie straszyć w Europie.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Noc, która wstrząsnęła Polską (2)

Pilnował, aby nie popsuć scenariusza

MAREK KOPROWSKI

Ciąg dalszy relacji Andrzeja Słowika:

— Cywil znów zaapelował o opuszczenie budynku, atmosfera się podgrzewała. Było tam parę kobiet i część pracowników, toczyły się dyskusje: zostajemy czy nie zostajemy, wychodzimy, czy nie wychodzimy. Przez otwarte drzwi, na korytarzu widać było milicjantów z bronią długą, wyglądało więc na to, że tu żartów nie ma i część z nas zaczęła wychodzić. Ja zostałem, żeby zabrać swoje rzeczy, ubrałem się, zostawiłem walizkę, którą miałem w podróży. Zabrałem wszystko inne i wyszedłem z gabinetu ostatni i — jak się okazało — również ostatni z budynku. Na dole czekały budy milicyjne. Wsadzono nas do stara, stojącego tuż przy bramie. Oczywiście musieliśmy przejść przez kordon czy też szpaler mundurowych.

Samochód nie ruszał, odbywały się jakieś dyskusje kierowcy z dowodzącymi akcją. Był to star z dużymi szybami, okratowany, co prawda, ale widoczność była doskonała. Widzieliśmy dwa kordony: od strony katedry i od strony Świerczewskiego, a za tymi kordonami tłum ludzi. Tłum zbliżał się do milicjantów, a kiedy oni cofali się do ulicy Worcella, to się cofał; były jakieś próby przebicia się przez kordon. Pojedyncze osoby były przepuszczane i traktowane najróżniej: jakiś człowiek został spałowany za zwolnienie kroku przed samym Zarządem i przyglądanie się bramie, został wrzucony do innej budy i zaraz odwieziony. Rozpoznałem dwójkę pracowników Zarządu, którzy przeszli sobie obserwując, co się dzieje. Z okien domu po drugiej stronie Piotrkowskiej od czasu do czasu sypały się jakieś przedmioty na milicjantów, gdy tłum atakował kordon. To trwało, w moim przekonaniu, około pół godziny. Nawet dziwiliśmy się, dlaczego tak długo stoimy, czyżby były obawy, że się nie przebijemy przez tłum?

Wreszcie przemieszczono nas z oszklonego stara do budy więziennej bez żadnych okien. Tam już było pełno, byliśmy uciśnięci jak sardynki w puszce. Buda ruszyła, jak się potem okazało, w silnej eskorcie samochodów milicyjnych, które zobaczyliśmy po przyjeździe na Lutomierską do komendy wojewódzkiej. I tak, po otwarciu drzwi, poproszono Kropiwnickiego, Słowika, Markiewicza i Burskiego o wyjście. W tym samochodzie nie było Marka Markiewicza.

Zostałem zaproszony na rozmowę z czarnowłosym, mocno obrośniętym na rękach człowiekiem, który usiłował perswadować mi, tłumaczyć, że to nie związek zawodowy, który tak postępuje, że wyście władze chcieli obalić, że my robotnicy rozumiemy... On robotnik.

— Też byłem robotnikiem — mówił. Trochę się z tego uśmiałem. Zaczął się tłumaczyć że on jest z robotników, bo jego ojciec był robotnik, a on swoją służbę też traktuje jak robotniczy obowiązek, czuwanie, itd., że robotnicy zostali opętani przez polityków, przez różnych nieodpowiedzialnych ludzi, którzy godzą w dobro ojczyzny i w interes robotniczy. Zmierzał do przekonania mnie, bym się odciął i zademonstrował swoje właściwe oblicze, tak jakby ono wcześniej było niewłasne i nieodpowiednie. Zadałem mu takie pytanie:

— Powiedz pan o co chodzi dokładnie, bo krąży pan tak, krąży, czegoś pan oczekuje, nie mówi pan wprost, a ja lubię jasne sytuacje. Powiedz pan, co za co, może się dogadamy.

— Nie, nie, ależ pan mnie źle zrozumiał.

— Wydaje mi się, że dobrze zrozumiałem pana intencje, zdaje się jednak, że się pan trochę pomylił w swoich rachubach.

Zaczął rozglądać się po ścianach pokoju, było oczywiste, że ktoś tej naszej rozmowy wysłuchał, a mój rozmówca swoim milczeniem dawał do zrozumienia, że wyczerpał tematy i oczekuje pomocy. Rzeczywiście, za moment drzwi się otworzyły, ktoś zajrzał, poprosił go, po czym ten człowiek wrócił i poinformował mnie, że bardzo mu przykro, może się jeszcze spotkamy, bo chciałby porozmawiać, że decyzja o moich losach rozstrzygnie się za parę minut. Istotnie, za parę minut poproszono mnie do innego pokoju, wejściem przez sekretariat, wręczono mi tam decyzję o internowaniu z prośbą o podpis. Odmówiłem, oczywiście, podpisu, bo na jakiej zasadzie? Odesłano mnie jeszcze raz do jakiejś poczekalni, a potem na dół do celi, gdzie był już jakiś człowiek. Zapytałem go skąd jest i kim jest. Przedstawił się, powiedział skąd się wziął. Umęczony byłem wtedy niesamowicie, uznałem więc, że jedyna rozsądna rzecz, jaką mogę zrobić, skoro już tu jestem, to się chociaż wyspać. Położyłem się na tzw. katafalku, nie wiem jak długo spałem.

Obudziły mnie wrzaski, okazało się, że skierowane do mnie. W celi było już więcej ludzi. Młody, porozpinany policjant wrzeszczał do mnie:

— Do góry pizda jak milicjant wchodzi!

Spojrzałem na niego zdziwiony.

— Co, nie rozumiesz, jak milicjant mówi?

— Nie, takich zwrotów to nie rozumiem, poza tym, co to za milicjant, bez czapki, porozpinany, łapy w kieszeni, buja się na flekach, to nie milicja, to jakaś banda.

Zjeżył się na to ostro, groził, że zaraz tu wpadnie i nauczy. Został przez drugiego przyhamowany, potem okazało się, że to dowódca zmiany, czyli pan i władca w areszcie milicyjnym. Drugi też był dowódcą, tyle że innej zmiany, wtedy ich dyżury nakładały się, bo było ostre pogotowie. Łazili cały czas z tymi dłuższymi pałkami, pukając się nimi po nogach, wprowadzali atmosferę grozy i krzyku. Do celi przybywali nowi ludzie, zrobiło się ciasno. Jeden z zatrzymanych zdążył wrócić z Węgier, na dworcu zorientował się, że nie ma szans na połączenie telefoniczne, postanowił przytuptać do domu i wpadł prosto w objęcia milicji, która już na niego czekała. Drugi z kolei miał termin ślubu zarezerwowany w okresie świątecznym, rodzina narzeczonej i narzeczona mieli przyjechać i on miał wielki problem, co sobie o nim pomyślą, bo nie ma go w domu i nie ma żadnej szansy, by kogokolwiek zawiadomić. W tym areszcie przetrwaliśmy mniej więcej do północy. Potem wyprowadzono nas na korytarz, wcześniej oddali zegarki — i na dwór, do samochodu, wyjechaliśmy, w podróż do Łęczycy, do internatu.

Tam bardzo długo nas przyjmowano: każdemu poświęcano około pięć minut, a wszystkich było dwunastu. Mróz w nocy był niesamowity, byłem zmęczony i głodny, tym bardziej dawał mi się we znaki. Ponieważ do samochodu wchodziłem jako ostatni, pierwszy wychodziłem. Zapytano mnie o nazwisko, kiedy je podałem, powstało małe zamieszanie: nie, nie, nie, tego to na koniec, zamknij go tam w drugiej części budy. Przesiedziałem tam przeszło godzinę, zanim kolegów przyjęto do pensjonatu. Zaprowadzono mnie wreszcie do naczelnika więzienia w Łęczycy. Był tam obecny jeszcze jakiś cywil w szarym garniturze, wymiętym i wypłamionym, z rozbieganymi oczkami, wyglądał, jakby był mocno skacowany albo bardzo niepewny siebie. Trudno powiedzieć, co było bardziej prawdziwe. Zaczął od tego:

— Tu jesteście osadzeni, bardzo dobrze pilnowani, żadnych kontaktów, bo tu recydywa, nie myślcie, że ktoś was stąd odbije, bo mamy środki, mamy uprawnienia i żadnych kontaktów...

I znów to samo w kółko. Zapytałem go, na jakiej zasadzie tutaj przebywamy, co to znaczy internowanie, bo z takim terminem się nie spotkałem, poza opisami z czasów drugiej wojny, co to więc znaczy? Naczelnik poinformował mnie, że przebywamy tu na statusie tymczasowo aresztowanego. Zaprotestowałem przeciwko temu. Cywil znów zaczął swój tekst, jakby odtwarzany z magnetofonu, że żadnych kontaktów, bo tu recydywa, itd. Zapytałem go w końcu, kim jest, czy może z komitetu partyjnego, bo tak mi się to kojarzyło z siedemdziesiątym rokiem i rolą partii. Na co on z ironią i wyraźną satysfakcją odpowiedział:

— Tym razem, to towarzysze grzecznie czekają w komitecie na rozwój wypadków, a ja jestem z Lutomierskiej.

Podziękowałem mu za informacje i stwierdziłem, że nie mam tu po co dłużej siedzieć. Zaprowadzono mnie chyba na III piętro, do celi, gdzie był już jakiś człowiek. Spojrzałem, mury bardzo grube, okienko malutkie, wysoko, cela ohydna, brudny kibel, piętrowe łóżka, częściowo bez materacy, tylko na dwóch, dla nas przygotowanych, była jakaś pościel. Przespałem się do rana. Rano odbywał się apel, drzwi się otworzyły, za drzwiami stało kilkunastu strażników więziennych, jeden z formularzem i długopisem w ręku zajrzał do celi, reszta mocno zdegustowana, że leżymy w łóżkach, a z tyłu funkcjonariusze służby więziennej w helmach. Mieli oddziaływać na wyobraźnię, mieli tworzyć atmosferę grozy. Usłyszałem, że gdy otwierali następną celę, oni się również przemieszczali. Podobne demonstracje obserwowałem na Mokotowie: przy każdym apelu, gdy coś się działo w kraju, demonstrowano osadzonym, że jest to siła nie do pokonania. Po śniadaniu spałem Po obiad wyszedłem boso, nie ubrany, przy kotle stał funkcjonariusz w białym fartuchu, pod spodem mundur, wydał obiad, a krótko po tym przyszedł strażnik prosząc, abym się ubrał, bo pan naczelnik chciałby porozmawiać.

U naczelnika był ten sam typ, który mnie przyjmował wieczorem i informował o swojej sile i potędze. Poproszono mnie, żebym był uprzejmy przetłumaczyć swoim kolegom, którzy dopominają się kontaktów ze mną, że powinni się podporządkować i przestrzegać regulamin. Stwierdziłem, że to nie moja rola i bardzo chętnie bym się z nimi spotkał, wręcz żądam tego, ale to, co będzie przedmiotem rozmowy nie podlega absolutnie uzgodnieniom z władzami więziennymi, mogę uzgadniać swoje postępowanie tylko z władzami związkowymi. Poza tym żądam wyposażenia w środki higieny, szczoteczki do zębów, pastę, mydło, itd. Odpowiedział, że szczoteczki, to może tak, ale pasty nie ma, ale co może, to zrobi i zaraz otworzy kantynę więzienną. I rzeczywiście, za niedługo można się było zaopatrzyć w papierosy, zapałki, mydło i inne drobiazgi. Dla mnie to nie miało większego znaczenia, bo miałem przy sobie 70 złotych. Kupiłem kilka paczek papierosów, zapałki i zostało mi 10 złotych i 20 groszy.

Do wieczora dotrwaliśmy w tej celi, były próby rozmów przez okno. Jedna sytuacja była nawet sprowokowana przez klawiszy: cela sąsiednia była pusta, a w pewnym momencie usłyszałem stukanie w ścianę. W człowieku jednak jakiś instynkt drzemie, bo wzbudziło to moją nieufność, skoro nikt nie ma szansy na posiadanie czegoś metalowego, dlaczego to pukanie odbywa się za pomocą właśnie metalu? To podświadomość zareagowała, ale tak chcieliśmy się z kimś skontaktować, że skoczyliśmy na okno zobaczyć, kto się zgłasza. W tym momencie otworzyły się drzwi, wpadło do celi kilku strażników:

— zakazano, zabroniono, jeżeli jeszcze raz, będziecie ukarani — krzyczeli.

Nie był to jedyny sposób kontaktów praktykowany w więzieniu. Po południu dostawaliśmy gazety oraz informacje, że gazet jest mało, więc będą one krążyć. Na gazecie były naniesione różne wiadomości, gdzie kto jest, w sposób trudno dostrzegalny na pierwszy rzut oka, ale strażnicy też przeglądali gazety i mogli odkryć korespondencję, więc przekazywano tylko mniej istotne informacje, które mogły przejść przez tę cenzurę. Ja dostawałem gazety jako ostatni w kolejności, więc mogłem dowiedzieć się tylko, co słychać u kolegów, a sam przekazać niczego nie mogłem.

W tej celi był głośnik. Sądziłem początkowo, że program jest puszczany przez radiowęzeł więzienny. W trakcie rozmowy z naczelnikiem prosiłem, żeby włączył I program radia. On się przysięgał, że to jest retransmisja właśnie tego programu.

— To zupełnie nie wygląda na robotę profesjonalną, tylko na jakiś prymitywny radiowęzeł — ja mu na to. I wieczorem, z tego radia, a był to poniedziałek, 14 grudnia 1981 roku, dowiedziałem się, że właśnie dziś prokurator wniósł akt oskarżenia przeciwko Andrzejowi Słowikowi i Jerzemu Kropiwnickiemu za kontynuowanie działalności związkowej i zorganizowanie wiecu z całą tą otoczką propagandową, no i postanowił zastosować wobec nas areszt, uchylając decyzję o internowaniu.

We wtorek nie zdążyłem się nawet dobrze wyspać, kiedy polecono mi się ubrać, spakować, zabrać wszystko, co mam. Bez żadnej informacji, dlaczego. Skojarzyłem wczorajszą informację radiową i tak jak się domyślałem, znalazłem się na dole, w samochodzie milicyjnym, do którego wprowadzono najpierw Jacka Bierezina, potem Jurka Kropiwnickiego. Wnętrze tego samochodu podzielone było siatką na klatki. My z Jurkiem siedzieliśmy w jednej, Bierezin w drugiej, między nas wrzucono jakiegoś policjanta z długą bronią. Żadnych kontaktów, żadnych rozmów, prawie w milczeniu, wymieniając jakieś gesty na migi, dojechaliśmy do Łodzi, na Lutomierską, gdzie zostałem umieszczony najpierw w jakimś kiblu, a potem na przesłuchanie. Okazało się, że to już śledztwo. I to też była dziwna sytuacja.

Wcześniej nigdy nie miałem kontaktów z tzw. wymiarem sprawiedliwości, nie znałem zasad i metod. Śledztwo prowadził prokurator Ekiert, który mi się przedstawił, ale występował cały czas w obecności jakiegoś cywila. Zorientowałem się, że w tym pokoju gospodarzem jest właśnie ten cywil, wisiał tam mundur oficera milicji, bodajże kapitana. Praktycznie ten cywil dyrygował, do tego stopnia, że ręcznie sterował ciężko przestraszonym Ekiertem, podsuwając mu wręcz argumentację i komentarze do kolejnych artykułów, z których byłem oskarżony. A co śmieszniejsze, nie pokazano mi żadnego dokumentu pisanego, poza tekstem gazetowym, którym się Ekiert posługiwał, twierdząc, że za czyn, który popełniłem, to znaczy kontynuowanie działalności związkowej, ogłoszenie strajku, kierowanie manifestacją, w sytuacji stanu wojennego i trybu przyspieszonego, grozi mi kara od 15 lat więzienia do najwyższego wymiaru kary i czy zdaję sobie sprawę, że raczej to drugie wchodzi w rachubę. Słuchałem tego tak trochę dziwnie.

Wiadomo było, że wprowadzili stan wojenny nie po to, żeby się bawić; starałem się zorientować, jak bardzo są zdeterminowani i do jakiego momentu są gotowi jego autorzy się posunąć. Tutaj złudzenia zostały rozwiane. Gdy wróciłem do celi, tam przebywał już jakiś ciekawy człowiek, którego spotkałem dwa razy, gdy mnie przewożono to na Lutomierską, to na Smutną i z powrotem. Przedstawił się jako pułkownik Wojska Polskiego Wiesław Jabłoński, zamieszkały w Otwocku, ulicy nie pamiętam. Prosiłem później o sprawdzenie, okazało się, że taki tam nie mieszka i nie mieszkał. Pocieszał mnie: — „Wiesz, kary śmierci to ty nie dostaniesz". Myślałem wtedy, w jakiej formie to będzie wykonane, wiedziałem, że to towarzystwo jest skłonne potraktować człowieka w każdej sytuacji z możliwie największym brakiem szacunku. W stanie wojennym powinni raczej rozstrzelać, a nie wieszać — myślałem. Obawiałem się powieszenia. Ten człowiek, co wysnułem na podstawie moich późniejszych doświadczeń więziennych, miał czuwać nad moim dobrym samopoczuciem. Miał dietę, lepsze jedzenie, którym chciał się ze mną dzielić, miał pozwolenie na spanie w dzień, a ja razem z nim. Strażnicy nie zwracali na to specjalnie uwagi, albo udawali, że nie widzą. Wydaje mi się, że musiał spać w dzień, aby pilnować mnie w nocy, żebym sobie jakiejś krzywdy nie zrobił i nie spaskudził scenariusza, który szykowali.

Być korespondentem zagranicznym w Polsce (2)

Kocham ten kraj...

Ciąg dalszy rozmowy z BERNARDEM MARGUERITTEM

— Powiedział pan sporo o Mieczysławie Rakowskim. A jak pan ocenia Lecha Wałęsę?

— Wałęsę znam od bardzo dawna. Zmartwiłem się słysząc, że w Łodzi jest mniej popularny niż w innych regionach Polski. To osobowość. I niesamowicie się rozwija. Przypomnijmy sobie tylko telewizyjny pojedynek z Miodowiczem. W „Solidarności" też są ludzie małej wiary. Wszyscy, od Geremka po Wajdę obawiali się, że przewodniczący OPZZ zje Wałęsę. A przecież na ekranie Miodowicz nie istniał. Nawet generał Jaruzelski przyznał ostatnio, że był to moment przełomowy. W kontaktach z Wałęsą mam czasem uczucia mieszane, bo jest osobowością niezwykłą. Szczery, prosty, trafia do ludzi, ma instynkt przywódczy i posiadał go od początku. Ale pamiętam, że kiedy robiłem z nim program dla telewizji francuskiej, raptem powiedział: — jestem przygotowany do tej roli w narodzie, zawsze wiedziałem, że Matka Boska predestynowała mnie do tej roli. Ma w sobie coś z Joanny D'Arc, ale to chyba konieczne, aby dokonać to, co zrobił. A poza tym jakże on się rozwinął. Mówiłem o pojedynku z Miodowiczem. Ale weźmy jego wystąpienie w Kongresie USA. Nawet jeśli inni napisali przemówienie, wygłosił je wspaniale. Moim zdaniem jest o wiele zdolniejszy od Reagana. Reagan też był człowiekiem prostym i także pisano mu przemówienia. Wałęsa dobrze czuje się zarówno na wiecu, jak na spotkaniu z prezydentem amerykańskim czy panią premier Wielkiej Brytanii. Niedawno robiłem z nim wywiad, a potem z panią Danutą Wałęsową. Zapytałem, czy liczne zajęcia męża nie prowadzą do perturbacji w życiu rodzinnym. Odrzekła, że nie mają dla siebie czasu. Zapytałem potem: czy pani czuje to co ja — jak fantastycznie dojrzewa osobowość pani męża? Pani Danuta zdziwiła się: tak? ja tego zupełnie nie zauważam. Dla mnie był zawsze wspaniały, dwadzieścia lat temu, dziesięć lat temu i jest wspaniały dzisiaj. I to wszystko mówiła do kamery. Chciałbym, żeby moja żona tak mnie kiedyś oceniła. Był okres, kiedy uważała, że jej szanowny mąż korespondent był często zbyt ostrożny, za łagodny w ocenach. Żona aktywnie należy do „Solidarności". Mam więc czasem opozycję w domu. Mazowiecki jest zupełnie inny niż Wałęsa, to człowiek bardzo inteligentny, a zarazem kryształowy, może nawet za bardzo jak na polityka. Trzeba więc wierzyć, że moralność i polityka mogą być połączone, inaczej zginie w tej dżungli.

— Skoro doszliśmy do osoby premiera Tadeusza Mazowieckiego: jakie widzi pan zagrożenia dla rządu pod jego kierownictwem?

— Jakie widzę niebezpieczeństwa prócz tego, że wszystko może się załamać, kiedy na przykład pan Alfred Miodowicz będzie szermować hasłami populistycznymi, co może doprowadzić do sytuacji kryzysowej? Widzę ciągle zagrożenie socjaldemokratyczne, czyli karmienie się od nowa iluzją, że powstanie model prawdziwego socjalizmu. W to nie wierzę, gdyż dla mnie każdy model socjalistyczny oznacza wcześniej czy później brak poszanowania dla osoby ludzkiej. W socjalizmie zawsze jest kolektyw zamiast wspólnoty, wciąż mamy do czynienia z działaniem centralistycznym, państwowym zamiast inicjatywy jednostki. A przy tym brak w nim perspektywy duchowej.

Z drugiej strony widzę zagrożenie neokapitalizmu. Już widać ślady dzikiego liberalizmu, który nie liczy się z godnością osoby ludzkiej. To także trudne jest do zaakceptowania. Nie może być tak, że pojawia się coraz więcej luksusowych dóbr w Peweksach, a z drugiej strony są zupy, zresztą konieczne, dla najbiedniejszych. Może za dużo wymagam od Polski, ale to dlatego, że w pełni doceniam Polaków. Przeciętny Polak czy Polka, mówię to szczerze, są o wiele ciekawsi niż przeciętny Francuz czy Niemiec. Kiedy przebywam na urlopie we Francji, po trzech tygodniach nie wytrzymuję. Brak mi polskiej atmosfery, tych polskich rozmów. To o czymś świadczy. Tu są po prostu niesamowite możliwości, ludzkie. I kiedy cała Europa jest w kryzysie czekam, że Polska pokaże nowy model cywilizacji, który będzie nadzieją

Tablice

ze str. 1

nie grozi już nic, ale w Lubrańcu jest tylko jeden zakład, i w tym zakładzie nie ma źle, i wszyscy mówią, że będzie bezrobocie... SB to on się nie bał, ale dyrektorowi nie powinien się teraz narażać.

6.

Klimat społeczno-polityczny w sprawie tablic nie zmienił się do dzisiaj, za to wyraźnie poprawił w sprawie cmentarzy. Przyszły zalecenia wojewody: cmentarz żydowski zewidencjonować i oznakować. Wykonano natychmiast i działka cmentarna uzyskała status prawny. Wiadomo, ile ma powierzchni: 1,26 ha i jaki numer: 660. Odtąd nie będzie już można działki zająć. — *Ale* — jak mówi naczelnik Lubrańca Stanisław Pawlak — *nikomu nie zależy na niej, bo teren nie nadaje się na nic i niczemu nie przeszkadza.*

Naczelnik Pawlak zrobił i parę innych pożytecznych rzeczy: zbudował stadion i dworzec, załatwił w zimie węgiel i przyjął do domu obraz Matki Boskiej. Dzięki czemu nawet ciocia Włodzimierza Winclawskiego, pani Kuśmidrowa, mówi o naczelniku Pawlaku: — *Partyjny, ale porządny człowiek.*

Mimo opinii cioci Kuśmidrowej naczelnik przewiduje, że w najbliższych wyborach lokalnych wytną go i tak. Wszystkich partyjnych wytną. Wytną, wytną, w Polsce nigdy nie było wyważonej linii. Do tego doszło, że partyjni — ci starsi, z aparatu — boją się dziś, czy jaką emeryturę dostaną. Bronili władzy ludowej w latach czterdziestych, umacniali w latach pięćdziesiątych, rozwijali w sześćdziesiątych, a w osiemdziesiątych zastanawiają się, czy im się emerytura należy.

7.

Odbudowana synagoga, na której frontonie Włodzimierz Winclawski chciałby wmurować wiadomą tablicę, znajduje się w centrum miasta. Wejście jest od strony zachodniej. Od wschodu (Żydzi zwróceni byli w modlitwie ku Jerozolimie, na wschód) jest owalna wnęka, zwana Świętą Szafą — po hebrajsku Aron Hakodesz. Stała w niej Tora, najważniejsza księga Żydów, zawierająca Pięcioksiąg Mojżesza. Nad Świętą Szafą jest okrągłe okno, przez które wpadał do świątyni promień boży.

W Świętej Szafie lubrańeckiej synagogi leży transparent z napisem: *„Wyborco! Nie bądź widzem, pytaj, wybieraj, głosuj!"* oraz zwoje żarówek, oświetlających salę podczas dyskoteki. Okno, przez które wpadał boży promień zasłonięto, bo kiedy dyskoteka zaczyna się wcześniej, światło dnia przeszkadza tańczącym. Tylko wnęka u wejścia, w której stało naczynie do rytualnego obmywania rąk, jest pusta.

— *Ten ich bożek tutaj stał* — wyjaśnia pani, opiekująca się synagogą. — *Ten najgłówniejszy.*

— *Oni nie mieli bożka* — tłumaczy Włodzimierz Winclawski — *i ja to pani już kiedyś mówiłem. Oni mają Boga, jak my, Boga Starego Testamentu.*

— *Ja tam się nie znam* — pogodnie zgadza się opiekunka synagogi. — *Tyle wiem, że tutaj stał ich bożek, w tym miejscu.*

Ładnie, że odbudowano synagogę.

Dom kultury nie jest w koń-

dla nas wszystkich. Ale to oczywiście zależy od wielu rzeczy. Miałem rozmowę na początku Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej w Warszawie i wybrałem sobie temat „Aktualność personalizmu Emmanuela Mouniera" Jeśli ma powstać cywilizacja osoby ludzkiej, potrzeba, aby każdy zaangażował się we wspólnocie. Jest taka szansa Ze wspaniałym, może nawet zbyt wspaniałym premierem, panem Mazowieckim. Wizja nowych możliwości naszej cywilizacji zależy od każdego z was w Polsce.

— Jak pan zatem ocenia pomoc Zachodu w realizacji tej szansy?

— Wydaje mi się, że polityka Zachodu jest nieadekwatna, to rozległy temat. Gdybym był politykiem Zachodu, to po pierwsze, angażowałbym się w procesy gospodarcze tutaj i to w sposób o wiele bardziej dynamiczny i konkretny niż się to robi. Bo jest to, naturalnie, ogromna szansa dla zainteresowanych krajów. Gdyby się to wszystko miało nie udać, to po prostu nie wiem, jakie by były konsekwencje. Nie tylko dla Polski, Węgier itd. Kryzys Wschód—Zachód mógłby przybrać katastrofalne oblicze. Obawiam się nawet, że mogłoby to doprowadzić do III Wojny Światowej. Bo cóż oznacza porażka? Oznaczałoby to ponowne zamknięcie tych krajów po doświadczalnym ustaleniu, że rzeczywistość nie daje się zreformować. I wobec tego jest tylko jeden argument — siła wojskowa. Wówczas przywódcy tych państw mieliby tylko jedno wyjście — ucieczkę do przodu. Już choćby dlatego Zachód powinien być bardziej skory do współpracy. A prócz tego Zachód nie powinien ograniczać budżetów wojskowych. Dzieje się odwrotnie. Ogranicza się budżety wojskowe, ale chęć współpracy czy pomocy jest bardzo znikoma. To mi się wydaje nierozsądne i groźne.

— Jak pan widzi rolę prasy zachodniej w przybliżaniu czytelnikowi europejskiemu Polski i jej spraw?

— Pracowałem dla „Figaro" dziesięć lat. Jeśli teraz mnie tam nie ma, to dlatego, że denerwował kierownictwo mój sposób przekazywania materiałów. Uważali, że są za mało sensacyjne. Ale nigdy nie uprawiałem tego rodzaju dziennikarstwa. Kiedyś Urban powiedział na swej cotygodniowej konferencji prasowej:

— Tu, na tej sali, odbywa się walka.

Wówczas wstałem i powiedziałem:

— Przepraszam, to beze mnie, bo ja z nikim nie zamierzam walczyć. To pan zajmuje się propagandą, może niektórzy dziennikarze również, niech więc walczą między sobą, ja jestem korespondentem.

O to zupełnie inna rola. Podczas drugiej wizyty Ojca Świętego w Polsce przybyła z Paryża koleżanka, która miała oddać atmosferę pielgrzymki. Do mnie należało przekazanie aspektu religijno-politycznego. Na Stadionie X-lecia było dziesięć, może piętnaście transparentów „Solidarności". Napisała przede wszystkim o nich. Powiedziałem do niej:

— Bardzo pięknie, ale tam przy ołtarzu znajdował się jeszcze pewien człowiek, Ojciec Święty i może dobrze byłoby powiedzieć także o tym, co miał do przekazania ludziom.

Na to ona:

— Łatwo ci o tym mówić, ale nasze zadanie polega na tym, aby codziennie rano sprzedać w Paryżu gazetę.

To jest absurdalny rodzaj dziennikarstwa. I to jest konsekwencja materializmu dnia codziennego Prasa w komunizmie jest w trudnej sytuacji i wiadomo dlaczego,ale niełatwo jej także w kapitalizmie, bo trzeba polować na sensację. Ostatni dyrektor „Figaro", który dwa lata temu postanowił zamknąć biuro warszawskie, dlatego poszukałem zajęcia w telewizji, doszedł do wniosku, że w Polsce nic się nie dzieje i zapewne nie wydarzy się w przyszłości. Powiedział mi nawet:

— Dzisiaj robię gazetę, ale jutro może będę produkował mydło, jeśli okaże się to bardziej opłacalne.

Zagubiono sens posłannictwa prasy. Teraz wiem, że obraz telewizyjny może kłamać jeszcze bardziej niż tekst. Z drugiej strony jest dla mnie oczywiste, że takie podejście merkantylne źle się kończy. Bo jeśli ludzie czytają wyolbrzymione wiadomości i przekonują się, że jest zupełnie inaczej, to przestają kupować taką gazetę, która uważa ich za głupców. Komercyjne podejście jest nie tylko niemoralne, ale także nierentowne.

— Niezbyt to wesoła perspektywa. A którego z polskich dziennikarzy ceni pan najwyżej?

— Kisiel potrafi być felietonistą, pisarzem, kompozytorem. Uważam Stefana Kisielewskiego za najmądrzejszego polskiego dziennikarza politycznego, który tylko pozornie dowcipkuje. Słyszałem, że on również wyraża się o mnie sympatycznie i brał mnie w obronę, kiedy byłem krytykowany, pod koniec 1981 r. Uważałem wówczas, że część „Solidarności" idzie fałszywym tropem, trzeba było bowiem ostrożnie wykorzystywać szansę. Miał rację prymas Wyszyński, kiedy 26 sierpnia 1980 r. przestrzegał, aby iść krok po kroku. Wielu działaczy „Solidarności" uważało, że szansy nie ma, trzeba natomiast dać świadectwo. Pamiętam jeszcze niedawno rozmowę z bardzo mądrym człowiekiem, działaczem „Solidarności" wysokiego szczebla. Zwracałem uwagę, że mimo goryczy, trzeba doprowadzić do porozumienia. Zwracałem uwagę, że „Solidarność" i PZPR są na tym samym statku, a statek tonie. W odpowiedzi usłyszałem:

— Być może, ale chodzi o to, jak się tonie. Czy depcząc w gównie czy trzymając wysoko sztandar?

Odrzekłem na to:

— To piękna polska tradycja, ale może są lepsze rozwiązania.

Za tę krytykę niektórzy podejrzewali mnie o to i owo. Natomiast Kisiel to zrozumiał.

— Czy ma pan świadomość swej wielkiej popularności w Polsce?

— Kiedy Jerzy Klechta zaprosił mnie do programu „Bliżej świata", nie wiedziałem, że to pułapka. Kiedy bowiem zaczął emitować wybrane programy telewizji satelitarnej i zapraszać korespondentów zagranicznych, obiecywał, że będzie rotacja. Tymczasem często występuję, jakby nie było innych. A co do mej popularności. Ciągle jeżdżę szybko samochodem, a i tak wiecznie się spóźniam. Ostatnio zatrzymała mnie milicja drogowa, prosi o dokumenty. Sierżant popatrzył i mówi: — O, pan redaktor. Zawołał kolegę. — O, popatrz, „Bliżej świata". Z niepokojem czekałem na wynik. A kiedy milicjant wyciągnął jakąś karteczkę, myślałem, że to mandat. Tymczasem tamten prosi: — Niech pan mi się tu podpisze, dla dziecka. W każdym razie na coś się to przydaje.

— Pozwoli pan, że na zakończenie zadam jeszcze jedno pytanie, jak pan ocenia stosunki francusko-polskie i co można zrobić, aby nasze kontakty były lepsze?

— Mój pobyt w Polsce ma sens, ponieważ urodziłem się we Francji i chcę coś zrobić dla kraju, gdzie się urodziłem. Ale moja żona i dzieci urodziły się w Warszawie, toteż pragnę jednocześnie zrobić coś pozytywnego dla kraju, gdzie oni się urodzili. I staram się jak mogę, ale to przerasta moje możliwości. Sądzę, że stosunki polsko-francuskie są zgodne z temperamentami ludzi w obu krajach, bardzo podobnymi w dobrym i złym znaczeniu tego słowa. Dlatego te stosunki są sympatyczne, żywiołowe, ale mało konkretne. Denerwuje mnie, że tak mało robi się dla ożywienia tych stosunków.

W ambasadzie usłyszałem, że są trudności, aby przysyłać do Polski książki, fundować stypendia, ale stosunki polsko-francuskie są znakomite. Na dowód tego poinformowano mnie, że w grudniu 1989 r. przyjedzie teatr z Marsylii. Współpraca na co dzień jest trudniejsza, bo mniej interesuje urzędników. Jako stały korespondent telewizji francuskiej w Polsce jestem w troszkę lepszej sytuacji niż mi się to wydawało, a to dlatego, że demokratycznie, a więc zaocznie, zostałem wybrany do prezydium towarzystwa Francja—Polska. To ma swoje dobre strony, jeśli będzie nie tylko zaszczytem, ale wyniknie z tego coś konkretnego. Towarzystwo France—Pologne chce wysyłać do Polski książki, jest ono szczególnie aktywne w rejonie Lyonu. Jest jednak pewna niekonsekwencja. Kiedy w Polsce przebywał prezydent Mitterrand i podpisał umowę o rozszerzeniu stosunków kulturalnych, ambasada została zawiadomiona, że środki na tę wymianę zostaną obniżone o 400 tys. franków.

Ale są jeszcze inne ścieżki, na przykład Ministerstwo Kultury Francji. Został także utworzony fundusz im. Marii Skłodowskiej-Curie, którego zadaniem będzie przekazywanie książek do Polski, głównie do bibliotek. Poza tym w Ministerstwie Spraw Zagranicznych funkcjonuje Bureau du livre. Ale najlepsza droga to kontakty osobiste. To konieczność, skoro mówimy, że Europa jest naszym wspólnym domem.

Żałuję, że stosunki polsko-francuskie nie mają takich wymiarów, do jakich predestynuje je tradycja. Ale teraz są dodatkowe impulsy, ze względu na problem niemiecki. Mówiłem ambasadorowi, że gdybym o tym decydował, to bym doprowadził do wystawy francuskich osiągnięć technologicznych. Bo we Francji patrzy się na Polskę w sposób stereotypowy: oprócz Wałęsy, „Solidarności" i paru innych rzeczy, ludzie niewiele wiedzą o polskiej rzeczywistości. Tak samo dla przeciętnego Polaka Francja to wciąż Place Pigalle, kobietki, Moulin Rouge, perfumy, szampany. A przecież Francja dzisiejsza to doskonałe osiągnięcia w dziedzinie samochodów, rakiet, kolejnictwa. A co Polska może dać Europie i Francji, już mówiłem.

— Bardzo dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
KONRAD FREJDLICH

Lista represjonowanych w stanie wojennym

Przedstawiamy dziś kolejny rejestr osób internowanych w okresie stanu wojennego. Jest to spis niepełny, wierzymy jednak, że uda nam się go odtworzyć z pomocą naszych Czytelników. W zakładzie karnym w Łowiczu, który w pewnym momencie stał się głównym ośrodkiem internowania dla mężczyzn, taką listę w postaci grypsów wysyłanych za mury sporządzał Andrzej Terlecki. Jemu też zawdzięczamy poważne uzupełnienie posiadanego przez nas spisu, za co składamy mu serdeczne podziękowanie.

K.F.

1. Grzegorz Abramowski
2. Władysław Barański
3. Jacek Bierezin
4. Piotr Bikont
5. Jerzy Bronikowski
6. Antoni Chyliński
7. Marek Chwalewski
8. Marek Czekalski
9. Jarosław Daszkiewicz
10. Tadeusz Dąbrowski
11. Marek Denoch
12. Jerzy Drygalski
13. Wojciech Dyniak
14. Stefan Erchard
15. Edward Frątczak
16. Konrad Garda
17. Adam Głowacki
18. Henryk Garusiński
19. Witold Sułkowski
20. Ryszard Grabski
21. Zofia Gromiec
22. Włodzimierz Gromiec
23. Wojciech Hempel
24. Janusz Hetman
25. Ryszard Iwański
26. Edward Jabłoński
27. Roman Jarnuszkiewicz
28. Wojciech Jaśmian
29. Piotr Karbowski
30. Stanisław Kowalczyk
31. Stanisław Kurnik
32. Jacek Kwaśniewski
33. Jan Lech
34. Teresa Lechowska
35. Jerzy Leja
36. Mirosław Łeń
37. Jerzy Markiewicz
38. Jacek Matysiak
39. Andrzej Mazur
40. Jarosław Mrozowski
41. Tomasz Mysłek
42. Marek Myszkiewicz-Niesiołowski
43. Henryk Nebor
44. Andrzej Niedbała
45. Waldemar Niedźwiecki
46. Henryk Oberle
47. Andrzej Owczarek
48. Jacek Ozimek
49. Ryszard Pacer
50. Edward Pieńkowski
51. Janusz Płucienniczak
52. Stanisław Popka
53. Bohdan Porwisiak
54. Zbigniew Sekulski
55. Zbigniew Siemiński
56. Jan Sitarz
57. Alfred Skórzewski
58. Krzysztof Słoczyński
59. Jan Sosnowski
60. Jerzy Scheur
61. Aleksander Staniak
62. Bogdan Stasiak
63. Janusz Stelmach
64. Czesław Stradowski
65. Wojciech Szostak
66. Konstanty Szwemberg
67. Janusz Tomaszewski
68. Grzegorz Walczak
69. Wojciech Walczak
70. Piotr Wielogórski
71. Adam Więckowski
72. Edward Wiśniewski
73. Leszek Witkowski
74. Bolesław Wrzesiński
75. Tadeusz Zakrzewski
76. Zbigniew Załęcki

C.D.N.

---

cu przeznaczeniem najgorszym. W innych synagogach mieszczą się magazyny, sklepy, punkty skupu, restauracje, piekarnie, młyny, remizy strażackie, miejskie przedsiębiorstwo oczyszczania, pijalnia piwa, basen...

Były tu kiedyś piękne, kolorowe malowidła na ścianach. Zniszczyły się, kiedy w synagodze mieścił się magazyn nawozów, a do środka wjeżdżało się końmi, więc podczas remontu zamalowano freski na biało. Podobno nie jest to nieodwracalne. Podobno dałoby się to białe zmyć, bo pod spodem wciąż jeszcze są kolorowe malowidła... Ale jakie to ma znaczenie właściwie?

Włodzimierz Wincławski zaczepia na ulicy chłopców wracających ze szkoły — *czy wiedzą, co tutaj jest?* Wiedzą: dyskoteka Młodszy wie, że dyskoteka nazywana jest synagogą, starszy — że tu był kościół żydowski. Żaden nigdy nie widział Żyda na oczy.

Włodzimierz Wincławski bawił się w dzieciństwie w Żydów ze starszymi kolegami. Koledzy pamiętali dawne, wspólne zabawy, sprzed wojny, i Włodzimierz Wincławski strasznie im tej pamięci zazdrościł. Po latach dowiedział się, że wyliczanki — *„Entełe-bentełe-szykełe-sza-rafete-fajfete--knot"*, albo *„Ene-due-fake--torbe-borbe-"* to są żydowskie wyliczanki i że takie przenoszenie zabaw w czasie nazywa się w etnografii przekazem kulturowym.

Koledzy Włodzimierza Wincławskiego z lat dziecięcych stoją dzisiaj na rynku i na rogach głównych lubranieckich ulic. Chwieją się lekko — najbardziej chwieją się ci, co byli ambitni, bo w alkoholu topią swoje niespełnienie i uśmiechają się rozczulonym, szczerbatym uśmiechem: Włodzio przyjechał! Nasz profesor! — *A pamiętasz Włodziu, jak razem startowaliśmy w zawodach dla dzieci do lat dwunastu? A pamiętasz, że to ja byłem pierwszy w rzucie oszczepem?*

„Włodzio" mówi, że gdyby dziadek nie budował Chicago, on też by tak stał, chwiejąc się lekko. Ale dziadek przywiózł ze Stanów pieniądze, wykształcił córkę, ta córka już wiedziała, że dzieci należy kształcić, i posłała na studia swego syna, Włodzimierza Wincławskiego właśnie, który więcej do Lubrańca nie wrócił.

Dlatego, że dziadek i że Chicago...

Dlatego, że był to dziadek z Niemców, którzy wzięli się za murowanie...

Dlatego, że polskie sukno... i tak dalej.

8.

Ostatni lubraniecki Żyd nazywał się Kałme Lewkowski. Mieszkał w rynku, miał konia i wóz, woził mleko, umarł przed czternastu laty.

Przed wojną mieszkał w tym samym domu, przy rynku, z żoną i pięciorgiem dzieci.

Żona zginęła w Chełmie, czworo dzieci w Oświęcimiu, w komorze gazowej. On też był w Oświęcimiu. Poza nim przeżył tylko najstarszy syn. Obaj pracowali w Sonderkommando: nosili z lasu drzewo, rozpalali krematorium i wrzucali do pieca zagazowane zwłoki. Zwłoki były ciężkie, a syn słaby, na szczęście SS-mani nie zorientowali się, że Kałme pracuje za obydwu.

Podobno któregoś dnia Kałme wrzucił do pieca zwłoki swoich czworga dzieci.

Tak opowiadają w Lubrańcu, a wszystko, co opowiada się o Żydach, którzy przeżyli Zagładę, mogło się zdarzyć.

Po wojnie Kałme Lewkowski z synem wrócili do Lubrańca. Wróciło także pięciu czy sześciu innych Żydów. — spośród dziewięciuset mieszkających tu przed wojną. Wszyscy, poza Kałmem, wyjechali z Polski, także jego syn. (Józef Luks, najbogatszy z Żydów, właściciel sklepu z żelazem w Lubrańcu i fabryki we Włocławku, tłumaczył Stefanowi Balcerskiemu, późniejszemu burmistrzowi, dlaczego wyjeżdża: — *Przyjdzie kto, stanie na rynku któregoś dnia i krzyknie:* „Precz z Żydami". *I co wtedy? Wtedy będzie za późno, trzeba od razu jechać).*

Wszyscy wyjechali więc i pozostał jeden: Kałme Lewkowski.

— *To było jego miasto* — mówi ciocia Kuśmidrowa — *i w nim chciał umrzeć. Jak ksiądz Maternowski, proboszcz, który na schodach plebanii prosił Niemców:* „Panowie, tu mnie zastrzelcie, pozwólcie mi umrzeć w Lubrańcu", *ale nie pozwolili i zamęczyli go w Dachau.*

Kałme zamieszkał z Marysią.

Marysia była sierotą, była ułomna i wróciła z robót z dzieckiem. Kalectwo, które jej zostało po chorobie Heinego-Medina, pogorszyło się w Niemczech, kiedy cofające się wojsko podpaliło dom razem z polskimi robotnicami i Marysia musiała wyskoczyć z okna.

Wcześniej pracowała u bauera. Koledzy, pracujący w młynie, dali jej parę jajek i chleb. — *Niesłam tłumoczek pod pachą, ale zobaczył niemiecki chłopak i pyta, co niese. Nic, mówię, szajse, złapałam buta i go rąbłam w łeb. Rano przyszedł żandarm:* „Maryśka szykuj się". *Zaprowadził mnie do młyna, a tam już sznur wisiał. Myślę sobie — gancegal i tak jestem na zmarnowanie — i weszłam na stołek, i ta pętla wisiała mi nad głową. Wtedy otwierają się drzwi i wchodzi mój bauer, Erich:* „Schodź Maryśka, wracamy". *Nie zejdę, mówię. Zabiją i tak, to co będę schodzić, jak już stoję, ale złapał mnie za rękę, ściągnął ze stołka i nie dał na zmarnowanie.*

Marysia wróciła zaraz po wojnie. Miała dwadzieścia lat, dziecko miało dwa lata. Kto weźmie do siebie kaleką sierotę z panieńskim dzieckiem?

Kałme Lewkowski zobaczył ją u ludzi, u których była na służbie: — *Chodź, Marysia* — powiedział — *u mnie będzie ci dobrze.* I było jej dobrze przez całe trzydzieści lat, które przeżyli razem. Dobry był, ładny był, co zarobił przyniósł, i przepisał na nią cały dom, ten w rynku. Tyle że był smutny. Siedział przy stole i płakał. — *Synów płakał, córki płakał, żony płakał, a ja płakałam z nim. Razem siedzieliśmy i płakali* — mówi Marysia, i z jej niebieskich oczu zdziwionego dziecka płyną łzy. Za Kałmem? Za jego żoną? Za czwórką jego dzieci, które sam...

Parę razy wspominał o chrzcie, ale mu odradzała. — *Na co ci? Masz swoją wiarę, to już se miej...*

Miał swoją wiarę, ale nie miał swojej świątyni (w synagodze mieścił się jeszcze magazyn nawozów) i chodził razem z nimi do kościoła. Siadał zawsze w tym samym miejscu — na bocznej ławce, pod chórem. Opierał obie ręce na lasce, nie modlił się, nie klękał, tylko siedział tak i patrzył przed siebie.

Któregoś dnia powiedział — *Marysia, a jeśli ksiądz nie zechce mnie pochować jako człowieka?* (Żydowski cmentarz nie był zaewidencjonowany jeszcze i pasły się na nim owce i krowy).

Sam wybrał sobie rodziców chrzestnych i sam poprosił o księdza. — *Tak chciał* — mówi Marysia — *i tak musiałam mu uczynić.*

Przyszedł ksiądz. Nadał Kałmemu imię — Karol. Na drugi dzień Karol Lewkowski, ostatni z lubranieckich Żydów, zmarł. — *Oczy mu przymknęłam. Monet nie kładłam na powieki, bo ładnie te oczy zamknął, że się nie otwierały i ksiądz wyprowadził go na nasz cmentarz.*

9.

Żydzi, jeśli nie liczyć Kałmego — Karola, byli w Lubrańcu do wiosny 1942.

Niemcy — do wiosny 1945.

Mowa o miejscowych Niemcach, związanych z Lubrańcem od pokoleń, może nawet od sukna i od murowania.

Linde miał mleczarnię, przez całą wojnę dawał polskim pracownikom masło i ser.

Kusmahli był weterynarzem, jego matka zapraszała podczas wojny ciocię Kuśmidrową na słuchanie radia, a jego żona przestrzegła ciocię przed wysiedleniem.

Szewc, który miał garbatego syna — nikt nie umie sobie przypomnieć ich nazwiska — zrobił pani Łanowskiej, obecnej właścicielce cukierni w rynku, buty z przydziałowej, niemieckiej skóry, chodziła w nich po wojnie przez wiele lat.

A jeszcze był Tesman, jeszcze Kopp...

Szef miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa wyprowadził ich do lasu.

Dr Władysław Hofman widział, jak szli.

Był to sosnowy las, na skraju rosła dzika grusza, pod nią ciągnęły się okopy.

Nad okopami szef UB zastrzelił lubranieckich Niemców, a leżących dobił bagnetem.

Było to 19 marca 1945 r. Szef UB mówił później, że to imieninowy prezent dla Józefa Stalina, od niego osobiście. Przykrył zwłoki chrustem i zostawił w okopie.

(Ciocia Kuśmidrowa widziała ich nazajutrz, przed wieczorem, jeszcze leżeli pod tymi niedbale rzuconymi gałęziami: widziała Kusmahlego, Lindego, szewca, którego nazwiska nikt nie potrafi sobie przypomnieć, jego syna-grubaska, przytulonego do ojca...)

Jest las. Jest dzika grusza. Jest ślad po okopie — lekkie wgłębienie, zaraz na skraju. I żadnej tabliczki, żadnego znaku, tylko zwykły pejzaż zabijania, bowiem zbrodnia ma swój ulubiony krajobraz, taki właśnie: piachy, jar, rzadki las sosnowy...

Do Włodzimierza Wincławskiego.

„Szanowny Panie Profesorze, pragnę podzielić się z Panem myślą, która dręczy mnie od mojej wizyty w Lubrańcu. Mamy jeszcze jedną sprawę do załatwienia: jeszcze jedną tablicę. Należałoby umieścić ją na gruszy, nad okopem. Tablica miałaby przypominać, że byli Niemcy w Lubrańcu".

10.

Tadeusz Pieńkowski, wiceprzewodniczący „Solidarności" z SKR, wcale się nie bał i przyszedł w końcu.

Wyjaśnił, że dyrektor jemu to nakazał w stanie wojennym zdjąć tablicę „Solidarności", ale on nie wykonał polecenia, że na warsztacie człowieka, który tablicę zdjął, rzeczywiście postawiono świece, ale kto stawiał, nie wiadomo do dzisiaj.

Czy to jest zresztą takie ważne, że Niemcy z RFN wykupili już dwa pegeery, a w lubranieckiej przetwórni warzyw siedzą od tygodnia i też pewnie będą zakład kupować?

— *To co?* — pyta Tadeusz Pieńkowski. — *To u Niemca teraz będziem robić?*

HANNA KRALL

Fragment książki „Hipnoza", która ukaże się nakładem wydawnictwa „ALFA".

To wciąga jak narkotyk.

Ludzi dużo — bagaży więcej

JERZY CECHOWSKI

1.

Dzwoni Tadek.

— *Jedziemy na Węgry; ja, Zenek, a ty byłbyś trzeci. Tylko załatw bilety.*

Po dziesięciu dniach stoimy na Dworcu Wschodnim w Warszawie i czekamy na „Batorego". Ludzi dużo, bagaży jeszcze więcej. Zimno. Rozgrzewamy się żytniówką z „Pewexu". Tadziowi zebrało się na marzenia.

— *A może na tych trzech pozostałych kuszetkach będą kobiety?*

Kuszetkowy — Węgier sprawnie przyjmuje pasażerów. Rojenia Tadzia nie sprawdzają się. Jest kobieta, ale tylko jedna. Zenek podaje walizy przez okno, tylko dwie znajdują miejsce w przeładowanym już bagażniku, resztę upychamy pod oknem. Ruszamy.

Anka, Zdzisiek, Krzysiek. Jest wódka, mówimy sobie na ty. Czas płynie szybko, wódka również. Rozwiązują się języki. Zaciekawienie wzbudza Krzysiek. Jest kapitanem WP w jednej z podwarszawskich jednostek. Tadzio też był w wojsku zawodowym, przekroczył czterdziestkę i jest urzędnikiem. Najmłodszy z mężczyzn. Zenek, ponad 30 lat, mówi że też ma stopień wojskowy — kapral, ale był za to w Egipcie na Synaju — polskim kontyngencie ONZ w charakterze kierowcy.

Krzysiek co pewien czas znika. Szwagier w sąsiednim przedziale obchodzi urodziny. Wychodzę na korytarz i widzę jak Krzysio ciągnie bezwładnego szwagra do kuszetki.

2.

Katowice. Stoimy godzinę, kogoś wysadzają. Robi się nerwowo.

— *To opóźnienie* — mówi Krzysiek — *wyjdzie nam na dobre, będą mieli mało czasu na mieszanie.*

Nareszcie granica. Wchodzi dwóch celników.

— *Gdzie pan jedzie?*

— *Do Domony.*

— *Mów pan po polsku.*

— *To miejscowość pod Budapesztem.*

W przedziale zapada złowroga cisza.

— *Jakie upominki pan wiezie?*

— *Koniak i takie tam różne drobiazgi.*

Gdy wszyscy przygotowują się na najgorsze, drugi z celników rozpoznaje w Krzyśku przełożonego z lat żołnierskich. Aż słychać te wszystkie kamienie, które spadają nam z serc.

Na korytarzowym chodniku drzemią wracający z handlu w Polsce Węgrzy. Zapraszamy śliczną Węgiereczkę do środka, a ta ciągnie ze sobą męża. Na „Keleti" wjeżdżamy z dwugodzinnym opóźnieniem.

Kierownictwo wycieczki obejmuje Krzysiek. Wsiadamy do autobusu 73E i po 20 minutach jesteśmy na miejscu. Tadek pcha swój bagaż na wózku, wszyscy inni pocą się pod ciężarem toreb. Jest ciepło, świeci słońce, a do rynku 200 metrów. W połowie drogi Krzysiek zatrzymuje się, wskazuje nam drogę, bierze ze sobą szwagra i mówi, że idą załatwić kwatery także i dla nas.

3.

Na rynku tłum ludzi. Z trudem znajdujemy skrawek miejsca przy chodniku mając z tyłu, w charakterze osłony, samochód osobowy. Rozkładamy obrusy z folii i wyjmujemy nieco towaru, musimy mieć ciągle napiętą uwagę, ponieważ ludzie są natrętni, wyciągają z ręki, zaglądają do toreb, i targują się nawet wtedy, gdy podaje się im śmiesznie niską cenę. Zenek sprzedaje damskie botki. Nie bardzo wie, ile cenić.

— *Zenek, co ty robisz, przecież takie buty to kosztują ponad 2 tys., ceń co najmniej 1200.*

Węgierka posyła mi nienawistne spojrzenie i szybko płaci 800. Z głośników drze się „Lambada", pojawiają się Cyganie

Po kilku minutach spostrzegam ze zdumieniem, że brakuje mi dresu, który trzymałem w rękach, nie mogę uwierzyć — ale to fakt. Alarmuję innych. Okazuje się, że oprócz Zenka, każdy zgłasza ubytki. Zamykamy torby i wynosimy się stamtąd. Siadamy nie opodal rynku i obliczamy straty. Najbardziej pokrzywdzony czuje się Tadzio, ma nie całkiem sprawną rękę, a skradziono mu wózek. Zdzicho nie może sobie darować straty skórzanej marynarki, a Anka nowych spodni z teksasu. Kiniemy Cyganów na czym świat stoi, będąc jednocześnie pod wrażeniem ich niezwykłych zręczności. Zenek idzie poszukać coś do picia. Po powrocie mówi, że natknął się na Krzysia, który nie znalazł dla nas noclegu.

— *Świnia, podprowadził nas z tym rynkiem* — konstatuje rozgoryczona Anka.

4.

Po ponadgodzinnej jeździe bez zatrzymywania dojeżdżamy do „Cyöngyös. Za miastem góry Matra w barwach złotej jesieni. Z dworca idziemy na oddalony o 100 metrów bazar. Dochodzi 15. Handel powoli zamiera. Zatrzymujemy się na skwerku przed muzeum skąd we dwójkę z Tadziem idziemy szukać kwatery. Napotkana dziewczyna z Białegostoku wprowadza nas do rudery, gdzie mieszka wspólnie z dwiema koleżankami. Trzy pokoje w amfiladzie, zaduch i mówiąc oględnie — niezbyt czysto.

— *Szkoda, bo dziewczyna warta grzechu* — mówi Tadzio.

Po niespełna godzinnych poszukiwaniach kobieta nazywająca siebie Madame Irena otwiera furtkę prowadząc nas do swej rezydencji. Skromnie, ale czysto. W parterowym domku — kuchnia z łazienką i dwa przejściowe pokoje — w takiej właśnie kolejności. Tadzio załatwia z panią Ireną formalności, a ja przyglądam się setkom butelek ustawionym pod płotem po międzynarodowych trunkach. Wychodzi zadowolony Tadek potrząsając pękiem kluczy.

— *Mamy pięcioosobowy pokój w tym przejściowym.*

— *No i czegoś taki zadowolony?*

— *Bo ostatni zajmują trzy babki.*

Kolację rozpoczynamy w towarzystwie Madame Irena, która w polsko-rosyjskim łamańcu językowym wyjaśnia nam, że w środowisku turystycznym jest ogólnie znana. Ma dwoje dorosłych dzieci, córka jest lekarką, a syn dziennikarzem. Postanowiła kupić dzieciom samochody i niedużo już jej brakuje. Częstujemy ją wódką, macha rękami: — *Uf! Krepka.* — Żegnając się inkasuje od każdego z nas po 150 forintów miesięcznie. Po kilku minutach w barze jest wesoło i gwarno. Zdzicho przy sąsiednim stole skupia wokół siebie gromadę Węgrów, którzy ostentacyjnie okazują mu swoją sympatię.

Tadek z Zenkiem wdali się w pogawędkę z Węgrem w sile wieku, który usilnie zaprasza nas do siebie. Ponieważ do odjazdu pozostały ponad trzy godziny, zaproszenie przyjmujemy.

Za furtką niewielki dziedziniec, za nim ogródek, w którym coś tam jeszcze rośnie, po lewej chlewik z dwoma prosiakami i magazyn na kukurydzę, słonecznik i dynię. Po prawej parterowy długi domek z przybudówką. Wprost z dworu wchodzimy do pokoju, w którym uwagę przyciągają jednakowej wielkości kolorowe talerze, umiejscowione w trzech równych rzędach na trzech ścianach. Jest ich 88, a jeden niepodobny do drugiego. Stół, kanapa, kilka krzeseł tworzą całe umeblowanie. Gospodarz — Andreas przedstawia nam swą czarnowłosą córkę Ferі, której poleca przygotować gulasz dając jednocześnie do zrozumienia, że Anka też powinna iść do kuchni.

Madziar prowadzi męską część grupy do przybudówki, odkorkowuje jedną z kilku drewnianych beczułek, wkłada do środka gumowy wąż proponując gestem tego dość oryginalnego drinka. Gronowe wytrawne wino orzeźwia, czego niewątpliwym dowodem jest Zenek, który sprawiał wrażenie jak gdyby też wąż się do niego przyssał.

Sześćdziesięcioletni Andreas, niezwykle ruchliwy człowiek, z poczuciem dumy oprowadza nas po swoim domu. W prawo od poznanego już pokoju jest sypialnia, do której wchodzimy zdejmując przedtem buty. Wzrok przyciągają siedzące obok siebie dwie lale 50 cm wysokości, ubrane w regionalne węgierskie stroje, łóżka, kobierce — wszystko w starym stylu. Są jeszcze dwa pokoje — z tego jeden wizytowy, a drugi też sypialnia. Meble w ciemnej tonacji tworzą udaną kompozycję. Madziar włącza przenośny radiomagnetofon „Kasprzak" i zaprasza do wspólnego czardasza, pokazuje nam najprostsze kroki i po chwili tańczymy wszyscy.

5.

O szóstej już jesteśmy na nogach. Chłopcy z Białegostoku podwożą nam część tobołów na bazar, przed bramą którego otyła Madziarka inkasuje po 100 forintów od polskiego łebka. Przechodzimy obok trzech rzędów stołów i rozkładamy towar w amfiteatrze, gdzie można usiąść na ławkach.

Niedziela, 12 listopada 1989, godzina siódma. Dość chłodno, ale wzeszło słońce i niedługo będzie cieplej. Handel idzie niemrawo, choć interesantów jak na to 40-tysięczne miasteczko dość dużo. Spostrzegam mężczyznę obwieszonego jak choinka biustonoszami. Zenek też sprzedaje biustonosze.

— *Stary, czysty zysk, kupujesz w Polsce po 4000* (ponoć już nieaktualne) *a tu idzie po 130 f.*

Węgierka ogląda majtki

— *Kici.*

— *Kici? Trzeba było tyle nie jeść, to by ci tyłek tak nie urósł* — mówi z uśmiechem Zenek. Kobieta odwzajemnia uśmiech i odchodzi zadowolona.

Na całej szerokości sceny amfiteatru wisi ekran, oświetlony teraz promieniami słońca. Pod nim również kwitnie handel. Wystarczy przymrużyć oczy, by ujrzeć film z żywo gestykulującymi, ciągle przemieszczającymi się groteskowymi postaciami. Otwieram szeroko oczy, bo dostrzegam tam w towarzystwie białostoczan Ankę, przymierzającą zielony dres ze sztucznego tworzywa z napisem adidas. Po chwili przybiega cała w skowronkach.

— *Ładnie mi w nim, co nie? I tylko 900 forint.*

Zdzich dyskretnie spluwa i znienacka rzuca hasło:

— *Pakujemy się i jedziemy na mój rynek, ale pod jednym warunkiem, nikt nie zdradzi jego nazwy, tam nie ma Polaków.*

Mianuję go szefem operacji i jako symbol wkładam mu na głowę swój kapelusz.

6.

W autobusie Tadeusz rozdaje wszystkim lizaki kupione przedtem w NRD, tu na rynku nie znalazły nabywców. Zdzichu wdaje się w pogawędkę ze starszą panią i już po chwili wiemy, że autobus w „Y" ma 4 godz. postoju, po czym jedzie dalej do „X". Zapraszamy kierowcę na kawę do baru, jakich na Węgrzech nie brak nawet w najmniejszej wiosce.

Schludnie i czysto. Przy stołach kilku mężczyzn, piją piwo, w kącie dwóch gra w bilard z grzybkiem. Kawy chwilowo nie ma, więc kierowca zadowala się coca-colą. Mówi, że jest zadowolony ze swojej pracy i że zarabia 8 tys. tutejszych forintów miesięcznie.

7.

O szóstej jesteśmy na miejscu, Zdzicho prowadzi nas do miejscowego hotelu. Wynajmujemy 5-osobowy pokój za 140 f za łóżko. W pokojach skromnie, ale czysto. Zdzicho czuje się tu jak u siebie w domu. Nie ukrywa zadowolenia, kiedy rozpoznaje go recepcjonistka, która wchodzi za nami do pokoju, dając do zrozumienia, że chciałaby coś kupić. Zdzichu wyjmuje brązową kurtkę ze skórzanych łatek, do której aż śmieją się oczy dziewczyny. Na sakramentalne „*meni*" przymilnie oświadcza: — *dla innych 4500, a dla ciebie 4000.*

Zadowolony z pierwszej tak udanej transakcji prowadzi nas na dół do hotelowej restauracji, dużej i pustej o tej porze roku. Po chwili kelner przynosi specjalność kuchni Ipoloo. Kotlet schabowy, podobny naszemu, tyle że z lat sześćdziesiątych, smażone mięso wołowe, wątróbka, jajo sadzone, biała i czerwona kapusta, frytki i ryż. Dwie porcje tego specjału na naszą piątkę wystarczają aż nadto, a wszystko to za niewiele ponad 400 f.

W tutejszym barze kupujemy piwo i colę, bo na górze czeka już na nas wcześniej przygotowana wódka ze spirytusu. Rozmowę zaczynamy od książek. Zdzisiu przeczytał ostatnio „08/15" Kirsta i z przejęciem rozprawia o wyczynach bombardiera Ascha. Anka lubi Prusa, nie może uwierzyć, że nie czytałem jego „Katarynki". Mówimy o przyjaźni w „Trzech Towarzyszach" Remarque'a i o alkoholu pitym przez bohaterów w jego kolejnych książkach.

— *Ale czereśniówki tam się nie piło* — zauważa Tadzio.

Anka znowu plecie trzy po trzy, więc na pocieszenie przytaczam jej fragment z książki „Dom i Świat" Rabindranatha Tagore „*Miłość jest włóczęgą, którego kwiaty piękniej rozkwitają w przydrożnym pyle niż w kryształowych wazonach ustawionych w salonie*".

8.

Nad ranem suszy jak na pustyni. Robię mnóstwo herbat, ale nic nie pomaga. Zenek i Tadek przeprowadzają kurację spirytusową, z wielkim oporem ulegam ich namowom — pomogło. Dźwigamy ciężkie torby. O siódmej jesteśmy na miejscu za 25 f od osoby. Zimno, szron na dachach i na trawie. Marzniemy, więc Tadzio proponuje po jednym. Ruch na rynku zwiększa się. Idzie wszystko, młodzieżowe — dresy z sitodrukowymi ozdobami po 500—600 f, ręczniki po 150, latarki po 50, kurtki dżinsowe z podpinką po 2500, i nikt nie kradnie. Zenek zwraca uwagę na kobietę, która ma na głowie w charakterze kapelusza opatulony w miękki materiał garnek z uszami — osobliwe nakrycie głowy. Jedyni oprócz nas, trzej Polacy, rozkładają swój towar. Nocują w samochodach, trzeba tylko wiedzieć gdzie, bo policja przegania.

O jedenastej jest już po rynku i prawie po naszych towarach. Najwięcej zostało Zdzichowi, więc on zostaje, a reszta idzie do hotelu. Przedłużamy pobyt i idziemy zwiedzać miasto. Wchodzimy do barokowego kościoła i podziwiamy jego bogaty wystrój, zwiedzamy też regionalne muzeum. Następnego dnia próbujemy upłynnić resztę towaru z mizernym zresztą rezultatem. Tadek wdał się przed kioskiem na rynku w pogawędkę z Węgrem, efektem czego utracił trzeźwość. Węgier jest tak natarczywy w poczęstunkach wszechobecną czereśniówką, że musimy salwować się ucieczką.

9.

O 15 jesteśmy znów w Budapeszcie na Keletim. Teraz pozostały już nam tylko zakupy i co najtrudniejsze — kupno „papieru". Wiemy, że ta operacja może się zakończyć trojako — możemy zostać oszukani przez cinkciarza, przyłapani przez policję (pokątny handel walutą jest na Węgrzech zabroniony) lub wyjść z tego na czysto. Najpierw jednak bazar. Zdzicho zostaje z bagażami, a reszta rusza tam, gdzie wiedzie droga każdego polskiego turysty po sprzedaniu swoich towarów. Właściciele kiosków zachęcają do swoich stoisk po polsku, ale ruch o tej porze niewielki, a ciuchy już przebrane.

— *Jaki cholera oni mają kryzys, przecież tu wszystko jest i to dużo* — oburza się Zenek.

Bogate witryny sklepów, bogato w środku, a obsługa taka jak niegdyś w Polsce bywało. W sklepach z artykułami przemysłowymi pusto. Nic dziwnego — odstraszają wysokie ceny — półbuty męskie 1500—2000, kurtki 4000, swetry 2000. Inna sprawa, że Węgrzy wiele artykułów kupują od Polaków po cenach nieraz trzykrotnie niższych od tych w sklepach.

Schodzimy na „patelnię". Dowódcą operacji zostaje Zdzicho. Zaczepia nas Polak, proponuje po 95.

— *To najniższy kurs, nagrywamy* — decyduje nasz szef.

Udajemy się do patelniowego baru, cinkciarz Andrzej z Częstochowy przeprowadza z nami transakcje osobno przy stoliku. Reszta stojąc z napięciem obserwuje teren. Zdzicho i Tadek są nieco zaniepokojeni swoimi studolarówkami, wiadomo, że bywają fałszywe. Cinkciarz uspokaja, zapewniając ich o solidności firmy. Oddychamy z ulgą, udało się.

10.

Żegnamy się. Anka ze Zdzichem jadą „Batorym" a my „Polonią". Wszystkim jest jakoś markotno. Siedzimy w trójkę na ławce i liczymy minuty, od czasu do czasu biorąc drinka, by nie zamarznąć, gdyż nie chcemy wejść do środka, za dużo ludzi. Po pewnym czasie przysiada do nas zafrasowana kobieta. Okazuje się, że jej dwie koleżanki wysadzono po drodze, więc uzgodniły, że ona tu na nie będzie czekała.

— *Jak długo?*

— *Jak będzie trzeba to i do rana.*

Kobieta jest z Białegostoku, a na imię jej Zosia. Tadzio bawi Zosię rozmową, proponuje jej swe towarzystwo choćby do rana i niekoniecznie tu na dworcu. Zostawiamy gruchającego Tadka i idziemy z Zenkiem wydać ostatnie forinty.

Wracamy i zastajemy nasze miejsca zajęte przez — jak się później okazało — małżeństwo z Katowic. Ona urzędniczka, on lekarz. Wrócili z Szegedu, są zadowoleni, sprzedali wszystko, a dolary tam po 90. Jeżdżą od kilku lat, bo to jedyna szansa, by dorobić, bo dwójka dorosłych dzieci potrzebuje pomocy rodziców, a poza tym to wciąga jak narkotyk. Podczas gdy mąż katowiczanki udał się w poszukiwaniu napoju o nazwie Kiwi, ona opowiada o przygodach spotykających tu Polaków.

Na bazarze w Budapeszcie, Cygan wystawił Polaka do wiatru — proponując sprzedaż forintów poczęstował go porcją gazu łzawiącego, zabrał oszołomionemu pieniądze przeznaczone na wymianę i tyle było go widać.

Niezwykłą przygodę przeżył też pewien dziennikarz jadący na Węgry, by napisać artykuł. W pociągu, po upojnej nocy, rano obudził się mając na sobie jedynie spodenki i podkoszulek. Na szczęście znaleźli się humanitarni rodacy, którzy jakoś go ubrali i zafundowali pieniądze na powrót.

Zaledwie katowiczanka skończyła swą opowieść, na równe nogi poderwał nas radosny pisk pani Zosi, która doczekała się swych niefortunnych koleżanek. Nie poniosły większych strat, zapłaciły tylko po 600 f cła.

Bez zbytniego sentymentu żegnamy się z zimnym Budapesztem, odjeżdżając zimnym, niezbyt czystym pociągiem. Po dłużącej się w nieskończoność podróży, bez żadnych sensacji przekraczamy granicę. Łódź wita nas deszczem, pociąg wypluwa z siebie ludzi i bagaże. Jesteśmy zmęczeni.

Collage: Grzegorz Gałasiński

DREWBUD: — Tutaj każdy ma tylko kilka minut na rozmowę z dziennikarzem

Kto nie marzy o własnym domku?

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

1.

Jest zawodowcem. W każdym calu. Człowiekiem z wyobraźnią, bo to ona, a nie książkowa odwaga pozwoliła na podjęcie decyzji, które jeszcze kilka miesięcy temu wywoływały u wielu rodaków charakterystyczny gest: pukanie się w czoło. Dziś już nie pukają. Nawet najwięksi oponenci przyznają z niesmakiem: — „Cholera, może mu się udać!"...

W kwietniu 1989 roku, gdy powstawała **Korporacja Budowlana „Drewbud"** — zwano go jeszcze delikatnie — wizjonerem, „Judymem" rodzimego budownictwa. Wrześniowa operacja sprzedaży 15 tysięcy akcji **Międzynarodowej Agencji Finansowej „Drewbud-Bank" S.A.** przysporzyła już ostrzejszych określeń — „szarlatan", „mieszkaniowy aferzysta", bo też w grę wchodziło, bagatela — 30 miliardów złotych. Lecz na złość malkontentom i zawistnym konkurentom — lawina ruszyła. Błyskawicznie zniknęły akcje, wizja „małego, białego domku" była silniejsza niż czarnowidztwo domorosłych budowlanych „ekonomistów". A później posypały się propozycje współpracy...

— To co w tej chwili, a nawet co będziemy realizować w roku przyszłym już mnie nie interesuje — prezes **Piotr Bykowski** opóźnił zebranie zarządu, ale i tak ma dla mnie ledwie parę minut. — Przy obecnym potencjale akcję budowy 15 tysięcy domów zakończymy nawet wcześniej niż planowaliśmy. Ja wybiegam naprzód: aktualne i prowadzone zgodnie z planem — już mnie nie frapuje. Przed nami sprzedaż około 20 tysięcy akcji w Europie Zachodniej Stanach Zjednoczonych i Kanadzie w pierwszym obecnym półroczu. Cała operacja właściwie jest już dograna, ale dziś, ze względów stricte handlowych mogę powiedzieć tylko tyle, że choć cena podstawowej akcji utrzymana będzie na wysokości 2 milionów złotych (przeliczana oczywiście po aktualnym kursie na marki czy dolary), to aby zakupić dom trzeba wejść w posiadanie pakietu akcji o wartości nie mniejszej niż 2 tysiące dolarów USA...

2.

Czym jest dziś „Drewbud"? By odpowiedzieć na to pytanie, a także zaspokoić ciekawość wielu akcjonariuszy, którzy wciąż nie bardzo mogą się zorientować kto im ten dom wyprodukuje i zbuduje — trzeba słów kilka poświęcić strukturze tej pierwszej w kraju i chyba w naszej części Europy holdingowej organizacji gospodarczej. Terminologia na Zachodzie szeroko znana, u nas — praktycznie niespotykana. Najkrócej rzecz ujmując: jedna firma zwykle spółka, dysponując swymi udziałami kontrolnymi pakietami akcji innych spółek — kontroluje lub wręcz steruje ich bieżącą działalnością w kierunku dla siebie korzystnym. A dzisiejszy „Drewbud" to już kilkanaście spółek o tej samej nazwie zgrupowanych wokół **Korporacji Budowlanej** z siedzibą w **Poznaniu.** Spółki, w których Korporacja posiada większość udziałów funkcjonują w różnych rejonach kraju. **W Koszalinie, Koninie, Słupsku, Bydgoszczy, Szczecinie, Jeleniej Górze...**

Garść szczegółów? Proszę bardzo. W pierwszych dniach listopada 1988 już roku powstał **„Drewbud — Bełchatów".** Wykorzystując „leżące odłogiem" niektóre obiekty **Kombinatu Budowy Elektrowni** stworzona tam zostanie baza kompletowania elementów domów dla Polski centralnej. **Przedsiębiorstwo Budowy Domów „Drewbud — Nida"** przejęło dla odmiany od zakładów przemysłu gipsowego między innymi kopalnie kamienia gipsowego w Stawianach. Na potrzeby Korporacji zakład produkował będzie elementy elewacyjne, pustaki, płyty. Wspaniale rozwija się jedna z najbardziej prężnych spółek — **„Drewbud — Bydgoszcz", w skład której weszli jeszcze w maju tacy potentaci jak Pomorskie Zakłady Materiałów Izolacyjnych „Izopol", „Zakłady Stolarki Budowlanej „Stolbud" w Bydgoszczy, Fabryka Kabli w Sępólnie Krajeńskim, Okręgowy Zarząd Lasów Państwowych.**

Co zrobiono przez tych kilka miesięcy?

Oto tylko kilka przykładów. W **„Stolbudzie"** powstaje nowoczesna baza przecierania drewna (docelowo około 50 tysięcy metrów sześciennych surowca, a zatrudnienie tylko 20 osób...) Tamże instaluje się sprowadzone przez Korporację z Danii tak zwane autoklawy, firmy „NAV" przeznaczone do nowoczesnej, ciśnieniowo-próżniowej impregnacji drewna. Dzięki tego typu zabiegom, wykonywanym sprawdzonymi środkami zabezpieczającymi drewno przed wszelkiej maści „robalami" jak i przed ogniem, domki **„Drewbudu"** mają mieć 100-letnią trwałość!... Inni wspólnicy, też dzięki zastrzykom kapitału „Drewbudu", nie zasypiają gruszek w popiele; **„Izolacja"** modernizuje linię produkcyjną izolacyjnej wełny mineralnej, **Bydgoska Fabryka Kabli** zadba o dostawy materiałów do uzbrojenia i terenów, i domów. Dostawy drewna — to już domena **Okręgowego Zarządu Lasów.** Przykładem nowoczesnego, ekonomicznego myślenia jest też z pewnością przejęcie przez bydgoski **„Drewbud"** miejscowego **Przedsiębiorstwa Budownictwa Komunalnego.** Dziś już takie operacje nie powinny być u nikogo powodem do zawałów! Przedsiębiorstwo, które stało na progu bankructwa zaczęło funkcjonować normalnie. Magazyny **BPBK** przekształcone zostały w stolarnie, w których między innymi prowadzi się montaż produkowanych wspólnie z firmą z RFN nowoczesnych okien z tworzyw sztucznych. W wielkiej sali konferencyjnej pozostało tylko wspomnienie wspaniałych narad, kursokonferencji i akademii „ku czci"; powstaje tu nowoczesny salon sprzedaży artykułów budowlanych i służących wyposażeniu mieszkań...

W opisany sposób działa większość spółek mających w szyldzie **„Drewbud".** W ramach Korporacji, w różnych układach, współpracuje ponad 100 przedsiębiorstw najrozmaitszych branż, zawsze jednak związanych z podstawowym celem — budową domów nowej generacji.

„Drewbud", czego prezes **Piotr Bykowski** wcale się nie wypiera, rozpoczął też swoisty pościg za Zachodem. O nowoczesnych autoklawach już mówiliśmy, lekkie, kolorowe, bitumiczne pokrycia dachowe produkować będzie **Sanockie Przedsiębiorstwo Budowlane** wraz z włoskim **„Tegola Canadese"**, mocno zaawansowane są rozmowy ze Szwedami, którzy zaproponowali współpracę przy budowie rewelacyjnych, osiedlowych oczyszczalni ścieków, przeznaczonych dla około 250 budynków. Ale prawdziwa „bomba" dopiero przed nami. Nie tak dawno do **„Drewbudu"** zgłosiła się belgijska firma **„Axergie"** proponując nowatorską metodę ogrzewania domu. Szczegóły urządzenia okryte są tajemnicą patentów, wiadomo tylko, że oryginalnej konstrukcji pompy termodynamiczne przetwarzają temperaturę powietrza atmosferycznego na energię cieplną. Niewielkich rozmiarów, proste w obsłudze, funkcjonujące doskonale przez okrągły rok, niezależnie od pogody — czyż może być lepsze rozwiązanie ogrzewania domku takiego, jak drewbudowski? Odpada problem pieca centralnego ogrzewania, węgla, w najmniejszym stopniu nie jest zatruwane środowisko. A przy obecnych cenach to kapitalne obniżenie kosztów eksploatacji. I najważniejsza wiadomość: na podstawie umowy z belgijską firmą, jeden z domów na stałej wystawie propozycji **„Drewbudu" przy ulicy Czarna Rola** (inaczej: róg Serbskiej i Naramowickiej) wyposażony zostanie w te tajemnicze pompy. Po rocznych testach w polskich warunkach i pozytywnych rezultatach — podpisana zostanie umowa na dostawy urządzeń w ilościach handlowych.

3.

— Cóżby pan jeszcze chciał wiedzieć?... — prezes **Piotr Bykowski** bynajmniej nie dyskretnie zerka na zegarek. Tu nikt nie liczy godzin pracy, choć wiem, że bywają dni, gdy siedzą i do wieczora.

— Szykujemy jeszcze nieco niespodzianek, chcemy zaproponować — i to chyba sprawa najbliższych tygodni — nowatorskie na naszym rynku gospodarczym formy powiązania klienta z kredytowaniem. My będziemy gwarantować pomoc finansową w stopniu umożliwiającym realizację budowlanych planów. Bliższych na razie konkretów nie mogę podać. Przepraszam, ale przekażę pana w ręce naszego „rzecznika", czyli redaktora **Zbigniewa Talarczyka z „Drewbud-Biznesu".** Tego, że mamy własną gazetę, już się pan chyba dowiedział?...

Tak jest, szesnastostronicowy miesięcznik to kolejne udane „dziecko" **„Drewbudu".** Przeznaczony, jak zaznaczają autorzy w artykule wstępnym, dla zagranicznych i krajowych akcjonariuszy, a także wszystkich, zainteresowanych rozwojem budownictwa lekkiego nowego typu. Wśród licznych atrakcyjnych enuncjacji bankowo-kredytowo-budowlanych znalazł się również ciekawy wywiad z panią **Danutą Rawską** architektem, projektantką moim zdaniem najładniejszych, bo dużych, wolno stojących domów z katalogu **„Drewbudu".** Już zresztą nie tylko z katalogu; dom typu DW-003 stoi od połowy grudnia na terenie wystawy i wszyscy chętni mogą go podziwiać, dotknąć, nie tylko z zewnątrz. Pani architekt, na pytanie o szanse zmiany naszych przyzwyczajeń i wyobrażeń o solidnym, murowanym domu odpowiada między innymi (cytuję):

— „Nie przekona się nikogo rysunkiem czy nawet najbardziej kolorową fotografią. Te domy trzeba zacząć budować, a wówczas obronią się same. Jeśli mieszkając w takim domu będzie się zużywało połowę opału czy energii w porównaniu z tradycyjnym domem, to lepszej propagandy nie potrzeba. Jeśli ktoś mozolnie budujący dom ceglany przez trzy czy cztery lata, zobaczy, jak za płotem sąsiad robi to w parę tygodni, to też zacznie myśleć inaczej..."

Zbyszek Talarczyk, sympatyczny, uczynny, ale — czujny. Niewiele szczegółów dotyczących przyszłościowych planów firmy udaje się z niego wydobyć. Wiem, że tu się cały czas w coś inwestuje pieniądze akcjonariuszy nie leżą „bezczynnie" i inflacja ich nie „zdusi". Nowe pomysły, nowe technologie i materiały, wiele rozmaitych form współpracy. To niby wciąż te 10 podstawowych typów domów z katalogu **„Drewbudu"**, ale nawet te pierwsze, stawiane w 1989 roku pierwszym szczęściarzom — znacznie będą się niektórymi rozwiązaniami wewnętrznymi różniły od prototypów.

4.

Pomysłów zaiste im nie brakuje. Wiem, że szykują propozycje domku wiejskiego. Dostali w tej sprawie masę listów, również krytycznych, od mieszkańców wsi, którzy w wyścigu o akcje z mieszkańcami miast z góry stali na przegranych pozycjach. Będzie więc i oferta dla rolników, odmienna, bo i dom musi być inny, wielopokoleniowy, z inną, większą, wielofunkcyjną kuchnią i przedsionkiem. Jeszcze w tym roku mają zaprezentować pierwsze propozycje — tyle udało mi się dowiedzieć.

Po 1993 roku, po zakończeniu akcji dostarczania domów 15 tysiącom akcjonariuszy, planują następną operację. Używają świadomie słowa „operacja", też ma to być jakaś nowość, a nie powielanie ostatniej emisji akcji. Chcą wreszta wprowadzić wiele form — nazwijmy to — wejścia w posiadanie domku „Drewbudu". Mówią więc między wierszami o propozycji dla bogatych — kompletnym, gotowym wyposażonym we wszystkie niezbędne instalacje „obiekcie", wspominają o możliwości sprzedaży na przetargu całych domków wraz z działką...

Jeszcze nie przełknąłem nawet tych skrawków nowinek, gdy **Zbigniew Talarczyk** atakuje z drugiej strony:

— Uruchamiamy stałe przedstawicielstwa „Drewbudu" na Zachodzie, na początek będzie to Paryż i Bruksela. Nasi ludzie będą nie tylko reprezentować interesy firmy, ale także zajmować się stałą penetracją tamtejszego rynku budowlanego, wyszukiwaniem nowatorskich rozwiązań, które i w „Drewbudzie" można by wykorzystać...

Próbuję dowiedzieć się parę szczegółów o handlu akcjami, legalnym, dopuszczalnym i na całym świecie praktykowanym. Jak na zamówienie do pokoju wpada w innej, jak wszystkie pilnej sprawie **Jerzy Ruciński,** zastępca dyrektora **„Drewbud-Banku" S.A.,** kierujący między innymi sprawami sprzedaży akcji. I też ma tylko dwie minuty czasu (jak oni długo wytrzymają to tempo pracy?!...).

— Już ci mówię wszystko, choć w telegraficznym skrócie. W naszym kantorze przeprowadziliśmy w ciągu 2 miesięcy ponad 1100 operacji zmiany własności. Wystarczy do przeprowadzenia takiej czynności obecność jednej osoby nabywającej akcje z dowodem osobistym, sama akcją i umową kupna-sprzedaży.

— Uchyl rąbka tajemnicy co do ostatnich notowań na rynku akcji...

— Nie mogę ci podać najwyższych notowań, bo my ich nie znamy. Nas interesuje osoba nabywcy, nazwisko, a wszyscy i tak wpisują kwotę 2 milionów. Z kuluarowych rozmów wynika jednak, że sprzedawano jedną akcję i za 13, i za 15 milionów złotych też. Jeśli napiszesz, że średnia cena waha się w granicach 10 milionów, to nie będzie błędu.

— Przyjmujecie codziennie..

— Tak jest, w godzinach 8.30—15. Szczegóły także telefonicznie **(Poznań 20-40-97 w. 294).** Zbyszek mówiłeś mu o tych „akcjonariuszach" z Krakowa? Nie, to dorzuć, to fajna rzecz, ja już będę do roboty, serwus...

— Cóż to za historia?

— Tylko trochę bardziej oryginalna od innych, a zasypują nas tu dosłownie listami z prośbą o kolejną emisję, sprzedaż domków, jakąkolwiek zresztą formę, byleby mogli tylko nawet w odległej perspektywie kupić swój „mały, biały..." A z Krakowa otrzymaliśmy niedawno list od ponad 40 osób, które zorganizowały się społecznie, „trzymają" kolejkę przed bankiem, odhaczają się codziennie i czekają na kolejną sprzedaż naszych akcji...

5.

Żegnam się, odprowadzany znów zaproszeniem do kolejnej wizyty za dwa-trzy miesiące. Wiem, że będzie o czym pisać, **„Drewbud"** prze ostro do przodu, preferując odważne, nowatorskie działania przeprowadzane z rozmachem przez menedżerów z prawdziwego zdarzenia. W nowych warunkach ekonomiczno-gospodarczych tylko taka działalność pozwoli nam autentycznie gonić Europę. A czyż nie jest to naszym marzeniem? I jednocześnie ostatnią deską ratunku...

PS. Dla formalności dodam tylko jeszcze to, co bezpośrednio zainteresowani czyli akcjonariusze dawno sprawdzili. Wylosowano już kolejność sprzedaży wszystkich 15 tysięcy domków, a w trakcie grudniowego, specjalnego koncertu także 100 szczęśliwych numerów, czyli tych, którzy otrzymają domki bezpłatnie. Pierwsze mają być dostarczone w maju lub w czerwcu 1990 roku. Te bezpłatne, gwoli dziennikarskiej ścisłości, to typ DW-001, czyli domek wolno stojący, parterowy, o powierzchni użytkowej około 69 metrów kwadratowych. Dostarczany ma być w paczkach. Wyceniono go jeszcze w grudniu 1989 r. na około 25 milionów złotych. Jest to o tyle ważne, że jeśli któremuś ze szczęśliwców nie podoba się model, może dopłacić i zdecydować się na inny lub odebrać wyżej wspomnianą gotówkę. Dopiero teraz skoczą akcje w kantorze, teraz w ogłoszeniach podać już można rok odbioru domku...

D. D.

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Mikołaj

Mikołaj odwiedził Państwowe Przedszkole nr 164 na Widzewie.

Marian Piechal (1905–1989)

MIARA OSTATECZNA

Nie ziemią przysypią mnie w grobie,
przecież ziemię tłumaczę na pieśń —
nie chcę ziemi dźwigać na sobie,
wolę żywioł uśpiewniony nieść.

Wyobraźnią, wolą i umysłem
dzieje ludzkie przenikałem jak rad —
od chaosu wszystko zawisłe,
co się w śpiewny nie układa ład.

Połknie wiecznie głodna mogiła
ciała powab, urodę, krwi war,
jeśli życie nasze, o miła,
nie wytrzyma melodyjnych miar

Zmarł MARIAN PIECHAL. Odszedł zatem ostatni z tych, którzy należeli do poetyckiej epoki Juliańskiej (**Julian Tuwim, Julian Przyboś**). Dla Mariana Piechala — jak się wydaje — istotne było w poszukiwaniu własnej „miary ostatecznej" Norwidowskie wywalczenie się z chóru — z gorsetu towarzyszących Mu poetyk: **Skamandra** z jednej oraz awangardowej z drugiej strony. Ten proces zresztą nie był aktem jednorazowym, bowiem aż po ostatnie tomy wydane tuż przed śmiercią Marian Piechal określał się na nowo, zaskakiwał odbiorców łatwo mieszczących Go w gotowych już szufladkach historycznoliterackich. Radykalizujący i zbuntowany plebejusz z debiutanckiego **„Krzyku z miasta"** (1929 r.) — tomu będącego rewelacją literacką tamtych lat — potrafi też sterować własną świadomością programową proponując — różny od awangardowych dyrektyw— model wypowiedzi poetyckiej (konstruktywny metaforyzm); poeta wyrastający z konkretnej sytuacji społecznej przekracza ramy Tu i Teraz najpierw w kulturowych i literackich powinowactwach z wyboru przetwarzając po wielekroć myśl i poetykę Norwida, potem zakorzeniając się w uniwersalnych problemach egzystencjalnych z coraz wyraźniejszą tonacją metafizyczną prowadzącą zresztą (za **Teilhardem de Chardinem**) do przyjęcia optymistycznej wizji świata „przeobstwionego".

Charakterystyczne — a chyba i symboliczne — jest wszakże to, że klamrą poetycką otwierającą i zamykającą literacką biografię Mariana Piechala jest temat łódzki. Od tomu debiutanckiego **po wydany ostatni tomik „Miasto troiste"** był Marian Piechal wierny Łodzi. Wierność tę potwierdzają i zbiory inne: **„Miasto nadziei", „Ogień i popiół"** oraz działalność kulturowa, literacka czy organizacyjna w naszym mieście. Przed wojną jeszcze był Poeta prezesem **Klubu Literackiego**, współredagował **„Prądy"** oraz **„Odnowę"**, powołał do życia grupę **„Meteor"**. Po 1945 roku współtworzy **„Łódź literacką"** i **„Kronikę"**, pozostaje wieloletnim prezesem Oddziału Łódzkiego ZLP, z Jego inicjatywy rodzi się Ogólnopolski Festiwal Poezji, jest też inicjatorem i pierwszym redaktorem **„Osnowy"**. Nie zapomina o Łodzi przejmując — po wyjeździe do Warszawy w 1968 r. — funkcję zastępcy redaktora naczelnego **„Poezji"** i kierownika działu poetyckiego w **„Miesięczniku Literackim"**.

Nie można zapominać o Piechalu eseiście i krytyku literackim. Swoją wyraźną wizję literatury, w której przeważać miały racje moralne, wyraził w **„Żywych źródłach", „Poezji i coś więcej", „Propozycjach poetyckich"**. Aż do ostatnich dni **żywo interesował się Łodzią.** Ostatni też list, jaki od Pana Mariana otrzymałem, dotyczył Festiwalu Poezji. Był pełen troski o losy swego ukochanego kulturowego dziecka, martwił się naszymi kłopotami, które też — niestety — doprowadziły do śmierci tej użytecznej i potrzebnej imprezy.

Miał on swoich wiernych przyjaciół, miał też i wrogów. Bezkompromisowy oraz impulsywny nie zgadzał się ani na chwilę przestoju w życiu literackim. Walczył i to walczył skutecznie z biurokratyzmem wydziałów i komitetów. Środowisko łódzkie odczuło Jego brak już po wyjeździe do Warszawy. Poezja polska ten brak czuje tym boleśniej po Jego śmierci.

HENRYK PUSTKOWSKI

PESTKI DYNI

Nie zbudowano jeszcze pomnika, którego nie można by zburzyć. Jeno ludzie sami w sobie wznoszą pomniki nie do obalenia — te żeby zniszczyć, trzeba zabić człowieka. I tak też, przez długie stulecia, robiono. Metoda okazała się jednak nieskuteczna: nawet jeśli zabito wielu, bardzo wielu, to okazywało się nagle, że jednak ktoś się uratował. I zabijanie zaczynało się od nowa, bądź też nie, bo nadeszły inne czasy.

Nie o tych jednak pomnikach, budowanych w sercach lub pamięci ludzkiej, chcę tutaj przypomnieć. Idzie mi o te z kamienia, żelaza, marmuru, które usuwa się dziś z różnych miejsc, dewastując przy okazji i niszcząc. Przyłączam się mianowicie do wszystkich osób, które ów proceder — proceder niszczenia i dewastacji — uważają za skandaliczny i niedopuszczalny, świadczący nie tylko o braku kultury politycznej, ale kultury w ogóle; elementarnej kultury.

Oglądałem z przerażeniem „sąd nad Dzierżyńskim", czytałem o pomniku Lenina w Nowej Hucie, wcześniej o dewastacji grobów żołnierzy radzieckich, niedawno — o rozbijaniu niemieckich i żydowskich nagrobków... Hańba i wstyd. Wstyd i hańba. I to akurat wtedy, kiedy przypatruje się nam pół świata — jakie będą mieli inni wyobrażenie o naszej tolerancji? Ale nawet gdyby nikt na nas nie patrzył, to i tak byłaby to działalność ze wszech miar godna potępienia.

Istnieje problem, co z tymi n i e a k t u a l n y m i już pomnikami zrobić? Rozsądne wydają się propozycje, żeby kilka z nich zostawić — ku przestrodze i pamięci. Inne, wartościowe artystycznie — a są takie! — umieścić w jakimś muzeum socrealizmu, czy podobnym skansenie (np. proponowanym przez kogoś Stalinlandzie); inne zawieźć do hut jako złom, demontując je w sposób kulturalny, bez obscenicznych manifestacji uwłaczających przecież nam samym. A może innymi popiersiami, rzeźbami, obrazami zainteresowaliby się sami ich twórcy, może chcieliby je zabrać z powrotem i mieć u siebie, we własnych zbiorach i pracowniach? Przecież sporo z nich jeszcze żyje, bądź żyją ich rodziny. Pasierbica autora pomnika Dzierżyńskiego cieszyła się, że jego twórca nie dożył tej poniżającej chwili... A może zorganizować międzynarodową stałą giełdę? Na Zachodzie są poważni kolekcjonerzy „socrealizmów"... Takich dzieł sztuki nie żal się z kraju pozbywać, ale tłuc je, palić i domalowywać im wąsów — nie wolno.

Co pewien czas dowiadujemy się o jakimś koszmarnym barbarzyństwie: gdzieś wycięli obraz z ram, albo fragment obrazu, oderwano rzeźbę z jakiegoś ołtarza, skradziono koszulkę ikony, poobrywano wota, pourywano aniołom głowy, wypiłowano rzeźbioną, starą balustradę itp., itp. Nieraz zniszczenie jest nieodwracalne, nawet, kiedy już uda się przy wielkim szczęściu odzyskać jakoś łup złodziei-wandali. Kiedy indziej prace konserwatorskie nad obrazem, rzeźbą, przedmiotem artystycznym, trwają latami... Pozostają też niezabliźnione rany po utraconych bezpowrotnie dziełach sztuki i one krzyczą najgłośniej. Widzę wyraźną wspólnotę duchową między tymi, co dewastują pomniki, rosyjskie, żydowskie i niemieckie groby a tymi, co okradają kościoły, muzea, prywatne zbiory z obrazów, rzeźb, przedmiotów artystycznych niszcząc je przy okazji w sposób barbarzyński. Wypieczeni są z tej samej mąki.

Stąd wszyscy, mający najmniejsze chociaż pretensje do miana ludzi cywilizowanych, winni dać moralny odpór owym barbarzyńcom, pomagając wszelkimi sposobami, by ich poczynania były w najwyższym stopniu ograniczone. Nie klaszczmy im, a skazujmy na ostracyzm i pogardę. A także na stosowne do czynów kary. Choć jaka może być kara za zniszczenie starej ikony, rzeźby z ołtarza, obrazu Wyczółkowskiego?

ANDRZEJ GRUN

„Dzieci północy" Salmana Rushdiego, wydane nakładem **„Czytelnika"**, w tłumaczeniu **Anny Kołyszko**, porównywane bywają przez niektórych krytyków z „Blaszanym bębenkiem" **Güntera Grassa.**

Autor głośnych w świecie skandalizujących **„Szatańskich wersetów"**, na którego fundamentaliści muzułmańscy wydali wyrok śmierci, uznawany jest za najwybitniejszy talent literacki w Wielkiej Brytanii w ostatnich latach.

W „Dzieciach północy" („Midnight's Children". 1981) kreśli Rushdie rozległą panoramę najnowszych dziejów Indii. Historia przepiata się tutaj z fikcją, postacie autentyczne z postaciami będącymi tworem wyobraźni pisarza.

O tej wielce oryginalnej sadze rodzinnej **Ryszard Kapuściński** napisał: **„Wspaniała powieść. Jest w niej sugestywna barwność Księgi Tysiąca i Jednej Nocy, zaduma i mądrość Upaniszad, rozmach i nowoczesność filmów Bertolucciego".**

Książkowe rarytasy

Jedną z najciekawszych książek opublikowanych pod koniec 1989 r. przez **Państwowy Instytut Wydawniczy** w ramach poczytnego i renomowanego cyklu „Biografie Sławnych Ludzi" jest monografia historyczna **„Lukrecja Borgia, jej życie i czasy"** — pióra znanej współczesnej włoskiej pisarki **Marii Bellonci**. Oparta na nieznanych źródłach historycznych, stanowi owoc wieloletnich studiów i poszukiwań autorki we włoskich archiwach. W ojczyźnie pisarki książka ta zdobyła sobie ogromny rozgłos, doczekała się aż **dziesięciu wydań** i wyróżniona została **nobilitującymi nagrodami literackimi Viareggio oraz Galante.** Znana jest też w świecie z tłumaczeń na wiele języków

Maria Bellonci podejmuje w tej barwnie napisanej biografii głęboko ludzką **próbę rehabilitacji Lukrecji Borgii, wokół której narosło w ciągu wieków tyle oszczerstw, pomówień i niesłusznie rzucanych oskarżeń.**

Wielką też niespodziankę zgotował na gwiazdkę **„Czytelnik"**, publikując znany dotąd tylko z emigracyjnych i drugoobiegowych wydań, głośny na Zachodzie **„Inny świat" Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.** Książka ta — o czym należy pamiętać - kilkanaście lat wyprzedziła **„Archipelag GUŁag" Aleksandra Sołżenicyna i stanowi najwybitniejszy utwór w polskiej** „literaturze łagrowej".

Te wstrząsające wspomnienia prezentują najróżniejsze i najbardziej skrajne ludzkie zachowania, sprowokowane nieludzkimi warunkami egzystencji.

„Inny świat" powstał na podstawie osobistych przeżyć pisarza w stalinowskim gułagu w Jarcewie pod Archangielskim.

JANUSZ KOZŁOWSKI

Poczwarny świat

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Muszę przyznać, że już od dawna pragnąłem napisać choć kilka słów o prozie **Dariusza Bitnera**, który należy, moim zdaniem, do ścisłej czołówki współczesnych młodych pisarzy polskich. Czasem nawet twierdzę na swój prywatny użytek, iż to on sam tę czołówkę stanowi, jakkolwiek górnolotnie by takie stwierdzenie nie brzmiało. Autor jednak złośliwie nie wydawał w ostatnich latach nowych książek, uniemożliwiając niżej podpisanemu wyrażenie na ich temat swojego zdania, które do końca października bieżącego roku pozostawało niezmiennie dla **Dariusza Bitnera** pochlebne. Obecnie ta sytuacja uległa nieznacznej zmianie, spowodowanej lekturą opublikowanej niedawno powieści **„Kfazimodo"**. A jest to jedna z najciekawszych powieści polskich ostatnich piętnastu lat. To pod jej wpływem moja opinia o pracy Bitnera z pochlebnej stała się bardzo pochlebna, wzbudzając nawet coś w rodzaju zawodowej zazdrości, uwłaczającej co najwyżej zazdrośnikowi, zaś dla autora stanowiącej, mam nadzieję, ciepły i szczery komplement.

„Kfazimodo" zaskakuje przede wszystkim czytelnika znającego inne utwory Bitnera odejściem od nacechowanej niecodzienną inwencją językową stylistyki. Oto Bitner inny nieco, a przecież ten sam, łatwo rozpoznawalny głos wśród prozy prymitywnej bądź pseudoartystowskiej. Ten indywidualny rys twórczości autora polega na rozległym zastosowaniu literackiej ironii i autoironii, wyrażającej komiczny, postmodernistyczny jakby dystans do siebie i swego dzieła, tak czy owak przynależącego z natury do świata fikcji. Jest to przy tym pisarz szalenie uniwersalny i bardzo polski zarazem, a więc po gombrowiczowsku otwarty i egzoteryczny. „Kfazimodo" zachowuje zatem wszystkie te wartości, które z jednej strony stanowią o jego ponadnarodowym charakterze, a z drugiej pozwalają książkę rozpoznać jako polską, współczesną i bitnerowską, a więc czytają, czego nie da się powiedzieć o wielu innych produktach pisarskich ostatniej doby w naszym kraju.

Po raz pierwszy chyba w swej twórczości zajął się Dariusz Bitner problematyką tak wyraziście polską, bolesną i tak aktualną. Z punktu widzenia gatunku literackiego jest „Kfazimodo" powieścią psychologiczno-obyczajową, choć wydaje się, że więcej w niej treści obyczajowych niźli psychologicznych. Obyczajowych, czyli również społecznych, co zwykle w naszym wydaniu oznacza banał, schematyzm i nudę. Ta książka natomiast udowadnia, że o sprawach poważnych mówić można w sposób interesujący i twórczy, z szacunkiem dla czytelnika. Odrzuca tedy Bitner amorficzną literackość na rzecz zajmującej fabuły, skonstruowanej z żelazną logiką dramaturgiczną, dostarczającą estetycznemu zmysłowi czytelnika licznych przyjemnych wrażeń i przykuwającą jego uwagę. Inna rzecz, że słowo „estetyczny" wbrew potocznemu mniemaniu odnosi się w tym wypadku raczej do turpizmu, bowiem świat przedstawiony przez Bitnera jest wielce poczwarny, pokraczny, rzec by można niepełnosprawny jak zaludniające go postacie. Bohaterem książki Bitnera, książki „naprawdę śmiesznej", jak chce autor, jest niejaki Michał Anioł zwany także Kfazimodo, nieszczęsny, garbaty kaleka, zrodzony ze związku prostytutki z nieznanym nawet z imienia klientem, wegetujący w wesołym kraju, wesołych ludzi, w wesołej książce, wesołego autora, który zdaje się mówić: „Nuże, śmiejcie się, zrywajcie boki, kpijcie z kalek, fizycznych i psychicznych, z brudu i nędzy, z bezmyślności, z ludzkich tragedii, rozpaczy i nieprawości. Rozejrzyjcie się dokoła — czy nie jest zabawnie" Niestety, jak poucza Gogol, śmiać się w takich wypadkach można jedynie z siebie. Ludzie, których wprowadza Bitner na karty swej powieści to produkty procesu gnilnego obejmującego nasze człowieczeństwo, które jest garbate i karłowate, acz nie zawsze i niekoniecznie z winy nas samych.

Po mistrzowsku operuje autor szekspirowsko-beckettowskim mechanizmem groteski, ujawniającym nieubłaganie cherlawość i egoizm charakterów zatrutych jadem obojętności, niemożności, wzajemnej niechęci. A dlaczego jest tak, jak jest? To już zupełnie inna bajka, którą i tak znamy wszyscy na pamięć.

Książka Bitnera więcej mówi prawdy o Polsce, aniżeli cały stos reportaży, choć pozornie rozgrywa się na marginesie wydarzeń naszej historii, i nie udaje, że jest „książką prawdziwą". Jak każdy niemal bardzo dobry utwór literacki jest „Kfazimodo" syntezą i uogólnieniem pewnego szczególnego przypadku (czytaj: szczególnych przypadków). Wysoki poziom prozy Dariusza Bitnera wynika z faktu, że jest on artystą, a nie wyrobnikiem. Napisał zatem powieść, a nie gazetę, czego życzyć wypada wszystkim powieściopisarzom nie pozbawionym zawodowej ambicji.

Dariusz Bitner — „Kfazimondo", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989, nakład 5900 + 350 egz.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

Rys. Sławomir Łuczyński

DUŻA I MAŁA POCIECHA

Pocieszyła nas, i to bardzo, pani **min. Cywińska** oświadczając na swej pierwszej konferencji prasowej, że wbrew alarmistycznym stwierdzeniom sytuacja kultury nie jest dziś trudniejsza niż innych dziedzin. Poinformowała przy tym, że „prawie załatwione" jest zwiększenie z 14,5 do 15 proc. odpisu od podatków na Fundusz Rozwoju Kultury i że rezygnacja — od nowego roku — z reglamentacji papieru odbije się, niestety, na cenach książek i prasy.

Mała natomiast pociecha wynika z wypowiedzi **Andrzeja Łapickiego**, który — mówiąc o stratach jakie poniósł teatr — utrzymuje, że najdotkliwsze odnoszą się do sfery moralnej. „W etyce zawodowej, która podupadła. Z powodów pozaartystycznych... stan aktorski został raptem wyniesiony bardzo wysoko przez opinię publiczną. Nawet często ponad zasługi, z powodu postawy, która się spodobała i zyskała powszechną aprobatę. To nasze nagłe wywyższenie nie miało większego wpływu, a może nawet żadnego, na obraz teatru. Teatr nie bardzo wiedział, co mówić, jak mówić i teraz w dalszym ciągu nie wie. Wszystko, co się dzieje naokoło, jest ciekawsze i bardziej pasjonujące, polityka tak mocno ingerowała i nadal ingeruje w nasze życie, że ja sam zaczynam się zastanawiać, czy teatr jest komuś potrzebny. Wiem, że jest, bo wierzę w to głęboko. Ale jaki ten teatr powinien być?"

DROGA DONIKĄD

Po takiej drodze szedł jeden z wybitnych pisarzy emigracyjnych — **Józef Mackiewicz, młodszy brat Stanisława Cat-Mackiewicza.** Pytany o narodowość odpowiedział: jestem antykomunistą. I był nim — jak pisze **Adam Budzyński w „Antenie"** — w każdym calu. „Ta idea nieustannie przewijała się w publicystyce Mackiewicza. Oskarżał w niej o kolaborację z komunistycznym reżimem... prymasa **Stefana Wyszyńskiego** i **Adama Michnika, Watykan i Wolną Europę. Miał za złe Sołżenicynowi, że propagował ideę „wewnętrznego odrodzenia"** sowieckiego systemu i nie wierzył w możliwość obalenia go siłą. Polemizował z **Leszkiem Kołakowskim,** kiedy ten pisał o potrzebie czynnego oporu dla ZREFORMOWANIA systemu, sam Mackiewicz był za oporem zbrojnym, który ów system miał obalić..."

Zadebiutował Józef Mackiewicz w 1938 r. reportażem książkowym z podróży po kresach, pt. **„Bunt rojstów"**. Na emigracji wydał w 1955 r. **„Drogę donikąd"**, a rok później — powieść **„Karierowicz"**, będącą studium literackim życiowego mięczaka. Najgłośniejszą jednak książką Mackiewicza, tłumaczoną na wiele języków była **„Kontra"** (1957 r.), traktująca o nieznanym epizodzie II wojny — o tysiącach żołnierzy z krajów zajętych przez Armię Czerwoną (wśród nich Kozaków) walczących u boku Hitlera, których w czerwcu 1945 r. alianci wydali Związkowi Radzieckiemu.

„Był Mackiewicz — pisze Adam Budzyński — interesującym pisarzem i wybitnym stylistą. Nie bez powodu zalicza się go w poczet najbardziej niezależnych ludzi pióra naszego wieku. Jednak ceniąc ową niezależność i odrębność od powszechnie panujących sądów, nie sposób przechodzić nad nimi do porządku dziennego. Był bowiem Józef Mackiewicz publicystą i pisarzem, który w zapiekłym antykomunizmie stawiał na przemoc i wojnę, nie dostrzegając przemian czasu. Nigdy nie potrafił weryfikować swych zdumiewających i groźnych koncepcji, trwając przy złudzeniach i mrzonkach. Upływ czasu pokazał na jego przykładzie, jak zaciekłość i ślepota na przemiany naszego świata stają się tragicznym anachronizmem.

W roku 1977 (zmarł w 1985 r.) Józef Mackiewicz napisał, że jego droga »donikąd« właśnie »dziś uznana została przez „instynkt narodu" za docelową«. Mackiewicz jeszcze raz wziął mrzonkę za rzeczywistość. »Instynkt narodu« nie uznał tej drogi za swoją. Ani wówczas, ani później. Tej drodze »donikąd« do końca wierny pozostał jedynie on sam. I na tym polega umysłowa i literacka »osobowość« Józefa Mackiewicza. A także — co dziś widać szczególnie jasno — największa pomyłka jego życia".

NAJWYŻSZA CENA

„Z idealnego punktu widzenia — powiedział **Czesław Miłosz** dla **„Le Nouvel Observateur"** po powrocie z Polski — pozostaję zwolennikiem sfederowanej Europy Środkowej od Bałtyku po

Najtrudniej jest poznać samego siebie...

— rozmowa z MARKIEM KASPRZYKIEM.

MAREK KASPRZYK, absolwent PWSFTviT w Łodzi (z 1988 roku), pamiętny, wyrazisty Król Ola-Boga i aktor Sanduczew ze **„Szkarłatnej wyspy"** (spektakl dyplomowy), bohater telewizyjnego filmu **„Ojcowizna"**, od ub. roku aktor Teatru im. S. Jaracza w Łodzi i obecnie główna postać sztuki **Tadeusza Rittnera „Wilki w nocy"** Jan Morwicz (najnowsza premiera na Małej Scenie).

— Na dużą, efektowną rolę w rodzimym teatrze czekał pan trochę długo, bo 1,5 roku. Czy młody aktor wchodzący w zawód może sobie pozwolić na czekanie, wszakże w tej profesji czas liczy się podwójnie?

— Młody aktor może sobie pozwolić na czekanie, o ile czas ten wykorzysta we właściwy dla siebie sposób. Niektórzy koledzy czekają na duże role trzy-cztery sezony. Ja — mimo wszystko miałem szczęście, bo grywałem mniejsze role i wciąż byłem obecny na scenie. Być na scenie jest dla młodego aktora bardzo ważną sprawą. Zaczynałem od zastępstw: w **„Ferdydurke"**, **„Transatlantyku"**, w bajkach. Grałem w farsie **„20 dni kozy"**, w **„Samobójcy"**, **„Obywatelu Pekosiewiczu"**, różne postaci w **„Pinokio"**. Miałem **czas na podpatrywanie pracy aktorów i reżyserów zza kulis, to też bardzo ważne i przydatne.** To nie był stracony czas.

— Jakie więc doświadczenia zdążył pan zebrać?

— Wychodzę z założenia, że aktorem nie jest się mimo dyplomu, ale dopiero przy pełnej świadomości uprawiania tej profesji, co zwykle następuje w dojrzałym wieku. Na razie jestem adeptem. Dzięki temu poznałem trochę samego siebie i w dalszym ciągu to czynię, zarówno poprzez siebie samego jak i innych ludzi. Wiem, że poznać siebie jest najtrudniej i cały czas do tego dążę. Jeżeli kiedyś do tego dojdę — będę mógł posłużyć się sobą jak instrumentem...

— Wydaje mi się, że to jednak trochę zbyt mało, aby zainwestować te doświadczenia w postać tak złożoną i bogatą jak oskarżony Jan Morwicz z „Wilków w nocy"?

— Zgadzam się, że moja postać jest jeszcze niewykończona, ale mam jeszcze czas i chęci, aby nad nią popracować. Ta praca rozpoczęła się po premierze i myślę, że za jakiś czas będzie ona pełniejsza, co nie znaczy, że pełna.

— Jaki sposób pracy z aktorem ma reżyser Maciej Prus?

— Od Macieja Prusa można wiele się nauczyć, jeśli się tego chce. Dysponuje on przeogromną **wiedzą teatralną i życiową, miał okazję spotkać się z największymi, poznać i tworzyć teatr przez duże „T". Robi taki teatr, który obecnie prawie obumiera. Na pewno pozwala aktorom tworzyć swoje role.**

— W programie sztuki czytamy: „Morwiczowi dostarczyli swoich rysów — paryski sutener i wiedeński zbrodniarz, a najbardziej dominującą cechą charakterystyki Morwicza jest jego przynależność do świata bez granic". A panu — odtwórcy tej postaci — kto dostarczył materiału do zbudowania roli?

— Próbowałem ją zbudować bazując na własnych doświadczeniach życiowych i własnych wyobrażeniach. Nie byłem sutenerem i zbrodniarzem, ale musiałem sobie wyobrazić kogoś takiego. Były różne źródła. Nie ma recepty na aktorstwo. Buduję role w oparciu o własne doświadczenia, własne wyobrażenia i własną wrażliwość.

— Pan broni Morwicza czy raczej go demaskuje?

— Ani bronię, ani demaskuję. Moim celem jest wciągnięcie widza w mój świat. Jeżeli mi się to udaje jestem usatysfakcjonowany.

— Jaka będzie następna rola?

— Jeszcze nie wiem.

— Na Zachodzie aktorzy mają agentów, którzy sterują ich karierami. U nas aktor sam musi zajmować się sobą. Czy pan to robi czy raczej zdaje się na innych i los szczęścia?

— Nie jestem agentem samego siebie. Wychodzę z założenia, że skoro będę dobrze robił swoje, to na pewno doczekam się ról, nie tylko w teatrze.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Na zdjęciu: Marek Kasprzyk.
Foto: Romuald Sakowicz

Kronika

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ ŁODZI zainaugurowało w ubiegłym miesiącu nowy, bardzo ciekawy i pouczający zarazem cykl spotkań pn. „Sagi łódzkie".

Pierwsze spotkanie poświęcone było jednemu z najwybitniejszych pionierów przemysłu włókienniczego w Łodzi — **Ludwikowi Geyerowi.**

Dalsza część tego cyklu obejmie m.in. rodziny znanych łódzkich przemysłowców — **Scheiblerów, Grohmanów, Poznańskich i in.**

Następne zaplanowane przez organizatorów wieczory poświęcone będą zasłużonym dla naszego miasta **rodom kupieckim, prawniczym, lekarskim, księgarskim.**

Wyśmienity pomysł, któremu należy przyklasnąć!

W OGÓLNOPOLSKIM KONKURSIE POETYCKIM „WRZESIEŃ 1939", zorganizowanym przez **redakcje „Tygodnika Siedleckiego" i „Expressu Wieczornego", I nagrodą uhonorowany został przez jury znany łódzki pisarz — Tadeusz Chróścielewski.** Przypadła mu ona w udziale za wiersz **„Cmentarz w Mińsku, czyli metamorfozy".** Konkurs odbywał się **pod patronatem wojewody siedleckiego.**

Gratulujemy!

85. ROCZNICĘ URODZIN obchodził **Andrzej Kuśniewicz**, jeden z najwybitniejszych naszych pisarzy. Jako jedyny z rodaków dostąpił zaszczytu **członkostwa francuskiej Akademii Goncourtów.**

Z okazji jubileuszu A. Kuśniewicz otrzymał m.in. list **gratulacyjny od prezydenta PRL Wojciecha Jaruzelskiego.**

VIII TYDZIEŃ KULTURY JAPOŃSKIEJ odbywał się w naszym mieście w dniach od 11 do 16 grudnia 1989 r. Na bogaty program tej imprezy złożyły się m.in. pokazy filmów japońskich, wystawy oraz konkursy wiedzy o Kraju Kwitnącej Wiśni.

PROFESOR Rajmund Ambroziak złożył rezygnację ze stanowiska dyrektora i kierownika artystycznego Teatru Muzycznego w Łodzi.

TOMASZ KRÓL — student I roku Akademii Muzycznej w Łodzi z klasy prof. Zenona Płoszaja — został jednym z laureatów zakończonego 16 grudnia ubiegłego roku w Poznaniu **IV Ogólnopolskiego Konkursu Skrzypcowego im. Zdzisława Jahnkego. Łodzianin otrzymał I wyróżnienie,** które jest poważnym sukcesem w początkach artystycznej kariery.

Serdecznie gratulujemy!

ZAINAUGUROWANE ZOSTAŁY w zeszłym miesiącu **obchody 70. rocznicy ustanowienia diecezji łódzkiej.** Erygowana została ona przez papieża **Benedykta XV bullą „Christi Domini" w 1920 r.**

Uroczystościom inauguracyjnym przewodniczył **arcybiskup Janusz Bolonek** — nuncjusz apostolski w Republice Wybrzeża Kości Słoniowej. Wzięli w nich udział kapłani oraz wierni świeccy, reprezentujący wszystkie parafie diecezji łódzkiej.

W DNIACH 16 I 17 GRUDNIA UB. R. odbył się w **ŁDK Łódzki Przegląd Teatrów Amatorskich — ŁPTA '89.** Wzięły w nim udział m.in. **Studio Teatralne „Słup"** (uhonorowane główną nagrodą na Ogólnopolskim Przeglądzie Teatrów Amatorskich w ubiegłym roku) oraz **Teatr „Orfa" ze Zgierza.**

PROCHY HANKI ORDONÓWNY — sławnej Ordonki — dzięki pomocy **MSZ i LOT-u** oraz **specjalnego komitetu** (w jego skład wchodzi m.in. **Mira Zimińska i Jerzy Waldorff**) zostaną sprowadzone do kraju.

NAGRODĘ Warszawskiej Premiery Literackiej otrzymał (w grudniu ub. r.) **Adolf Rudnicki** za książkę **„Sto lat temu umarł Dostojewski".**

WARSZAWSKI Teatr Ateneum wystawił „Małą Apokalipsę" Tadeusza Konwickiego w adaptacji i reżyserii **Krzysztofa Zaleskiego.** Główną rolę kreuje **Gustaw Holoubek.**

MICHAIŁ GORBACZOW uznany został przez międzynarodowe jury, obradujące w Paryżu, **za jednego z najelegantszych mężczyzn.** W jury zasiadali wybitni projektanci mody, przedstawiciele świata kultury i polityki.

W SIEDZIBIE Łódzkiego Oddziału ZAKR odbyło się 15 grudnia 1989 r. spotkanie grupy inicjatywnej, zamierzającej utworzyć **Łódzką Fundację Kultury.** Postanowiono wszcząć szybko działania proceduralne dla powołania do życia — tak bardzo potrzebnej w dobie komercjalizacji — fundacji.

W ŁÓDZKIM Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym 22 grudnia 1989 r. otwarta została **ciekawa wystawa „Polska rzeźba ludowa".**

PAN HENRYK MASZEWSKI, prowadzący wpisany od wielu lat w pejzaż kulturalny naszego miasta **Antykwariat „Słowo"** w al. Schillera, poinformował nas, że placówka ta **kończy swoją działalność z dniem 31 grudnia 1989 r.**

Ze smutkiem informujemy naszych czytelników o zaprzestaniu działalności tego wielce zasłużonego antykwariatu.

PRZYJEMNIE NAM DONIEŚĆ, że na ostatniej sesji Rady Narodowej M. Łodzi nasz redakcyjny kolega red. Marian Zdrojewski został wybrany członkiem jej Prezydium i przewodniczącym Komisji Kultury RN.

W WIEKU 86 LAT zmarł w Paryżu słynny francuski pisarz, dramaturg i poeta **irlandzkiego pochodzenia — Samuel Beckett.** Był on m.in. autorem głośnej sztuki **„Czekając na Godota".** W 1969 r. otrzymał **literacką Nagrodę Nobla.**

TEGOROCZNĄ literacką **nagrodę im. Guinessa** otrzymał irlandzki pisarz **John Banville za utwór „Księga Dowodu".** Ta najwyższa finansowo w Europie nagroda wynosi **75 tys. dolarów.**

W DNIACH 5 i 6 stycznia 1990 r. (o godzinie 19.15) **wystąpi w łódzkim Teatrze Studyjnym grupa STRIP SEARCH THEATRE ze spektaklem „WANT" („Chcieć").** Ten **kobiecy zespół teatralny z Yorkshire (Wielkiej Brytanii)** powstał w 1987 r. Konsekwentnie zwalcza w swojej działalności artystycznej **społeczne tabu i schematy,** wykorzystując oryginalny materiał literacki oraz **nowe formy wyrazu.**

Anna Reading — autorka spektaklu — ubiegły rok spędziła w Polsce. Podejmuje w swej sztuce **problemy polskiej codzienności poprzez impresje z życia trzech kobiet.**

Wstęp na spektakl — uwaga duża niespodzianka! — jest bezpłatny.

Opracował: JAK

„Księgarz roku"

Foto: Grzegorz Gałasiński

Przed rokiem jeden z wybitnych pisarzy ufundował (anonimowo) 200 tys. złotych nagrody dla księgarń, które wyróżniają się w promocji polskiej książki współczesnej. Specjalnie powołane jury wyróżniło tą nagrodą cztery księgarnie — przy ul. Piotrkowskiej 123, 102a, 47/49 oraz przy ul. Pabianickiej 212.

W ten oto sposób narodziła się doroczna nagroda „Odgłosów" ufundowana tym razem przez **prezydenta Miasta Łodzi** dla **„Księgarza roku"**. Specjalnie powołane jury w składzie: red. red. **Edmund Lewandowski** (przewodniczący) i **Marian Zdrojewski** z „Odgłosów" oraz **Jan Gruszczelak** — zastępca dyrektora „Domu Książki", **Barbara Brzozowska** — kier. działu reklamy „D.K." **Bogdan Gralak** ze Stowarzyszenia Księgarzy Polskich, **doroczną nagrodę „Księgarza roku" postanowiło przyznać MARKOWI DOBROWOLSKIEMU** — kierownikowi ogólnoasortymentowej księgarni „Światowid", przy ul. Piotrkowskiej 86. Gratulujemy!

W ciągu całego 1989 roku przedstawiciele „Odgłosów" dokonywali przeglądu łódzkich księgarń ze szczególnym uwzględnieniem zaopatrzenia w nowości kultury obsługi oraz ekspozycji natomiast jurorzy z „Domu Książki" — dokonywali oceny wyników ekonomicznych poszczególnych placówek księgarskich. Suma ocen pozwoliła jurorom wyłonić zwycięzcę.

Uroczystego wręczenia nagrody wraz z listem gratulacyjnym dokonał wiceprezydent m. Łodzi **Janusz Urbaniak** w towarzystwie dyrektora Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego **Andrzeja Mikołajczyka**, zastępcy redaktora naczelnego „Odgłosów" — **Edmunda Lewandowskiego**, zastępcy dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta — **Andrzeja Rejtera**, **dyrektora „Domu Książki"** — **Stefana Czarneckiego** i zaproszonych gości.

M. Z.

Czas pokaże

Jak nigdy dotąd wkraczamy w nowy, 1990 rok przepełnieni prawdziwym niepokojem. Bo też jak nigdy wszystko, co dotychczas brzmiało nam tak obco: bezrobocie, walka o przetrwanie, widmo biedy — nie było tak realnie bliskie jak obecnie. Ale też i prawdą jest, że ten nowy rok witamy pełni rozbudzonych nadziei — na normalne, godne życie, choć przytłacza nas zwyczajny, ludzki lęk.

Szczególnie dotkliwie zaniepokojone są środowiska związane z kulturą. Na dzień dzisiejszy najtrudniej jest bowiem przybliżyć sobie nowy kształt polityki kulturalnej, a co najważniejsze — sposobu finansowania tej sfery życia nierozerwalnie związanej z każdą inną, niczym powietrze. Właśnie to środowisko stoi przed największą niewiadomą: na ile i jak uda się ów proces ważkich przemian gospodarczych kraju przejść bez dotkliwych strat w kulturze, jak w nowych warunkach odnajdzie się dotychczasowy model strukturalno-organizacyjny instytucji i placówek kultury?

Decydujące będą tu oczywiście nowe akty prawne (dotyczące m.in. systemu podatkowego, prawa własności itd.), które spowodują fundamentalne zmiany w całym życiu gospodarczym, a zatem i w sferze kultury. Przy czym wszystko na to wskazuje, że nadchodzący rok będzie rokiem przejściowym, w którym przyjdzie nam odnaleźć się w nowych warunkach. Ten trudny proces bez wątpienia złagodzi w jakimś stopniu, mający nadal funkcjonować Centralny Fundusz Rozwoju Kultury. Choć i tu trudno jest dziś przewidzieć na ile pozyskane stąd środki (przy zastraszającym widmie wzrostu kosztów, cen i następstw) zdołają uchronić kulturę przed degradacją. Jedno jest wszakże pewne — warunki, w jakich przyjdzie nam żyć, kłócić się będą w pierwszym rzędzie z dotychczasowymi nawykami i przyzwyczajeniami, nie pozwolą na takie jak dziś funkcjonowanie instytucji i placówek kultury, że zmuszą do dokonywania mądrych wyborów, stosowania rozumnych preferencji, a co najważniejsze — czynienia wszystkiego co możliwe, by niczego nie uronić z dotychczasowego dorobku.

A jest on wcale pokaźny. Na obszarze naszego województwa funkcjonuje liczna sieć instytucji i placówek artystycznych, kulturalnych, ogromnie zróżnicowanych pod względem wielkości, zasięgu oddziaływania i kondycji. Prezydent Łodzi, dla przykładu, pełni funkcje organu założycielskiego dla około trzydziestu jednostek, wśród nich dla czterech teatrów dramatycznych (z sześcioma scenami), dwóch teatrów muzycznych, filharmonii, dwóch teatrów lalkowych, sześciu muzeów, Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego, Łódzkiego Domu Kultury, Biura Wystaw Artystycznych, Centrum Informacji Kulturalnej, Ośrodka Badań i Dokumentacji Zabytków oraz dla szkół artystycznych. Na naszym terenie działa też pięć dzielnicowych domów kultury wraz z filiami i tyleż dzielnicowych bibliotek publicznych z filiami. Mamy liczne placówki pozostające w gestii naczelników dzielnic, miast i gmin, nie mówiąc już o jakże licznych stowarzyszeniach kulturalnych, związkach twórczych, które również znajdą się w niełatwych warunkach.

Aczkolwiek trudno jest dziś przewidzieć jaki los przypadnie każdej z tych instytucji, placówek czy jednostek, to jednak można już teraz założyć pewne priorytety programowe i kierunki przewidywanych zmian, po których mecenat państwowy przestanie być jedynym, a tym bardziej głównym „dobrodziejem"; podobnie jak fundusze — centralny i terenowe nie będą jedynymi utrzymującymi sferę kultury. Obok nich pojawią się fundacje, spółki, agencje — jakże zauważalne już dziś np. w rozrywce! — czy wreszcie (miejmy nadzieję!) fundusze prywatnych mecenasów. Lecz przy tych licznych formach finansowania kultury na barkach państwa spoczywać będzie nadal obowiązek ochrony i zachowania podstawowych dóbr i wartości, do których należą bez wątpienia biblioteki (z dostępem do pomnażanego księgozbioru), muzea — owe skarbce kultury materialnej, narodowej, co także nie oznacza, że przypadnie im beztroskie życie.

W najtrudniejszej sytuacji znajdą się, jak sądzę, placówki teatralne. Ministerstwo Kultury i Sztuki już dziś zapowiada, że mecenat państwowy zadba przede wszystkim o najwartościowsze i najcenniejsze dokonania prezentowane na najwyższym poziomie artystycznym, a zatem także i władzom terenowym przyjdzie dokonywać trudnych wyborów z zachowaniem podobnych kryteriów wartości. Stąd wniosek, iż większość łódzkich teatrów znajdzie się w niezwykle skomplikowanej sytuacji. O ile, rzecz zrozumiała, nie uwolnią się od dotychczasowych nawyków i przyzwyczajeń.

Jedno nie budzi wątpliwości: czas biernego oczekiwania, rozkładania rąk mija bezpowrotnie. Nadchodzą czasy, w których liczyć się będzie przedsiębiorczość, zaradność, upór i wyobraźnia. Czy jednak zbudowany z tych składników nowy model kultury będzie w stanie uchronić tak delikatną materię, która składa się na życie duchowe człowieka? Czas pokaże.

MAREK BRUK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

Adriatyk. To marzycielska utopia, a zarazem uproszczony skrót i pewna łatwizna »techniczna«: te kraje mają — na przykład — wspólną kulturę architektoniczną. Europa Środkowa to barok. Mamy też wspólne doświadczenia tragicznej przeszłości walki i najazdów, wyznaczonej naporem tureckim na południu, rosyjskim — na północy, niemieckim na zachodzie. Poza tym jednak nacjonalizmy wszędzie poszarpały tę piękną tkaninę.. Wiele grup etnicznych współżyło tam wśród napięcia kulturowego, które mądrość każe uśmierzać, gdy łatwo byłoby o rozniecenie konfliktu; języki bałtyckie nie są językami słowiańskimi. Na Litwie inteligencja mówiła po polsku, jak w Finlandii — po szwedzku. Tę drażliwą sytuację w każdej chwili mogą rozjątrzyć siły konserwatywne, mogłem się o tym przekonać na miejscu. Przede wszystkim nie należy wracać do rysowania map, tylko znaleźć **modus vivendi** z mniejszościami...

W Europie Środkowej, w przeciwieństwie do Zachodu, płaci się najwyższą cenę za poczucie zła i dobra, podobnie jak człowiek wygłodzony uczy się smaku chleba. Dlatego właśnie nadal jestem przywiązany do pewnej liczby wartości, uznanych na Zachodzie za przebrzmiałe czy przestarzałe. Jestem żarliwym prorokiem tych wartości i nawet uważam, że nasze zapóźnienie jest naszą najpłodniejszą szansą. Proszę na przykład spojrzeć na poezję: **Mallarmè** to rezultat długotrwałego rozwoju, natomiast naszej poezji brak paru ogniw, jak gdyby zapładniały ją tylko wielkie chwile Historii; rzecz w tym, że u nas poeta zwraca się zawsze do zbiorowości, gdy u was chce trafić przede wszystkim do świadomości jednostki. Poezji polskiej nadają rytm te skoki, te postępy słowa, podzielane przez ogół..."

TO NIE DO WIARY

„Ignorancja nie zna granic i nie zna się na granicach — pisze **„Time"**. — Ostatnio ZSRR przekonał się o tym, o czym inne kraje wiedzą już dawno: niektórzy obywatele nie potrafią odpowiedzieć na podstawowe pytania z geografii.

W wyniku testu przeprowadzonego w 10 krajach obywatele radzieccy znaleźli się na końcu, nie potrafiąc wskazać Kanady, Ameryki Środkowej, Egiptu, Francji, Japonii i Zatoki Perskiej. 13 proc. nie umiało znaleźć na mapie ZSRR. Tylko 38 proc. lokalizowało Afganistan pomimo 10-letniego radzieckiego zaangażowania wojskowego w tym kraju. Przeciętnie obywatele radzieccy uzyskali 7,4 poprawnych odpowiedzi na 16 pytań, co plasowało ich na końcu, obok Meksykanów. Najbardziej uczeni w geografii byli Szwedzi, Amerykanie zajęli szóste miejsce. „To nie do wiary" powiedział **Władimir Andrejenkow** z radzieckiej Akademii Nauk, która przeprowadzała badania razem z Instytutem Gallupa".

JAK SOBIE RADZĄ INNI

W całym kraju biblioteki publiczne nie mają szans na wygospodarowanie własnych środków na utrzymanie i muszą korzystać z dotacji budżetowych, których jest coraz mniej. W Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Tarnowie np., podobnie jak w innych, sytuacja staje się dramatyczna. Od połowy 1989 r. otrzymywane sumy były w stanie pokryć tylko połowę kosztów potrzebnych do funkcjonowania bibliotek i wypłacania pensji bibliotekarzom. Z braku 2 mln zł nie można było uruchomić planowanego punktu bibliotecznego, nie mówiąc o zakupie tylu książek, ile wymagają potrzeby czytelnicze.

Galeria pisarzy

STANISŁAW CIEŚLAK

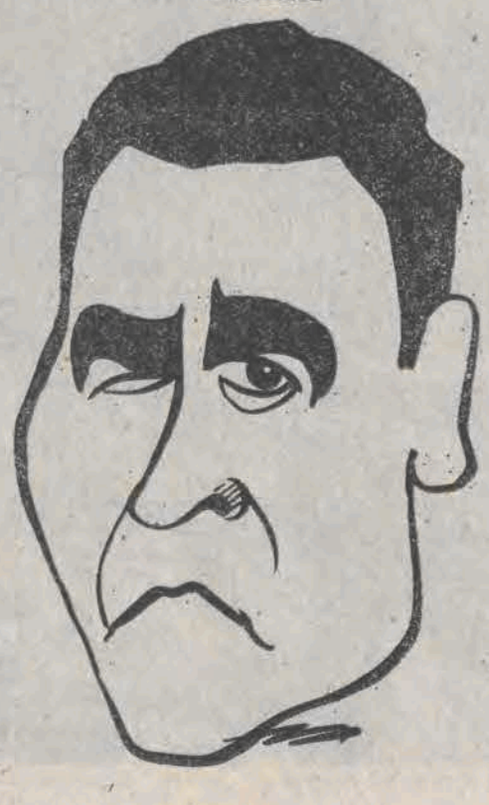

Rys. Sławomir Arabski

Życie na bocznicy (1)

Jak zabić żonę?

RYSZARD BINKOWSKI

PROLOG

Rozebrany do slipów mężczyzna leżał na tapczanie nakrytym pasiastą narzutą z Opoczna i raczył się ciepławą sodówką z syfonu. Aby stępić niemiły smak chloru, sięgał po flaszkę bez nalepki i przepłukiwał usta płynem o barwie miodu i temperaturze mniej więcej czterdziestu procent. Wlewająca się przez okno przydymiona łuna i parne powietrze, nasycone wonią kopcia i roztopionej smoły, zapierały dech w piersiach. W radiu zachrypnięta refrenistka, wywrzaskiwała songi żałobne o szklanej pogodzie dla proletariatu, a za oknem panowało słoneczne przesilenie lata. Ale kiedy ma się czterdziestkę na karku, dziewięć metrów kwadratowych sublokatorki i starego grata marki skoda, niełatwo o pogodę ducha. Łyknął więc naparstek, popił sodówką i rozciągnął się z westchnieniem na tapczanie. No cóż, mógł na ojcowskiej ziemi uprawiać warzywa, stawiać szklarnie albo hodować kury, ale jemu zachciało się studiować geografię.

Na drugim roku przyszła miłość, w sadach kwitły wiśnie, a we łbie fiołki. I pewnego dnia ukochana, studentka medycyny, nie przyszła na spotkanie. Kupił dwie flaszki wina, wdepnął w krzakach na jakąś parę, która na dobry początek próbowała pieszczot fortepianisty, i zaprawił się na amen. Walcząc z torsjami i z ulewnym deszczem zgubił buty, ale dotarł jakoś do znajomej knajpy, gdzie dowiedział się od kelnera, że tej małej, co się podawała za studentkę, nie było tam od miesiąca. Przeniosła się na Piotrkowską, aby studiować anatomię z łebkami na delegacjach.

Kiedy to doń dotarło, skamieniał. Nogi wrosły mu w beton, a serce w piersiach zdawało się zamrzeć na zawsze. Skamielina puściła, gdy krowa wygrzebała go ze stogu siana i zobaczył świątecznie wygoloną twarz ojca, łagodną niczym facjata rzeźnika przed świnobiciem. Ojciec bez namysłu znokautował bosonogą progeniturę, a ta poczołgała się do obejścia opluwając własną krwią ziemię rodzinną, albowiem chłopski grunt, jak stoi w księgach, zawsze musi nasiąkać krwawym chłopskim potem.

Najgorszy jest pierworodny kac, wino nabiera wtedy takiego smaku, że zlizuje się je ze stołu. Potem zaś dryfuje się przez wieś, obłapia za szyję sąsiadów i całuje każdego w usta z wylewnością cerkiewnego kułaka radującego się, że Chrystus zmartwychwstał. A później nadjeżdża przypadkowo milicyjny radiowóz pechowy kochanek zaczyna wrzeszczeć, że gliniarze wydali jego Hankę na kurewstwo, gliniarze na chwilę słupieją, tak że udaje mu się kopnąć jednego w pochwę z pałką, drugiemu zaś strącić czapkę w błoto. I byłby umknął, gdyby nie dopadł go w krzakach trzech z błękitnej nyski, cywil w randze oficera, i wszystko zalała ciemna, mokra plama...

Gmach aresztu, jak twierdzą absolwenci, to siedziba uniwersytetu dla upośledzonych, którym zabrakło punktów za pochodzenie. Tutaj po tygodniu kontemplacji najgorszy kretyn odradza się niczym Feniks z popiołów własnej głupoty. Otrzaskani w paragrafach towarzysze broni uporczywie tłumaczą mu, że karta wariacka, sprostowanie i apelacja muszą uczynić zeń człowieka niewinnego. On nie pisał odwołań i nie wyrabiał sobie wariackich papierów. On się uczył. A kiedy opuścił zakład karny w Kaliszu, gdzie poznał życie od podszewki i stwierdził, że jego miejsce w gospodarstwie zajęła zamężna siostra z kurnikiem, w którym tysiąc białych ptaków znosiło złote jaja, ruszył w Polskę. Imał się różnych zajęć, nie gardził grą w karty ani włamaniami, a że dzięki sprytowi nigdy nie wpadł, mógł dorobić się auta, potem zaś osiąść na stałe w mieście.

Teraz, gdy natężał pamięć, aby ogarnąć nią całe swoje życie, przyjrzeć mu się z boku, stwierdzał, że jedna szczeniacka noc przekręciła je o sto osiemdziesiąt stopni. Miał jednak nadzieję, że uda mu się odkręcić to na swój sposób. Ostatnio spotykał parokrotnie na ulicy tego oficera, który przed laty wdeptał go w błoto i zawiózł do aresztu. Postanowił, że przy sprzyjającej okazji wykorzysta tę znajomość.

1.

Na kruszyńskim targowisku, gdzie jak w każdy wtorek odprawiały się misteria zwane Świętem Dyszla, stał wychudzony mężczyzna, odziany w strój godny strача na wróble i co jakiś czas wywrzaskiwał basem zapijaczonego herolda:

— Pyjam — popyjam, pyjam — popyjam! Stawiać, bo jutro wojna!

Pachniało warzywami, młodą wikliną, twarogiem, końskim potem i kurzym łajnem, a on stał w pełnym słońcu, po ogorzałej, jakby wykutej z miedzi twarzy spływał mu pot, ściekając do trzymanego w drżących rękach słoika. Nękany chorobą zwaną abstynencją przerywaną, popijał zielonkawą wodę, w której pływało sześć chudych pijawek, a jego bełkot oznaczał, że jak one się napiją, to wypiją razem z krwią najgorszą zarazę, nawet syfa złapanego na autostopie. Psychiatrzy po raz trzeci puścili go na wolność uznając, że nie jest groźny dla otoczenia, bo do ruiny psychicznej doprowadził go alkohol nadużywany na skutek trudnego dzieciństwa, za które nie ponosił żadnej winy.

Pod przekrwionymi oczyma mężczyzny, który nazywał się Kaczmarek, pogłębiały się szare cienie, w kącikach ust drgały fałdy porowatej skóry. W gardle tak mu zaschło, że mógł jedynie patrzeć z nadzieją na chłopa który przywiózł pod plandeką tarpana cały miot prosiąt. Pięć zostało jeszcze do sprzedania. Ospowata twarz i wielki nos, cały w czerwonych żyłkach, dowodziły, iż nie jest to osobnik owiany tchnieniem intelektu. Mógł być natomiast kiperem we własnej gorzelni. I pewnie dlatego, znudzony czekaniem na klientów, przywołał ruchem ręki Kaczmarka.

— Pijawki to pic, no nie? — zagadał. — Widziałem, jakeś pomógł sprzedać okazałą krowę z nadmuchanym wymieniem. Czapkę można jej było wieszać na biodrze. Załatw prosięta, a masz u mnie pięć kafli.

Sprzedawca pijawek uśmiechnął się przewrotnie, łypnąwszy chytrze na chłopa. Postawił słoik przy kole tarpana, wytarł beretem spoconą twarz, po czym zapiał niby odpustnik nad kołem z wirującym piórkiem:

— Pyjam — popyjam! Popyjam zołzę i prosię do wszystkiego! A jakie żarte, gazetą się nie struje! Skóra jedwab, gniazdo czyste, znakowane, na dupie, lub na łopatce. Za kwartał trzysta kilo! Że wieprzek z jajami, a maciorka się łacha? Przerobimy! Proszę, jest maciorka z dzwonkiem pod ogonem!

Po dwóch kwadransach szaleństwa, wrzucania prosiąt do worków, sypania słomą na szczęście, obiecywania zniżki i ściągania niezdecydowanych do auta, było po handlu.

— Można by na szklankę do ciotki Mirowskiej — zauważył Kaczmarek. — Albo na flachę bimbru, nie? Gotują w lesie przy szpitalu, żeby płucnikom lżej się konało. Ja też mam chorą emerytkę... Chętnie bym ją zabił, ale nie ma okazji. Wygania mnie z domu, żeby się rżnąć ze zdrowymi chłopami...

Rolnik zerknął nań przez ramię. Pomyślał, że taki zapijaczony debil za flaszkę wódki obstawiłby się pijawkami i tańczył walca na rynku. Pijawkarz łyknął wody ze słoika. Chłop zapalił papierosa, wsunął się do otwartej szoferki i rzekł z rozmarzeniem:

— Ja mam młodą, taką do łóżka i do roboty. Od dziecka była gorąca... Chłopcy wystawiali, co mieli na pokaz, ona rozpalała się w słonecznikach i uciekała, bo na jej gust organa mieli niedożywione...

— Ech, taką mieć! — szepnął z napięciem Kaczmarek.

— Tobie, bracie, grozi wtórny analfabetyzm, więc dorwij się raczej do flaszki. Gdzie tobie do mojej Marysi! Ona pchała się za każdym do ustępu mówiąc, że zostawiła tam majtki, których nigdy nie nosiła...

Pijawkarz zaciągnął się, strzepnął popiół na ziemię. Twarz miał znużoną, senną, ale oczy aż mu błyszczały z podniecenia pod obrzmiałymi powiekami.

— Też sobie taką załatwię! — oświadczył. — Cześć!

Od wczoraj nie miał nic w ustach, toteż poszedł prosto do „Kruszynki", gdzie w tłoku i rozgardiaszu mógł zjeść talerz kartofli z gulaszem podrobowym i napić się piwa bez obawy, że jak zwykle wypędzą go z gospody. Za brudnymi szybami tłum atakował wejścia do autobusu, chociaż targ jeszcze się nie skończył. Na chodniku leżały miotły, kosze, przetaki, kupki zwiędłych grzybów, dogorywające w słońcu kury ze spętanymi nóżkami. Kaczmarek sięgnął automatycznie po drugi kufel. Spojrzał w bok, ręka zawisła mu w powietrzu, oczy cofnęły się w głąb czaszki. Przy stoliku stała z rękami na biodrach bufetowa Danusia, piękna i groźna zarazem. Stary wyjął spod kapoty swój słoik.

— Odejdź — warknął — bo poszczuję pijawą!

Szarpnęła go za kołnierz i zrzuciła z krzesła, ale utrzymał się jakoś na nogach. Chłopi zarechotali z aplauzem.

— Daj zjeść, Danka...

— Poproś tych, co noszą za pasem piguły na wytrzeźwienie. Zadzwonić?

— Dobra, pójdę. Ale to już ostatni raz, Danka.

— Ta-tuś, psiakrew! W domu się nie pokazuj!

Kaczmarek klnąc na czym świat stoi przedostał się do drzwi i wyszedł na ulicę. Wrzucił bezużyteczny słoik w krzaki. Za tydzień znowu targ, nałapie więc pijawek i tak zahandluje, że starczy na litr wódki.

— Tak, trzeba się zdrowo napić — mruknął. — Bo bez kielicha nie zarżnąłbym nawet kury...

2.

Sprawiał wrażenie poczciwca, który nie skrzywdzi muchy, ale ponurość jego spojrzenia świadczyła o głębokiej urazie do świata i do gliniarzy. Był chudy, wysoki i — jakby napisał klasyk — śmigły jak ogar. Miał trzydzieści pięć lat, miękkie blond włosy, szare oczy, skórę na twarzy jasną i delikatną jak dziewczyna oraz łagodnie wysunięty podbródek z niewielkim wyżłobieniem pod szczękę.

Z nieba lało się słońce, lecz dla niego ziemia przedstawiała obraz ze starej powieści — tonęła w siwych dalach, znużona i zmartwiała. Jego również ogarniało głuche odrętwienie. Zabradziażył na peryferiach miasta, przepuszczając przez dwa dni prawie wszystkie pieniądze na paszę, a w domu czekała wściekle zazdrosna żona i opuszczona, głodna gęsiarnia.

Rozpogodził się na widok wąsatego mężczyzny z kurzajką na spłaszczonym nosie. Facet miał na imię Julek, był po piwie i przy forsie, ponieważ rozładowywał wagony na stacji. Ponadto był człowiekiem pojętnym i wiedział, co znaczy zrzutka dla chorego organizmu. Złożył więc ofiarę na pół litra, wypili i on, Zygmunt Lipiński, oświadczył, że cholernie się boi, ale dziś chyba nie wróci do żony. Julek sposępniał, kontemplując w zadumie złożoność własnej sytuacji rodzinnej. Trzy miesiące po ślubie, a żona w ósmym! Chroniczny brak pieniędzy, z kobiety żadnego pożytku...

Z „Wczasowej" wyszła trzydziestoletnia Janina Klepacka, emerytowana panna z pięcioletnią córką Iwonką, której zafundowała w gospodzie dwa ciastka deserowe. O siebie nie dbała, tyle żeby coś wypić. Mimo upału była w zabłoconym płaszczu i obrzępionych brązowych spodniach. Twarz miała posągową, o zdecydowanie męskich rysach, z dużym czerwonym nosem, a na głowie kłębowisko rzadkich, tłustych włosów.

Nie ociekała seksem, ale gdy poprosiła o papierosa, poczęstowali ją. Nie odmówiła też lampki wina. Julek nabył dwa „Sieradzkie" i przyniósł na targowisko, gdzie czekali nań we trójkę, chociaż dziecko było niepijące.

— Nie mogę pić w miejscu publicznym — zaczęła grymasić Klepacka. — Zobaczą i zepsują mi opinię. Jak golnąć, to w lasku, nie?

Po naradzie udali się do lasku. Julek podarował matce reklamówkę firmy „Technozbyt", ta jednak, zajęta bez reszty Zygmuntem, wrzasnęła:

— Nie będę pić przy dziecku! Daj małej stówkę i odprowadź, kawałek, zazdrośniku!

Rad nierad Julek wykonał polecenie, a gdy wrócił, tamci zdążyli wypić pół flaszki. Dokończyli ją wspólnie i napoczęli drugą, a potem Julek powalił Jankę na ściółkę.

— Miłość to nie pieprzenie! — wychrypiała kobieta. — Ale wypić mogę... Wina na znieczulicę!

Wlała sobie w gardło pół flaszki, odetchnęła i spróbowała ucieczki. Zygmunt trzasnął ją między oczy, żeby zmądrzała, Julek przytrzymał ją za głowę i zdarł z niej płaszcz. Najpierw puściła klamerka od spodni, potem poszły rajtuzy i barchanowe majtki. Klepacka zaczęła piszczeć, bluźnić, wierzgać i drapać Zygmunta po twarzy.

— Puść ją, Julek, bo udusisz...

Julek zdjął połę płaszcza z twarzy Janiny, złapali ją za nogi i rozciągnęli.

— Dawaj szyszkę! — rozkazał Zygmunt.

— Zostaw! Sam ją załatwię! — ryknął Julek i rzucił się na emerytkę niczym rozjuszony kogut. Po chwili jednak skrzydła mu opadły, gdyż w krzakach rozległy się wrzaski i pisk przerażonych dzieci...

Dwoje z nich zaalarmowało mieszkającego w pobliżu Bolesię, że w lasku kogoś biją. Bolesta zobaczył, że do „Campingu" idą dwaj mężczyźni, a z tyłu wlecze się trzeci, w spodniach i w płaszczu, długowłosy. Bolesta zabrał do auta sąsiada i ruszył w pościg.

Poszkodowany twarz miał jak bokser po trzech nokautach, odzież zaś w takim stanie, jakby wyleciał z ringu przez wentylator.

— Zgwałcili, sukinsyny! — ryknęła Klepacka. — Julek z takim jednym obcym!

Zamiast szarpać się z gwałcicielami, wsadzili ją do samochodu i zajechali przed posterunek, po czym wraz z milicjantem udali się w rejon „Campingu", gdzie Julek z Zygmuntem pili spokojnie oranżadę. Ale gdy funkcjonariusz poprosił o dokumenty, Zygmunt walnął go sierpem w szczękę, staranował barkiem Bolestę i skoczył między domki campingowe. Przedarłszy się przez zarośla wybiegł na jezdnię, lecz zanim zniknął w lesie, usłyszał ślizg opon na asfalcie.

— Wskakuj do wozu!

Lipiński zawahał się, rzucił okiem przez ramię. Z auta uśmiechała się przyjaźnie twarz silnie zbudowanego młodego człowieka. Zawrócił i wsunął się na przednie siedzenie.

— Do Łodzi przez Wiskitno.

Zygmunt skinął głową. Łapczywie, głośno wciągał powietrze, jakby mu go brakowało. Kierowca milczał. Miał bystre, piwne oczy, gładko zaczesane ciemne włosy, a nad lekko wydętymi wargami wąsy zaporoskiego Kozaka. Ubrany był w szare spodnie z elanobawełny i wojskową bluzę przepasaną rzemykiem ze srebrnymi ozdóbkami.

— Gwałcik, co? — zauważył po przejechaniu kilometra.

— E-ee! Nawet nie rozpiąłem spodni.

— Możliwe. Ale z tej czarownicy zdarłeś razem z majtkami.

— Diabła tam! Chciałem się tylko napić. Jestem na zwolnieniu, mam uszkodzoną lewą dłoń.

— Aha... Gliniarza trzasnąłeś z prawej.

— Ile chcesz?

— Pięć melonów i mów mi Waldek.

— Zatrzymaj się.

Waldek zatrzymał skodę. Uśmiechnął się do lusterka nad kierownicą. Zygmunt ujął klamkę. Za rowem stały milczące świerki, niby jasnozielone chmury spływające aż do ziemi. Wystarczyło dać w nie nura... Ale na lewym ramieniu zwarły się mocne palce, w skroń uderzyło coś z chrzęstem. Przez chwilę w głowie łupało, jakby ściskano ją czymś twardym i gorącym. Lipiński czuł, że traci przytomność. Doszły go wypowiedziane półgłosem słowa:

— Zygmunt Lipiński, rocznik pięćdziesiąt pięć, zameldowany w Białej, żonaty...

— Glina! — stęknął. — Prześlicznie podjechałeś, co?

— Aniołki nie wieją tak gwałtownie przed mundurem.

Zygmunt krzywiąc się z bólu pomasował sobie głowę.

— Chyba się pomyliłem. Gliny nie walą znienacka w łeb.

— Bez świadków? ...

Waldek postukał knykciem w okładkę dowodu osobistego, po czym klepnął go protekcjonalnie w kolano.

— Mają tego drugiego. On i ta piękna pracują na twój rysopis. Biegli stwierdzą, że obrażenia na ciele poczwary są całkiem świeże. Otarcia na twojej buzi też są świeże. Biegły uzna, że powstały od drapania. Jeżeli zdążyłeś rozpiąć spodnie, to i tak wyjdzie próba gwałtu. Pięć lat jakby w pysk strzelił. Pięć melonów niewielka strata...

Oszołomiony Zygmunt zerknął spode łba na wybawiciela.

— Wszystko należy do żony. Stara, wyszpachlowana łabędzica...

Waldek podał mu dokument.

— Spisałem dane. W razie czego masz u mnie alibi. Kochasz ją?

— Nienawidzę!

— To zastanów się, co z nią zrobić.

Wiśniowa skoda wyjechała z lasku i pomknęła w stronę Łodzi.

C.D.N.

Collage: Grzegorz Gwiazdecki

Na „Staroniemiecki dekameron" złożyły się teksty powstałe w wieku XII—XVI i do niedawna zagubione gdzieś w archiwach, z których wydobył je i przełożył na współczesną niemczyznę Wilhelm Śpiewok. Dokonał także ich transformacji na prozę, gdyż w oryginale są to wiersze wierszowe o charakterze epickim. Wiele z nich wykazuje powinowactwo z „Dekameronem" Boccacia, dziełem od większości z nich późniejszym, stąd też niemiecki tytuł nadany przez antologistę. Śpiewok pogrupował bowiem staroniemieckie opowieści w cykle tematyczne, nadając im charakterystyczny układ dziesiętny.

Obszerny wybór „Staroniemieckiego dekameronu" ukaże się na początku przyszłego roku nakładem wydawnictwa „Res humana" pod tytułem „Staroniemiecka miłość".

K.F.

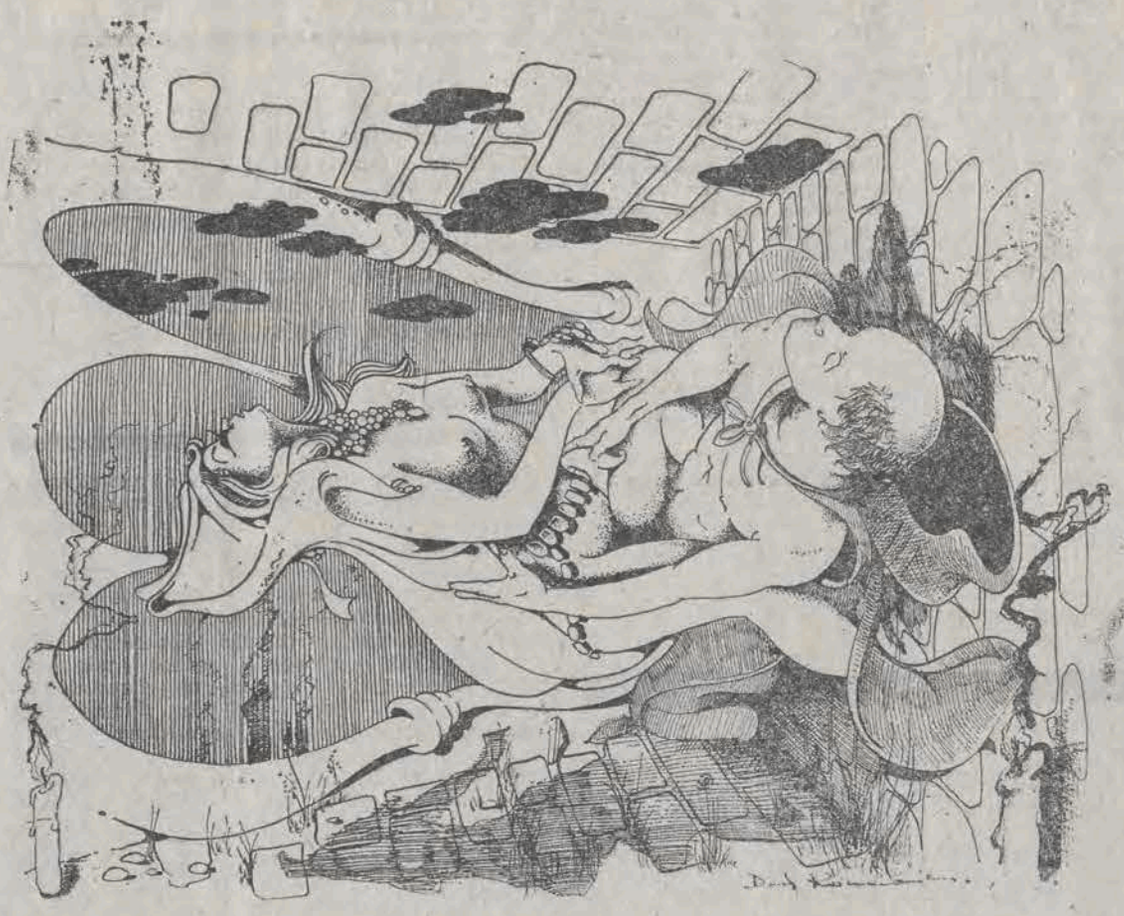

Rys. Dariusz Romanowicz

Mnich w błogosławionym stanie

Gotów jestem opowiedzieć zabawną historię, a ponieważ przebywam wśród was, przyjmijcie tedy osobliwe zdarzenie o mnichu w błogosławionym stanie. Unaocznia wam że na tym świecie często mają miejsce cuda.

Ongi siedmioletnie dziecko, zanim jeszcze zdążyło rozejrzeć się w świecie, oddawano do położonego w lasach klasztoru, gdzie miało być wychowane na pobożnego mnicha. Chłopca nauczono czytania, pisania i innej wiedzy, aż doskonale wyznawał się na starych dziełach i gdy wreszcie osiągnął właściwy wiek, opat wprowadził go do wspólnoty zakonnych braci.

Pewnego ranka, gdy po wczesnej mszy znów siedział na swej pryczy zagłębiony we wszelkie dzieła, przeczytał w jednej z ksiąg coś o „okowach miłości". Wtedy zaczął dociekać, co to może takiego być, te okowy. Rzucił książkę w kąt i postanowił ów węzeł bezwarunkowo poznać. Wykradł się więc potajemnie do klasztornego parobka, który towarzyszył w podróżach opatowi i, uważając go za mężczyznę znającego życie, spytał, czym ta miłość jest czy spotyka się ją wśród starców i dzieci oraz czy nakłada ludziom okowy dzięki swej mocy czy też rozważnej mądrości. Parobek odparł: „Nie macie, panie, zupełnie pojęcia, o co pytacie. Gdybyście zachorzeli, pani Miłość potrafiłaby was całkowicie uzdrowić. Nie zawsze też musi zakładać ludziom okowy, może być także pomocna, a komu sprzyja, ten uwalnia się od wszelkich nieszczęść. Ma w pałacu wyborne jadło i napoje".

Wtedy mnich rzekł stanowczo: „Dobrze więc, zanim minie pół roku, chcę znaleźć się w jej pałacu".

Wobec tego parobek poradził mu, żeby poprosił opata o konia i służącego, gdyż niby to musi pomóc krewnym w trudnych sprawach. Gdy mnich zwrócił się do przeora, rzeczywiście dostał wszystko, czego potrzebował, ponadto zaś dużą sakiewkę ze srebrem. Sam zgromadził wszystkie swoje oszczędności i dało to dodatkowo dziesięć funtów kruszcu. W drodze zdał się całkowicie na przewodnictwo parobka, ponieważ — o czym wiedział jego towarzysz — nigdy jeszcze nie opuszczał murów klasztoru. Wreszcie przybyli do kwitnącego miasta, a parobek wystarał się o mieszkanie u pewnej rezolutnej i lekko biorącej życie damy w najlepszych niewieścich latach. Mąż jej wypłynął na morze, toteż sama strzegła domu. Parobek zadzwonił srebrem w sakiewce, dał gospodyni kiesę na przechowanie i prosił, by niczego im nie zabrakło. W ten sposób obaj mogli być pewni życzliwego przyjęcia. Niewiasta postawiła na głowie cały dom, aby po długiej podróży zapewnić mnichowi wszystkie możliwe przyjemności. Podano wiele smakowitych potraw — ciepłych i zimnych, prócz tego cenne, dobrze wystałe wino. Toteż zakonnik marzył: „Ech, chyba tutaj jest pałac wszechmocnej Miłości. Bardzo mnie to oczarowało. Gdyby tak samo działo się w naszym klasztorze, wszyscy mnisi byliby wprost zachwyceni".

Jednak parobek wziął gospodynię na bok i szepnął: „Czy nie znacie tutaj chętnej piękności, która za duże pieniądze przyjmie do szkoły mego pana?".

Niewiasta spytała: „Co może zaofiarować? Czy zdolen jest za wymaganą usługę dać sześć funtów?".

Parobek uspokoił ją w tym względzie prosząc o pilne zajęcie się mnichem. Wtedy zauważyła: „Byłam zmuszona zastawić wszelakie kosztowności. Skoro zostaną wykupione, młody świętoszek może się cieszyć. Zofiaruję mu wszystko, co może dać tylko niewiasta".

Parobek zgodził się: „To słuszne! Macie przecież sakiewkę. Weźcie z niej spokojnie, ile wam potrzeba. On was już, pani, pokochał sercem i spodziewa się, że wasza miłość będzie pełna ognia".

W ten sposób umowę przypieczętowano, parobek przyrzekł i dał gospodyni sześć funtów uiszczając tak opłatę za jej kochanie. Jak sobie życzył sługa, niewiasta wystąpiła w najlepszych strojach, siadła przy mnichu i zaczęła czułą pogawędkę. Jej oczy błyszczały kusząco niczym gwiazdy, policzki miała różowe ze wzruszenia, szyje śnieżnobiałą jak futro gronostaja, palce wąskie i gibkie, ramiona krągłe i pełne, krótko mówiąc była zgrabna w każdym calu. Mnich czuł się doskonale, lecz zachowywał się głupio i niezdarnie. Wtedy parobek przykazał mu robić wszystko, czego zażąda od niego niewiasta. „Pokażę wam, czym jest miłość. Jest już wasza, nie będziecie więc bojaźliwi i śmiało łapcie. Dostała pieniądze".

Mnichowi serce biło z radości i powiedział: „Ech, postaram się, by nam towarzyszyła miłość radując opata jak i wszystkich braci". Głupiec uważał — całkiem niesłusznie — że przeor i mnisi nic nie wiedzą o miłości. Wtenczas przyszła gospodyni, ujęła zakonnika za rękę i niezwłocznie zaprowadziła do świeżo powleczonego łóżka. Gdy go przycisnęła na poduszkach, wzbraniał się całkowicie obnażyć. Wtedy piękna niewiasta podniosła głos: „Nie jesteście tu przecież w klasztorze. Zdejmijcie spokojnie waszą sukienkę" Potem zgasiła światło i wśliznęła się do niego na łoże. Lecz głupiec leżał tam sztywny jak kłoda, gospodyni, niemal siłą, musiała ściągnąć z niego ubranie. Potem przysunęła się bliżej i ciasno przywarła, pełna pożądania. Jednak mnich leżał nieruchomo jak kloc nie wiedząc, co ma teraz począć. Od kolebki trzymano go z daleka od niewiast i daleko lepiej niż miłość znał pienia i lektury ksiąg. Gospodyni, zła i oburzona tym bezpłodnym odprawieniem godów, myślała jak za karę można wystrychnąć go na dudka. Wreszcie pchnęła go mocno, aż potoczył się do ściany. Potem ostro na niego natarła, ścisnęła mu kolanami słabiznę i deptała po nim nogami, toteż wkrótce całe jego ciało płonęło jak ogień i uznał miłosne igraszki z niewiastami za dalece odpychające. Bowiem był przekonany, że miłość to szturchańce i razy. Najchętniej stamtąd by uciekł, lecz na koniec gospodyni zdzieliła go porządnie, aż legł półogłuszony. Powiedziała przy tym: „No teraz możecie chrapać, panie szelmo. Nic wam więcej nie zrobię. Były to dary miłości, której szukacie nade wszystko". Przestała więc go męczyć, lecz wyczerpany mnich leżał dając wytchnienie obolałym członkom.

Koło północy gospodynię naszła chętka i zgodnie ze przyzwyczajeniem chwyciła dłońmi swego kochanka, aby go pobudzić do miłosnych igraszek. Gdy znów dosiadła mnicha, gniewnie młóciła go od nowa bawiąc się tak dłuższy czas. Jednak jemu „miłość" zdała się bliższa przykrości i z utęsknieniem pragnął znaleźć się stamtąd o sto mil. Oczywiście i teraz nie zaznał spokoju. Gospodyni krzyczała: „Tak, oto drugie poselstwo miłości: Żyjcie więc szczęśliwie i radośnie!"

Jednak mniszek leżał sztywny i niemy, myśląc z rozpaczą: „Och, gdybym tak znów znalazł się w mym klasztorze. Gdyby nawet miłość przykucnęła pod bramą, strzegłbym się podejść za blisko".

Krótko przed świtem zawiedziona gospodyni rzuciła się na niego po raz trzeci i dała mu jako pamiętną nauczkę wiele ciosów i szturchańców. Poniechała go dopiero o jutrzni, wyrzucając bez namysłu z pokoju. Jednakże mnich był bardzo zadowolony i nie czekał już na jej poranne błogosławieństwo. Wzburzony wybił parobka ze snu wołając, że ma natychmiast przyprowadzić konie. Ani chwili dłużej nie zechciał pozostać w tym domu. Wystraszony sługa zerwał się myśląc sobie ni mniej ni więcej tylko tyle, że niespodziewanie powrócił gospodarz. Ruszyli więc obaj, na łeb, na szyję. Galopowali na przełaj, parobek przodem, mnich z tyłu. Poganiali konie trzy mile, jakby na karku siedział im diabeł. Wreszcie dotarli do zielonej łąki, gdzie się zatrzymali, zeskakując z siodeł. Parobek patrzył na pana pytająco, gdyż zdał mu się wyraźnie zmieniony. Twarz mnicha była bowiem trupioblada. Zatroskany sługa spytał, jak mu się powiodło w miłości. Jednak zakonnik rzekł roztropnie: „Nie mogę się chwalić, jak dobrze mi poszło, gdyż nie podoba się to Bogu. Możesz mi spokojnie wierzyć". Parobek nie pytał więc dalej, a mnichowi było strasznie pilno wrócić do klasztoru.

Gdy znaleźli się w domu, mnich wziął parobka na bok pytając: „Słyszałem, że z takiego obcowania męża i niewiasty biorą się dzieci. Na honor i sumienie, powiedz jednak kto ma je w brzuchu".

„Tak, to łatwo objaśnić", zauważył sługa. „Zawsze ten, co leży pod spodem".

Wtedy nasz zakonnik poczuł potworny strach, myśląc: „Bieda! Co tu robić? To ja, biedny męczennik, byłem przecież tym, co leżał pod spodem. Mą dobrą sławę wezmą teraz diabli, gdyż jestem w ciąży. Jeszcze opat i bracia dojdą rzeczy i wypędzą mnie z klasztoru. Ach, lepsza dla mnie śmierć, zamiast wystawiać się na ich obelgi".

Całych dwanaście tygodni słabowity i schorowany mnich snuł się po korytarzach, tak źle z nim się obeszła gospodyni. Bracia pytali go, co mu się stało, dlaczego tak wychudł. Wystrzegał się jednak, by opowiadać innym o swej miłosnej przygodzie, tym bardziej będąc przekonanym, że nosi w brzuchu dziecko.

Któregoś dnia był świadkiem pewnej rozmowy. Czynszowy chłop oskarżył przed opatem innego wieśniaka: „Panie, muszę wnieść przed was skargę. Syn wdowy, co mieszka na końcu wsi tak uderzył moją krowę, że od tego poroniła".

Opat zaręczył: „Będę twym sprawiedliwym sędzią. Jeśli rzeczywiście jest moim poddanym, mogę go łatwo zmusić do odpowiedniej pokuty".

Usłyszawszy to „ciężarny" mnich kazał jak najszybciej sprowadzić do siebie znanego mu syna wdowy. Miał przekraść się w całkowitej tajemnicy, chciał z nim omówić coś poważnego. Gdy chłopak się zjawił, został przyjaźnie przyjęty przez zakonnika i wprowadzony do jego celi. Tam mnich zaczął: „Byłem dziś świadkiem jak wniesiono przeciw tobie skargę. Miałeś tak mocno zbić krowę, że poroniła. Jak przypuszczam, takie uderzenie mnie mogłoby przynieść korzyść, gdyż, niestety, mam pewność, że jestem w ciąży i obawiam się niezmywalnej hańby, jeśli sprawa stanie się głośna".

Wdowi syn był kpiarzem. Wywracając oczami spytał ze zdziwieniem: „No, no, jak do tego doszło? Przecież opat to starzec, a przeor nie ma już zupełnie soku w lędźwiach. Któż więc jest sprawcą tego cudu z wami? Może to piwniczny? Jeśli rzeczywiście on, zasługuje na podziw".

Przerażony mnich odparł: „Ależ nie. Żaden z braci nie jest winien memu smutnemu położeniu. Przyczyniła się do tego pewna niewiasta. Pozwoliłem z nią sobie na miłosne igraszki, a przy okazji sprawiłem sobie dziecko".

Chłopak pohamował śmiech i uroczyście oświadczył: „Panie, zrobię wszystko, co tylko chcecie i to z ochotą. Ostrzegam jednak. Większość ludzi, którzy nie chcą donosić swego dziecka, ginie przy tym".

Mnich wszakże powiedział stanowczo: „Niech tam! Nie przejmuj się! Wal mnie z całej siły! Pilnie tego wymaga sprawa! Nie potrzebujesz martwić się o moją śmierć. Uczciwie i z czystym sercem wybaczę ci wszystko, co mi uczynisz. Za to jednak, że w pełni przyłożysz się do dzieła, obiecuję ci w nagrodę trzy funty srebra".

Syn wdowi niemal nie posiadał się z radości i z werwą przystąpił do wypełniania zadania. „Przyjedźcie wczesnym rankiem do lasku przy klasztorze. Wtedy, w miarę sił, udzielę wam pomocy i to jeszcze zanim zrobi się południe".

Mnich podziękował mu wylewnie: „Na pewno się zjawię, jednak bądź też bez spóźnienia na miejscu".

Przebiegły syn wdowi wyciął sobie trzy porządne dębowe kije na grzbiet mnicha, zabierając je z sobą na spotkanie. Zakonnik był już na miejscu, dał natychmiast parobkowi obiecane trzy funty srebra i zawołał: „Teraz śmiało! Nie oszczędzaj mnie! Im mocniej będziesz walił, tym sowitsza nagroda".

Chłopak zażądał jednak: „Wprzódy zdejmijcie kaptur!". A kiedy mnich stanął w bieliźnie, mocno waląc, powalił go jak wołu na ziemię. Gdyby zakonnik miał w brzuchu siedmioro dzieci, żadne nie uszłoby z życiem. I kiedy parobek młócił mnicha, w pobliskiej bruździe pośród źdźbeł trawy przycupnął młody zając, który ze względu na hałas i odgłosy razów nie śmiał się poruszyć. Jednak, gdy wreszcie złamał się trzeci kij, przerażone stworzenie uciekło. Ujrzawszy je, mnich krzyknął: „Przestań! Muszę zająć się swym dzieckiem! O rety, żebym je tak dogonił! Muszę powierzyć je mamce, żeby je wychowała!".

Zając przycupnął na skraju lasu, tymczasem zrozpaczony zakonnik przypatrywał mu się osłupiałym wzrokiem, lamentując: „O rety! Moje ukochane dziecko! Jednak jakie zwinne są twe nogi! Co za nieszczęście! Byłbyś gońcem u księcia i mógłbyś nosić jego orędzia, skoro w mig pokonujesz milę! Jeszcze lepiej, gdybyś został kucharzem, przecież już się obnosisz z warząchwiami jak mistrz rondla!". Głupiec brał za łychy zające słuchy widoczne podczas ucieczki. Jak wściekły pies pognał mnich na skraj lasu. W swej rozpaczy chciał przecież odzyskać dziecko. Lecz choć załamywał ręce, pełen żalu bił się pięściami w pierś i rwał sobie włosy, potomek był stracony. Tymczasem przypadkowo zjawił się przejeżdżający obok stary mnich, który, niczego nie podejrzewając, spytał: „Co się stało? Jakaż wina wtrąciła was w taką rozpacz? Czyście zgrzeszyli przeciw Bogu?".

Młody zakonnik użalał się: „Moje dziecko, które nosiłem pod sercem, opuściło mnie. Jak mam nie rozpaczać?".

Mnich rozgniewał się i rzekł: „Na Boga, jak długo żyję, nie widziałem jeszcze brzemiennego mnicha. Powiem o tym opatowi i konwentowi, możecie być tego pewni".

„Nic mnie to nie obchodzi" krzyknął młody zakonnik, „nawet jeśli się o tym dowie cały świat. Pragnę tylko odzyskać dziecko. O rety, co ze mnie za nieszczęsna istota".

Wtedy stary mnich rozeźlił się, przeciągnął go sękatym kijem przez łeb, aż głupiec półogłuszony runął na ziemię i wrzasnął: „Jesteście obłąkani, ba, hańbicie nasz zakon i wszystkich braci".

Zbity zakonnik podźwignął się z trudem i bohatersko jęczał: „Ach, gdybym tak mógł jeszcze raz zobaczyć me dziecko. Nic mnie nie obchodzi, co będzie potem".

Stary zrobił nad lamentującym znak krzyża, zeskoczył z konia i zawołał: „In nomine patris. Cóż za dziecko tropicie tu w lesie?". Rzucił się na niego, wiążąc mu ręce jak złodziejowi, i pogroził: „Skoro tak bardzo boli was serce po obcym dziecku, musicie teraz zważyć to, co o tym myślę". I puścił swój sękaty kij w szybki taniec, toteż mniszek nabawił się więcej niż jednego guza. Potem stary znów dosiadł szkapy wiodąc młodzieńca obok siebie na powrozie. Jednak tamtemu toczyły się po policzkach rzęsiste łzy na myśl o dziecku. Gdy obaj przybyli do klasztoru, wszyscy mnisi zebrali się widząc osobliwy pochód. Opat popatrzył smutnię na młodzieńca i dobrotliwie rzekł: „Drogi synu, co się z tobą dzieje?".

Mnich odparł: „Ach, panie, gdybyście tylko ujrzeli moje słodkie dzieciątko! Bylibyście zachwyceni! Wierzcie mi, gdybym je schwytał, byłoby po chrześcijańsku ochrzczone! Ech, na ojców chrzestnych obrałbym przeora i piwnicznego".

Zakonnicy nie mogli niczego pojąć z tej zwariowanej historii. Gdy uniesiono młodemu szaty, widząc wszędzie na jego ciele ślady mocnych razów, wyjaśniono sobie, że na pewno pochodzą od złego ducha. Opat natychmiast polecił przynieść psałterz i inne święte księgi dla skutecznego egzorcyzmowania czarnych mocy, aby uwolnić biednego mnicha od tej przypadłości. Bracia działali zgodnie z rozkazem opata. Zebrawszy się wokół młodzieńca, wznosili głośne modlitwy. Wtedy „uzdrawiany" zaczął wrzeszczeć: „Moje dziecko jest ciągle poganinem. Gdyby zostało ochrzczone, zapomniałbym o wszystkich nieszczęściach".

Przerażony opat zawołał: „Słuchajcie, słuchajcie, jak diabeł chce z nas zakpić. Jak przebiegle wygłasza słowa. Widocznie zaklęcia niczego mu nie zrobiły, zdradzieckiemu złoczyńcy".

Teraz zawleczono młodzieńca do kościoła z wodą święconą: został nią skropiony i obwiązany stułą. Jednak i te wszystkie ich działania, groźby, modlitwy okazały się daremne. Mnich ustawicznie krzyczał: „Dajcie mi moje kochane dziecko, które nosiłem dwanaście tygodni. Dajcie je, a będę najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi!".

Stopniowo braci ogarnął więc gniew. Byli gotowi na wszystko przysiąc, że chłopak oszalał. Rozeźleni wrzucili go do ciemnicy, gdzie biedak zmuszony był męczyć się o chlebie i wodzie czternaście dni i nocy. Wszakże on ustawicznie błagał Boga o zwrócenie swego dziecka, aby można je było ochrzcić. Piętnastego dnia opat sprowadził młodego mnicha do konfesjonału. I tu wyspowiadał się mówiąc o miłości, parobku, zuchwałej niewieście, która go biła i uczyniła ciężarnym, kiedy pod nią leżał podczas miłosnych igraszek. Gdy wreszcie wytłumaczył wszystko w najdrobniejszych szczegółach, opat westchnął: „Mój drogi synu, dziś jeszcze skończą się wszystkie twoje cierpienia. Nie potrzebujesz spuszczać wzroku ani przede mną, ani przed przeorem. Idę do innych braci, śpiewaj, módl się i bądź zacnym synem jak do tej pory. I módl się za mnie. Grzechy twoje zostały ci odpuszczone. Zważaj teraz na to jedynie, że czeka cię życie wieczne".

Na tym kończy się historia o mnichu w błogosławionym stanie. Opowiedział ją Zwingauer. Błagajmy wszakże Boga, aby nas w młodych latach przyjął do królestwa niebieskiego.

Autor znany tylko z imienia. Utwór powstał na początku XIV stulecia.

Przełożył:
KONRAD FREJDLICH

Wideonotes

FILM TV WIDEO

Kaskaderzy, czyli człowiek może wszystko

MAREK KOPROWSKI

Kino Łódzkiego Domu Kultury od dłuższego czasu kojarzy się łodzianom kochającym sztukę filmową z niezłymi imprezami, a to: pokazami promocyjnymi najnowszych produkcji polskich przed ich oficjalnymi premierami, z udziałem realizatorów tych dzieł, a to, wespół z Muzeum Kinematografii, tzw. **„premierami muzealnymi"** filmów dotąd nie pokazywanych z różnych powodów, również z udziałem twórców, a to, przeglądami monograficznymi, tematycznymi i innymi — wspólnie z ŁDK-owskim Ośrodkiem Filmowym. Imprez jest zbyt wiele, by je tu wszystkie wymienić. Jedna wszakże zasługuje na szczególną uwagę: **Łódzkie Warsztaty Filmowe** 1989/90, czyli cykl z różnymi obliczami i kulisami filmu, rozłożony na dziewięć miesięcy (jedno spotkanie w miesiącu), trwający od października 89 r. do czerwca 90. Autorem tego pomysłu, jak i innych wymienionych i nie wymienionych, jest niespokojny duch ogarnięty pasją kina, kierownik placówki — **Piotr Wojtczak** — i jego ekipa, z pomocą której może zrobić wszystko.

Odbyły się już dwa wieczory Warsztatów: pierwszy, zatytułowany **„Za co kochamy aktorów?"**, z udziałem m.in. **Krzysztofa Kolbergera** i **Joanny Trzepiecińskiej** i drugi — **„Reżyser — bóg czy rzemieślnik?"**, na które to pytanie próbowali dać odpowiedź: **Henryk Kluba** i **Marek Koterski**. Bogata ilustracja fragmentami filmów uzupełnia pomysłowy, dynamiczny scenariusz spotkań.

W połowie grudnia, wierni widzowie cyklu mogli się przekonać, **że „Film wszystko może"**, bo taki właśnie tytuł nadano trzeciemu odcinkowi spotkań z filmem. Wystąpili kaskaderzy, pirotechnik, twórca efektów specjalnych i pies.

Najodważniejszy kaskader polskiego kina, **Krzysztof Fus**, 30 lat w zawodzie, człowiek, dzięki któremu zawód przezeń wykonywany wyniesiono do należnej mu rangi, opowiadał o swoich brawurowych, dramatycznych przygodach i przeżyciach zawodowych. To on wykonał karkołomny skok z kolejki linowej na Kasprowy, gdy podmuch wiatru zepchnął go z przewidywanego toru lotu, co przypłacił kilkuletnim pobytem w szpitalu, to on popalił sobie twarz napalmem i odzyskał ją dopiero dzięki operacji plastycznej, to on w filmie **„Wszystko na sprzedaż"** wpadał — jako **Zbigniew Cybulski**, jego przyjaciel, którego często dublował — pod pociąg, co przypłacił częściowym oskalpowaniem i dziurą w głowie, a mimo to, „rozum mu nie wywietrzał", jak to dowcipnie skomentował. Opowiadał ze swadą o swojej niezwykłej pracy na planie filmowym ilustrując opowieść niesamowitymi wyczynami w wyświetlanych fragmentach. Spadochroniarz, pilot samolotowy, komandos, kierowca, nurek, narciarz, pływak, motocyklista, szaleńczo odważny człowiek, który wiele razy klepał się ze śmiercią po ramieniu — jawi się jako sympatyczny, pogodny, dowcipny i łagodny mężczyzna, choć byczasty, zwalisty, z ogoloną na zero czaszką i strojem komandoskim, może wprawić w kłopotliwe zamyślenie nad swoją cherlawą sylwetką niejednego młodzieniaszka. A Fus ma 50 lat i kondycję godną podziwu. Podpalał na scenie swoich kolegów po fachu, gasił ich, a **Mirosław Marchwiński**, najlepszy polski pirotechnik, okraszał pokazy wybuchami i strzelaniną, gdzie „krew" się lała czerwoną farbą, plamiąc białe kostiumy kaskaderów. Ilustracją jego największych osiągnięć były superefektowne fajerwerki z **„Agenta nr 1"**. Z kolei **Bogusław Krawczyk**, mistrz efektów specjalnych, skromnie, spokojnie i fachowo objaśniał tajemnice ekranowych UFO, pojazdów kosmicznych z **„Seksmisji"**, czy zasady pracy i tajemnice konstrukcji robota występującego w **„Panu Kleksie w kosmosie"**, bądź scenę urywania ręki w filmie **Piotra Szulkina „Ga-ga, chwała bohaterom"**.

Największą frajdę sprawiła licznie zgromadzonej dzieciarni, wprowadzona na scenę przez **Beatę Rakowską**, atkorkę Teatru Narodowego — w „cywilu" urodziwą i delikatną żonę potężnie zbudowanego Krzysztofa Fusa — świnia, która, po rozebraniu na oczach publiczności ze świńskiego przyodziewku, autorstwa Bogusława Krawczyka, okazała się czarnym jak diabeł psem (suką) Tiną, stanowiącą również własność Fusa. I ten pies, jak cała rodzina, jest aktorem, występującym w wielu filmach, między innymi przygodach pana Samochodzika. Dlatego przebrano Tinę za świnkę, ponieważ w najnowszym filmie **Krzysztofa Magowskiego** właśnie pod tytułem **„Świnka"**, musi ona skakać przez szybę, pływać pod wodą, przeskakiwać w ruchu z samochodu na samochód, czego żadna świnia na świecie nie zrobi, a Tina tak, Tina to potrafi. To — i wiele innych kaskaderskich sztuczek, co również mogliśmy obejrzeć we fragmentach wyświetlanych filmów. Uratowała kiedyś życie swojemu panu, nic więc dziwnego, że są do siebie wzajemnie bardzo przywiązani, co widać było bardzo wyraźnie.

Był to niezwykle atrakcyjny i bogaty we wrażenia wieczór. Nieprawdopodobne wyczyny jego bohaterów wzbudziły podziw i zachwyt widowni. Następne spotkania warsztatowe: **„Operator — szkiełko i oko"**, **„Hocki klocki z montażem"**, **„Scenografia — świat ułudy"** i tak dalej, zapowiadają się nie mniej atrakcyjnie (choć z innych powodów), co gwarantuje naładowana pomysłami głowa Piotra Wojtczaka i jego niewyczerpana energia.

„Odgłosy" proponują:

Film:

Pragniemy zwrócić uwagę na film **Davida Jonesa — „Szalony Megs"**. Klasyczny melodramat Jones przekształcił w fascynujący trójkąt uczuciowy brat — siostra — przyjaciel, w którym każdy walczy o prawo do szczęścia. Film ten jest także popisem aktorskiego tercetu De Niro — Harris — Baker, tworzących przejmujące kreacje życiowych rozbitków, na których psychice zaważył cień wojny wietnamskiej. Bo też dla głównych bohaterów, Wietnam wiąże się przede wszystkim ze śmiercią przyjaciela, który był ich przywódcą duchowym. Zginął podczas jednej z akcji bojowych, ratując im życie. Przyjaciele powracają pamięcią do jego śmierci, która zaważyła na ich dalszych losach. Megs życzliwy, sympatyczny i bezpośredni odmienia swoim przyjazdem szare i przygnębiające życie rodzeństwa — Dave'a i Marthy... W rolach głównych: **De Niro, Kathy Baker, Ed Harris.**

TV:

„POWIĘKSZENIE" — to jedno z najgłośniejszych dzieł kinematografii światowej. Jego twórcą jest **Michelangelo Antonioni**, jeden z głównych przedstawicieli tzw. nowej fali w kinematografii światowej; autor filmów psychologicznych przedstawiających w pierwszym rzędzie samotność człowieka, zanikanie uczuć w świecie cywilizacji współczesnej. Do największych osiągnięć Antoniego należą takie dzieła jak: **„Przygoda"** (1959), „Noc" — powstały w rok później film, uznany za najlepszy przykład nowej fali; **„Zaćmienie"** (1961) **„Czerwona pustynia"** (1964) oraz **„Powiększenie"** — film produkcji angielskiej, zrealizowany w 1967 roku. **(Piątek, 5 stycznia, godz. 20.05. TV 1).**

„SIEDMIU WSPANIAŁYCH" — western produkcji amerykańskiej, którego reżyserem jest **John Sturges.** Twórca ten wyspecjalizował się w filmach kryminalnych i westernach, spośród których warto przypomnieć: **„Strzelanina w Ok Corral"**, **„Ostatni pociąg z Gun Hill"**, **„Wielka ucieczka"**, **„Joe Kid"**, **„Samotny detektyw MaQ"**, **„Konie Valdeza"** i in. „Siedmiu wspaniałych" to film, który zdobył największe powodzenie i zaliczany jest do klasyki tego gatunku. Jakkolwiek Telewizja Polska prezentowała już ten film wielokrotnie (ostatnio przed dziewięciu laty) to jednak z pewnością kolejna jego emisja spotka się z zainteresowaniem telewidzów. Tym bardziej, że występują w nim świetni aktorzy — **Yul Brynner, Eli Wallach, Steve McQueen, Horst Bucholz, Charles Bronson, James Coburn** i inni. **(Sobota, 6 stycznia, godz. 20.05. TV 1).**

POLEMIKI — LISTY — OPINIE

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

TAK BYŁO!

W jednej z moich wypowiedzi na temat stanu wojennego wkradł się błąd. Wyniki badań wśród studentów Uniwersytetu Łódzkiego wyglądały inaczej. W połowie listopada 1983 roku na pytanie — *„Czy obecnie zgadzasz się z poglądem, że wprowadzenie stanu wojennego było słuszne ze względu na interesy naszego narodu?"* — uzyskano następujący rozkład odpowiedzi: zdecydowanie tak — 12 proc., raczej tak — 30 proc., raczej nie — 19 proc., zdecydowanie nie — 25 proc., nie wiem — 14 proc. Podaję także zróżnicowanie według płci respondentów.

Odpowiedzi	Mężczyźni	Kobiety
Zdecydowanie tak	11	12
Raczej tak	15	34
Raczej nie	17	20
Zdecydowanie nie	40	20
Nie wiem	17	14

Stan wojenny potępiało więc wówczas 57 proc. mężczyzn i 40 proc. kobiet, a popierało 36 proc. mężczyzn i 46 proc. kobiet. Na to samo pytanie twierdząco odpowiedziało 50 proc. uczniów klas maturalnych w Łodzi, a przeczące 36 proc. Z tym jednak, że w liceach ogólnokształcących było 36 proc. zwolenników i 51 proc. przeciwników, zaś w technikach 60 proc. zwolenników i 26 proc. przeciwników. Pozostali uczniowie nie mieli zdania. Było ich dokładnie tyle samo (14 proc.) co wśród studentów.

Przy okazji podam, że pierwszy sondaż socjologiczny na temat stanu wojennego przeprowadzono w styczniu 1982 roku na próbie reprezentatywnej mieszkańców Warszawy. Poparło wtedy stan wojenny 51 proc. respondentów.

Następnie w lutym 1982 roku badano reprezentatywną grupę mieszkańców całego kraju. I okazało się, że 69 proc. Polaków uznało decyzję z 13 grudnia 1981 r. za usprawiedliwioną. W kolejnych sondażach odsetek aprobujących zmniejszył się do 64 proc. w kwietniu i 62 proc. w czerwcu 1982 roku. Ale wciąż był wysoki.

Na pięć dni przed wprowadzeniem stanu wojennego Ośrodek Badania Opinii Publicznej i Studiów Programowych przy Komitecie ds. Radia i Telewizji zapytał, czy miniony rok był dobry czy zły dla Polski. Aż 86 proc. ankietowanych uznało, że był to rok zły. Dla porównania w latach wcześniejszych odsetek ocen negatywnych wynosił: 1975 rok — 1 proc., 1976 rok — 37 proc., 1977 rok — 15 proc., 1978 rok — 13 proc., 1979 rok — 21 proc., 1980 rok — 78 procent.

Przypomnę tu jeszcze raz, że w środowisku naukowym wysoko cenione są badania prowadzone przez zespół socjologów pod kierownictwem prof. Władysława Adamskiego. W połowie 1984 roku i powtórnie jesienią 1985 roku zadano m.in. następujące pytanie: *„Czy Pana(i) zdaniem decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 roku była: 1. zdecydowanie słuszna, 2. raczej słuszna, 3. raczej niesłuszna, 4. zdecydowanie niesłuszna, 5. trudno powiedzieć?"*. Oto uzyskane wyniki reprezentatywne dla dorosłej części społeczeństwa polskiego:

Odpowiedzi	1984	1985
Zdecydowanie słuszna	26	26
Raczej słuszna	30	28
Raczej niesłuszna	13	12
Zdecydowanie niesłuszna	13	8
Trudno powiedzieć	18	26

W ciągu półtora roku 1984—1985 zaufanie do Wojciecha Jaruzelskiego wzrosło z 54 proc. do 69 proc. ogółu respondentów. Natomiast zaufanie do Lecha Wałęsy spadło z 41 do 34 proc. Spośród wybranych osobistości polskich największym zaufaniem cieszył się Józef Glemp: 1984 rok — 81 proc., 1985 rok — 86 proc. respondentów. Komentując uzyskane rezultaty Krzysztof Jasiewicz pisał:

„Nakłada się tu na siebie kilka różnych tendencji. Pierwsza z nich to wzrost stopnia zaufania do osobistości reprezentujących istniejący porządek polityczny. Szczególnie wyraźnie jest to widoczne w przypadku osoby Wojciecha Jaruzelskiego. Mamy tu do czynienia ze spadkiem liczby osób deklarujących brak zaufania i wzrostem liczby osób deklarujących zaufanie, przy niezmienionej liczbie osób nie wyrażających swej opinii.(...) Obaj wymienieni na liście przywódcy Solidarności (Lech Wałęsa i Zbigniew Bujak) zanotowali spadek liczby osób udzielających im swego poparcia i wzrost liczby osób, które odpowiedziały „trudno powiedzieć" *lub* „nie wiem kto to jest". *(...) W sumie zmniejszenie odsetka zarówno udzielających, jak i odmawiających Zbigniewowi Bujakowi zaufania na rzecz tych, którzy w tej kwestii nie wyrażają opinii, lub twierdzą, że nie wiedzą, kto to jest, świadczy o zmniejszającym się wpływie działalności podziemia na świadomość przeciętnego Polaka. Wniosek ten popiera w całej rozciągłości analiza odpowiedzi na pytanie o zaufanie do podziemnej Solidarności, gdzie wystąpiły analogiczne zmiany".*

Przytoczonych wyżej wyników badań socjologicznych nie można lekceważyć, kiedy dziś oceniamy stan wojenny. Ale warto też zadumać się nad dwoma maksymami. W 1801 roku Napoleon Bonaparte stwierdził dosadnie, że *„opinia publiczna to dziwka"*. Natomiast pewien biskup podczas II Soboru Watykańskiego powiedział: *„Opinia publiczna jest elementem szatańskim, który przeszkadza wysiłkom Ducha Świętego"*.

EDMUND LEWANDOWSKI

„SZTUKA ODWETU"

Dowiedziałem się niedawno, że powstaje w Łodzi nowe Muzeum Sztuki — jako Muzeum Artystów, a inicjatorem tego przedsięwzięcia jest zamieszkały w Berlinie Zachodnim — Ryszard Waśko. Trzeba przyznać, że ten pomysł artystyczny jest interesujący. Sam bym na to nigdy nie miał odwagi wpaść. Artysta buduje sobie muzeum, to tak trochę jak swego czasu wielcy władcy (artyści) stawiali sobie za życia piramidy, łuki tryumfalne albo innego rodzaju monumenty. Od tej pory będę z wielką ciekawością obserwował rozwój tej inicjatywy. Podobno „miasto" już ją podchwyciło z wielkim entuzjazmem. Jeszcze tylko trzeba znaleźć zespół kilku budynków, przesłać prace i pieniądze z Zachodu i mamy nowe Muzeum Sztuki. Zmartwiło mnie ogromnie jedynie to, że Ryszard Waśko, dawny mój przemiły i pojętny student o mnie zapomniał. Przykro mi, no i trapi mnie fatalna myśl, że nie będę miał w tym „muzeum przyszłości" swojego miejsca. Dobrze, że chociaż dyrektor Ryszard Stanisławski przed dziesięciu laty pozyskał ode mnie kilka prac. Chociaż będę w tym mieście reprezentowany przez Muzeum Władysława Strzemińskiego. W końcu tradycja nie mniejsza niż Ryszarda Waśki.

Właściwie nie powinienem mieć żadnej pretensji, przecież to normalne, że uczeń przerasta swego mistrza. Ale dlaczego R. Waśko pominął innych przyjaciół, którzy z pełnym oddaniem wspomagali poprzednią inicjatywę „Konstrukcję w procesie" z 1981 roku? Chyba głupie miny mają teraz (tak jak ja) Bogu ducha winni: T. Snopkiewicz, L. Czołnowski, A. Kamrowski, J. Jóźwiak, M. Karwas, M. Nitosławska, P. Zarębski czy wreszcie M. Waśko. (Komitet Organizacyjny Konstrukcji w procesie).

Rozumiem, minęło kilka lat, ludzie się zmienili, wielu wyjechało z kraju, inni pewnie zdaniem R. Waśki zdradzili ideały — to już nie ci sami przyjaciele. Teraz działa nowy „komitet organizacyjny" tzw. naiwnych. Ciekawe, skąd takich jeszcze R. Waśko znalazł? Interesujące jest — dlaczego nas tak potraktowano? Przecież byliśmy mu oddani w imię „wspólnej pięknej sprawy robionej dla społeczeństwa", w imię rodzącej się wtedy SOLIDARNOŚCI. Wystawa się odbyła, była wspaniała, ale skutek międzyludzki fatalny. Najwięcej mnie się dostało! Już w listopadzie 1981 roku po zdjęciu ekspozycji zostałem wyeliminowany z Komitetu, który przekazał „Kolekcję Konstrukcji w procesie" Solidarności Ziemi Łódzkiej, dalej z katalogu wystawy, gdzie nie zamieszczono mojej pracy, następnie z pięknego wydawnictwa FABRYKA oraz z kolejnej wystawy już na terenie Monachium pt. „Konstrukcja i proces" w 1985 roku. Ale pamiętliwy ten Ryszard Waśko. Tylko co ja mu złego zrobiłem.

Teraz, gdy można już się „rozbijać" po całym świecie (za własne pieniądze), pytają mnie różni artyści i eksperci, co się tak długo ze mną działo? Pewnie się zestarzałem, straciłem twórczą „wenę" albo podjąłem po ogłoszeniu stanu wojennego ścisłą współpracę z oficjalnym rządem... Przyznam, że nie umiem odpowiedzieć na te dociekliwe pytania i dalej nie mogę zrozumieć, co się stało, że zostałem skreślony z wielu obowiązujących w latach 80. list polecających polskich artystów. Fatalnie się dzieje, że teraz w czasach tolerancji nadal mnie skreśla W. Bruszewski (Odgłosy, nr 51 — „Konstrukcja konfliktu") pomijając celowo moje nazwisko jako członka międzynarodowego stowarzyszenia artystów (IKG). Dlaczego to zrobił, przecież razem wychowywaliśmy się w latach 60. i 70. na artystów w łódzkiej Szkole Filmowej. Teraz z tej perspektywy rozumiem haniebny moim zdaniem gest opuszczenia przez niego wraz z prawie całą polską delegacją (na paszportach służbowych) sali obrad IKG w Mönchengladbach (1983), kiedy to moi niemieccy koledzy odczytywali przesłaną przeze mnie odezwę do artystów świata potępiającą wprowadzenie u nas stanu wojennego.

W tym miejscu muszę przypomnieć moim młodszym kolegom, że w Łodzi mimo wszystkich kataklizmów, jakie wspólnie tu przeżyliśmy, życie artystyczne istnieje nadal i nie da się tego faktu pominąć jakimś „cwanym" chwytem. Trzeba to środowisko wliczyć w krwiobieg każdej istotnej inicjatywy, inaczej ona będzie trupia, bez życia i energii. Drogą pokątnych przemilczeń i skreśleń nic się nie załatwi nawet na plecach SOLIDARNOŚCI, która musi mieć czyste oblicze.

A zupełnie fatalna, niegodna na świecie znanych artystów jest droga pomówień i sprzeniewierzeń. Warto przypomnieć, że jeszcze nie tak dawno Ryszard Waśko, a szczególnie Wojciech Bruszewski byli pupilami dyrektora Ryszarda Stanisławskiego. Nie kto inny tylko on wspierał ich udział w reprezentatywnych dla Muzeum Sztuki wielkich wystawach. Przypomnę choćby wystawę sztuki ATELIER-72 w Edynburgu, 22 Polskich Artystów w Kolonii (1977), udział w Biennale Młodych w Paryżu, Biennale of Sydney (1982), Presences Polonaises w Centrum Pompidou (Paryż 1983). To tylko najważniejsze ekspozycje, a przecież mają ci artyści jeszcze sporo prac w kolekcji łódzkiego muzeum. Nadmienić dalej należy jeszcze fakt, że nie kto inny tylko Ryszard Waśko oddał bez naszej zgody (Komitet Organizacyjny) „Konstrukcję w procesie" w ręce dyrektora Ryszarda Stanisławskiego powołując go potajemnie przed nami do Komitetu Honorowego tej wielkiej „niezależnej" imprezy. Byli więc ci wszyscy ludzie w dobrej komitywie i zgodzie. Co się stało, że po „Konstrukcji w procesie" na pewno najpiękniejszej wystawie, jaka się zdarzyła w Polsce Ludowej, wszyscy się znienawidzili? Widocznie były jakieś powody i przyczyny, o których powinniśmy publicznie porozmawiać, żeby to nowe MUZEUM ARTYSTÓW nie powstało na kupie brudów.

JÓZEF ROBAKOWSKI

NIEMCY O PAKCIE RIBBENTROP — MOŁOTOW

Z opóźnieniem dotarł do moich rąk 35 numer zachodnioniemieckiego tygodnika „Der Spiegel", zawierający m.in. przypomnienie pertraktacji międzypaństwowych w okresie bezpośrednio poprzedzającym ostatnią wojnę. Nasza prasa poświęcała tym sprawom sporo miejsca, koncentrując się jednak na pakcie Ribbentrop — Mołotow i sądziłem, że niemiecki tygodnik najwyżej dorzuci jakiś szczegół do lansowanych u nas ostatnio tez o współwinie rządu ZSRR za wybuch wojny i klęskę Polski.

A oto co pisze o tym Wilhelm Bittorf. Przypomina, że od przystąpienia Związku Radzieckiego w 1934 r. do Ligi Narodów, którą rok wcześniej opuściły Niemcy, radziecki minister spraw zagranicznych Maxim Litwinow zaczął zabiegać o ustanowienie „zbiorowego bezpieczeństwa przeciwko agresorom", mając na myśli ekspansjonistyczne zamiary faszystowskich Niemiec i Włoch, a także Japonii. Te działania ZSRR zintensyfikował po aneksji Austrii w marcu 1938 r. przez III Rzeszę. Państwa zachodnie nie chciały jednak porozumień z państwem komunistycznym, a niezaproszenie ZSRR na konferencję monachijską świadczy dowodnie, jak twierdzi brytyjski konserwatywny historyk Ian Grey, że „Hitler otrzymał wolną rękę na wschodzie". A jak oceniał Winston Churchill „musieliśmy za to później drogo zapłacić".

Kiedy brytyjski premier Neville Chamberlain (poprzednik Churchilla) dostrzegł po wkroczeniu Niemców do Pragi fiasko swojej polityki i poczynił pierwsze obietnice pomocy Polsce i Rumunii, zwrócił się też z pytaniem do Stalina, czy ZSRR byłby skłonny złożyć oświadczenie o gotowości udzielenia tym państwom pomocy, gdyby się o nią zwróciły, zaatakowane przez Niemcy. W odpowiedzi Józef Stalin ocenił postawienie sprawy za jednostronne, gdyż nie przewidywało wsparcia działań radzieckich przez Anglię i Francję, gdyby Związek Radziecki wystąpił przeciw Niemcom. Pomimo tego ZSRR zaproponował Anglii i Francji 17 kwietnia 1939 r. trójporozumienie, połączone z udzieleniem gwarancji niepodległości dla wszystkich państw na zachód od granicy ZSRR — od Finlandii po Morze Czarne — a więc i dla Polski, i Rumunii.

Generał brytyjski Edmund Ironside, który w czasie wizytacji polskiej armii przekonał się o jej niesprawności, zapytany przez premiera, co sądzi o sojuszu ze Związkiem Radzieckim, odpowiedział: „Bardzo mi to nie odpowiada, ale jest to jedyne, co możemy zrobić". Na to Chamberlain: „Czego nie możemy!"

Kiedy na radziecką ofertę nie nadchodziła odpowiedź, Stalin 3 maja powierzył stanowisko ministra spraw zagranicznych premierowi Wiaczesławowi Mołotowowi, co skomentował Churchill: „Rosyjskie interesy koncentrują się na tym, żeby pokrzyżować plany Hitlera we wschodniej Europie". Znamienne, że brytyjska opinia publiczna w 92 proc. opowiedziała się za sojuszem z ZSRR.

Rząd brytyjski nie mogąc zwlekać w nieskończoność, wysłał w połowie czerwca do Moskwy misję, na czele której stanęli jednak drugoplanowi politycy, Anglicy bowiem — przypomina Bittorf — byli więźniami obietnic złożonych Polsce, „zacofanemu krajowi w stylu bananowych republik, kierowanemu przez ludzi skłonnych do hurrapatriotyzmu i megalomanii". Obietnice Chamberlaina usztywniły ich stanowisko zarówno wobec niemieckich gróźb, jak i radzieckich ofert pomocy. Misja brytyjczyków w Moskwie musiała skończyć się na niczym.

Dopiero pod wpływem zaostrzającej się sytuacji międzynarodowej Anglicy i Francuzi zaczęli wywierać silniejszy nacisk na rząd polski, by przyjął propozycje radzieckie, sformułowane latem tegoż roku przez marszałka Klimenta Woroszyłowa: „Możemy prowadzić skuteczną obronę Polski i Rumunii jedynie na ich terytorium, gdyby jednak do porozumienia nie doszło, prawdopodobnym tego skutkiem — przestrzegał Woroszyłow — mogłoby być porozumienie ZSRR z Niemcami i podział krajów wschodniej Europy".

Ani Józef Beck, ani Edward Rydz-Śmigły nie chcieli nawet słyszeć o warunkach sojuszu z ZSRR, natomiast Związek Radziecki nie zamierzał rozpoczynać nieuniknionej (zdaniem radzieckich przywódców) wojny z Niemcami od ówczesnej granicy polsko-radzieckiej. Rozdrażniony stanowiskiem Polaków premier Francji George Daladier zaproponował przywódcom radzieckim sojusz wbrew Polsce i zgodę na wejście wojsk radzieckich do Polski po jej zaatakowaniu przez Niemcy.

Przebieg rozmów upewnił Józefa Stalina w przekonaniu, że na wypadek agresji Niemiec na Polskę Zachód ograniczy się do wypowiedzenia Niemcom wojny, bez udzielenia Polsce zbrojnej pomocy. W konsekwencji strona radziecka 14 sierpnia 1939 r. w formie ultymatywnej uzależniła od stanowiska Polski swój udział w trójporozumieniu, a 21 sierpnia odroczyła pertraktacje bez ustalenia nowego terminu. W dwa dni później 23 sierpnia, przybyła do Moskwy delegacja niemiecka z ministrem Joachimem Ribbentropem.

„Mam świat w kieszeni" — triumfował Adolf Hitler, w rzeczywistości jednak (według opinii Churchilla) przechytrzył go Stalin, zyskując i na czasie, i na odsunięciu niemieckich pozycji wyjściowych o 300 kilometrów, przez przyłączenie do ZSRR ukraińskich i białoruskich terenów wschodniej Polski. „Były to kilometry — stwierdza Bittorf — przez które Hitler musiał przegrać, ponieważ nadmiernie wydłużyły one drogę jego armii do Moskwy".

Taki punkt widzenia prezentuje niemiecki publicysta! Myślę, że dobrze o tym wiedzieć.

EDWARD K.
(nazwisko i adres znane redakcji)

NIE POPEŁNIAĆ TYCH SAMYCH BŁĘDÓW!

Ponieważ w swoich artykułach dajecie dowody umiaru i rozsądku (tak teraz są potrzebne!), dlatego piszę do was w następującej sprawie. Przeczytałem w łódzkiej prasie rzecz, która mnie zbulwersowała. Skierniewicka „Solidarność" chce zająć budynek należący do ZW TPPR w Skierniewicach. Pragnę wyjaśnić, że tę moją interwencję podejmuję w imię interesów tegoż związku, z którym wiązałem i wiążę nadzieję na prawdziwą odnowę. Ale odnowę bez dawnej biurokracji, zaciekłej walki o stołki, budynki i inne akcesoria, które stworzą pozory działania i ważności. Pozorów najedliśmy się aż nadto! Pozorny dobrobyt, takaż demokracja, nie inna gospodarka, to już było. Nareszcie liczyć powinny się fakty, dokonania i postęp we wszystkim, co nas otacza, bo życie w grajdołku, jakim stał się nasz kraj, daje już efekty. Chętnych do wyfrunięcia z niego jest coraz więcej.

Niemoralny, mimo sympatii dla NSZZ „Solidarność", wydaje mi się fakt zabierania drugiemu jego własności. Henryk Sienkiewicz bogaty nie był. Ale gdy osiągnął sukces, społeczeństwo samo ufundowało mu pałacyk i na rękach go tam wniosło. PZPR zaczęła właśnie od budynków i etatów, i była to główna przyczyna jej przegranej. Jeśli „Solidarność" chce powtórzyć ten błąd, proszę bardzo, ale podejrzewam, że nie tylko ja nie będę już z nią sympatyzował.

A co do TPPR... Gdyby ode mnie zależało, mnożyłbym u nas instytucje i stowarzyszenia uczące mądrze przyjaźni, wiedzy o sąsiadach i szacunku do nich. Nigdy w tym nie byliśmy mocni. Jeśli kto mi nie wierzy, niech przeczyta mądry artykuł z ostatniej strony „Gazety Wyborczej" z 14.XI.1989 r., gdzie rozsądny autor wręcz nawołuje do konieczności uczenia się o życiu sąsiadów, co w przeszłości zastępowały nam tylko komunały i oficjałki. Jak więc widać pole do mądrych działań jest szerokie. Niestety, walka o budynki do niego nie należy.

JANUSZ ROSIŃSKI

P.S. Ewentualne honorarium proszę przekazać na PCK, a tak żartem mówiąc, najlepiej na Fundację Wspierania Zdrowego Rozsądku w Polsce!

PRAWDA O KINACH W ŁODZI JEST INNA

W „Odgłosach" nr 47 z 19 listopada 1989 r. ukazał się artykuł pt. „Kino na zakręcie", w którym autor usiłuje zapoznać opinię publiczną z kondycją łódzkich kin oraz określić kierunki i sposoby działania zarządu OIRF, jak i Rady Pracowniczej naszej instytucji.

Otóż, Marek Koprowski w swoim artykule zawarł wiele krytyki i ma do tego niezbywalne prawo. Moim jednak zdaniem ma również i obowiązki. Zanim odda się artykuł do druku wydaje mi się, że należy gruntownie zapoznać się z materią, o której chce się pisać. Wiele przytoczonych w artykule „faktów" jest delikatnie mówiąc nieprawdziwych, również wiele innych tendencyjnie przeinaczonych. Stwierdzenie „faktu", że jakoby nikt nie wie, ile kin objętych jest działalnością łódzkiej OIRF wystawia dyrekcji, Radzie Pracowniczej oraz załodze świadectwo niewiedzy i ignorancji. Przeciwko takim stwierdzeniom stanowczo protestuję. Czemu to autor nie pofatygował się na ul. Rysy 6 i nie spytał o to pierwszego lepszego pracownika, chociażby z działów rozpowszechniania czy też technicznego? Nie śmiałbym nawet sugerować wizyty u dyrektora bądź w Radzie Pracowniczej.

Marek Koprowski łaskawie przyznał, że trzy kina łódzkie „BAŁTYK", „WŁÓKNIARZ" i „IWANOWO" przynoszą zysk. To prawda, ale spieszę uzupełnić, że w wyniku bardzo dużego wysiłku pracowników programowania, w tym szczególnie dyr. S. Wdzięczaka przy zapewnieniu dla Łodzi atrakcyjnych tytułów, kin przynoszących czysty zysk jest 18, a nie 3.

Stwierdzenie, że jakoby opłaca się utrzymywać kina studyjne, jest z gruntu nieporozumieniem wynikającym z niewiedzy. Otóż, to nie kina studyjne są dotowane, a tzw. filmy preferowane wyświetlane w tych kinach. Polega to na odpisie procentowym od uzyskanych z nich wpływów biletowych. A że są to w większości arcydzieła polskiej i światowej kinematografii, bądź filmy trudne, przeznaczone dla wąskiej publiczności, to i dotacja ta jest niska. Gdyby rozpatrywać problem tylko od strony ekonomicznej, to kina te należałoby szybko zamknąć, bo się na nich traci, a nie odwrotnie. Na szczęście dla tych dwóch tysięcy fanatyków kina (polemizowałbym, czy rzeczywiście tak mało, a chyba mam jednak lepszą orientację) na razie kin tych nie mamy zamiaru zamknąć. (...)

Kina OIRF czy agencyjne przynoszące zyski pracują na tamte jednostki, dzięki czemu mogą one istnieć. Ważnym jest to, w jaki sposób poprawić, uprościć sposób działania takich instytucji jak OIRF, aby uzyskać realną obniżkę kosztów i realny wzrost wpływów. Słusznie Marek Koprowski stwierdza, że takie instytucje jak nasza są skrępowane w swoim działaniu czynnikami zewnętrznymi. Jednym z nich jest „Ustawa o kinematografii". Podam jeden tylko przykład: OIRF nie może np. wejść w jakąkolwiek spółkę bez zgody Komitetu Kinematografii. Ledwie wspomnę, że o uzyskanie takiej zgody jest niezmiennie trudno. Nasze wystąpienie o taką zgodę w grudniu 1988 r. niestety do chwili obecnej nie doczekało się odpowiedzi (nawet negatywnej). Na szczęście nowe kierownictwo kinematografii dostrzegło ten biurokratyczny dyktat i zapowiedziało nowelizację tej ustawy.

Całkowitym zaskoczeniem było umieszczenie w artykule informacji, że Rada Pracownicza, której przewodniczę, jakoby zamroziła decyzję dyrektora oddawania kin w agencję. Trudno dociec, skąd autor czerpał tego rodzaju informację. Jest to tendencyjne kłamstwo. Od czasu oddania kina „ZACHĘTA" w agencję Rada Pracownicza wyraziła zgodę na dalsze kina. „LUDOWE" w Ozorkowie, „BAŁTYK" w Łasku. Prowadzone są aktualnie negocjacje przekazania następnego kina deficytowego „HALKA" w Łodzi, kin „PRZYSZŁOŚĆ" w Poddębicach. Następne zgłoszenia chętnych czekają w kolejce do rozpatrzenia. Są to „ROMA" w Łodzi, „SYRENA" w Wieluniu, czy też „PIAST" w Sieradzu.

Słuszność wybranego kierunku działania w tym zakresie zapoczątkowanego w 1988 r. i kontynuowanego w 1989 roku potwierdzona została poprzez ogłoszenie przez obecny rząd potrzeby reprywatyzacji gospodarki. Tak więc nie tylko nie zamroziliśmy decyzji dyrekcji w tej materii, ale decyzje te przyspieszamy. (...)

Również nie jest prawdą jakoby Rada Pracownicza protestowała przeciwko oddawaniu kin w prywatne ręce z uwagi na niehonorowanie przez agentów biletów pracowniczych. W kwestii biletów pracowniczych leży gdzie indziej problem. Otóż w dobie przywracania normalnych stosunków ekonomicznych, koszt deputatu biletowego, jaki zgodnie z Układem Zbiorowym dla pracowników kinematografii należy się każdemu pracownikowi kinematografii, winien spoczywać na tej instytucji filmowej, której pracownicy z niego korzystają, a więc WFF, WFO, Semafor itp. Co powiedzieliby np. górnicy, gdyby zmuszeni byli do pokrywania kosztów deputatu węglowego przyznawanego wielu przecież zakładom pracy w Polsce. Marek Koprowski wypomina nam 680 milionów dotacji, a nie wiem czy jest zorientowany, że w chwili obecnej kondycja łódzkiej OIRF jest taka, że przy wyegzekwowaniu średniej ceny biletu za bilet pracowniczy nastąpiłoby zniwelowanie dotacji, a instytucja wyszłaby na czysty zysk około 100 milionów złotych.

Dziwi mnie również pewność Marka Koprowskiego, że wszyscy agenci kin — oczywiście poza „właścicielem" kina „PRZEDWIOŚNIE" — biorą kino na krótko i wyciskają pieniądze maksymalnie, bez większych nakładów. Czyżby wśród aktualnych agentów kin znalazł się tylko jeden sprawiedliwy? Czy to aby nie demagogia? A propos, od kiedy to pan Tomasz Filipczak jest właścicielem kina „PRZEDWIOŚNIE"? Rada Pracownicza oraz zapewne dyrekcja OIRF nic o tym nie wie. Nasuwa mi się jeszcze jedno pytanie. Czy tzw. „właściciel" kina „PRZEDWIOŚNIE" inwestując w kino poprzez przystosowanie części poczekalni pod pizzerię, a następnie jej wydzierżawienia, nie robi tego aby dla szmalu? Nic przecież za darmo.

Razi mnie również ignorancja autora w zakresie techniki. W system „Dolby", jaki będzie instalowany w kinie „BAŁTYK", wchodzi trochę więcej elementów niż tylko dwie diody, których niestety nie produkuje rodzimy „Prexer" ani też inne zakłady w Polsce. Gdyby było to takie proste, zapewne „właściciel" kina „Przedwiośnie" jako człowiek operatywny, te dwie diody zainstalowałby w wydzierżawionych od OIRF projektorach i byłoby to drugie po warszawskiej „Skarpie" kino z tym systemem w kraju. A tak między nami, radzę zmienić informatora, bo „wpuszcza w maliny".

I wreszcie sprawa oddania kina „ZACHĘTA" w agencję członkowi Rady Pracowniczej, a ściślej jego żonie. Otóż jest to moim zdaniem chwyt demagogiczny. Taki sposób podania informacji prowadzi Czytelnika do przyrównania do tak często dzisiaj spotykanej tendencji ludzi z tzw. nomenklatury do zapewniania sobie wygodnych posad w sektorze prywatnym za pomocą przejęcia, nie zawsze w sposób zgodny z przepisami, majątku narodowego.

Sprawa oddania kina „ZACHĘTA" w agencję rozpatrywana była od lutego 1989 roku. Rada Pracownicza zgodnie z przyjętą zasadą przejmowania kin w agencję przez pracowników OIRF w pierwszej kolejności, w sierpniu wyraziła zgodę na oddanie kina jednemu z pracowników. Pracownik ten dokooptował jeszcze dwie osoby (w tym żonę członka Rady Pracowniczej) i tym sposobem „ZACHETA" aktualnie prowadzona jest przez trzech agentów, a nie jednego, jak to sugeruje Marek Koprowski. A czy jest to naruszenie zasad współżycia społecznego? Myślę, że nie. (...)

JERZY CZWARNO

STANOWISKO STOWARZYSZENIA POLAKÓW POSZKODOWANYCH

Stowarzyszenie Polaków Poszkodowanych przez III Rzeszę Niemiecką Oddział Wojewódzki w Łodzi, w związku z artykułem J. Kwiecińskiego w „Odgłosach" z 22.10.89 r. przekazuje swoje stanowisko.

1. Autor artykułu nie skonsultował się w przedmiotowej sprawie z przedstawicielami Stowarzyszenia,

2. Treść artykułu w końcowych trzech akapitach nie jest zgodna z prawdą odnośnie działalności naszego Stowarzyszenia. Zarząd bowiem działał i działa, choć ostatnio musiał zrezygnować z funkcji informacyjno-rejestracyjnej, bo jak mógł działać i gdzie mógł funkcje te spełniać? Są przecież pewne granice wytrzymałości organizacyjnej w nienormalnych warunkach, w których mimo wszystko, kosztem zdrowia i nerwów starych ludzi, poświęcających swój czas dla zorganizowania Oddziału, zdołano zarejestrować dotychczas 36.000 osób.

3. Autor używa określeń i stwierdzeń obrażających cały Zarząd Oddziału. Zarząd bowiem manatków nie zwinął i nie znikł bez śladu, nie zostawiając nikomu żadnej informacji. O wszelkich poczynaniach Zarząd przekazywał informację w prasie codziennej. To nie, jak pisze J. Kwieciński nieudolność staruszków i brak rozporządzalności uprawnieniowej członków Zarządu jest przyczyną stanu rzeczy, lecz oporność władz w przydziale lokalu. Na to trzeba było tylko 19 miesięcy, aby wydać decyzję na lokal i to notabene wymagający remontu i adaptacji, nie mówiąc już o sprawie finansowania działalności Oddziału — koszty druków, usług pocztowo-telekomunikacyjnych itp.

Dziesiątki telefonów i bezpośrednie nachodzenie mieszkania prezesa jest ewidentnym dowodem czegoś wręcz przeciwnego.

4. Zarząd nie wnosi pretensji do poglądów autora, lecz do opisywanych faktów, odbiegających od stanu rzeczywistego, czym opinia publiczna wprowadzona była w błąd. Zarząd jest przygotowany koncepcyjnie i organizacyjnie do czekających go prac. Jedynym uwarunkowaniem jest lokal, w którym można by było przeprowadzać nie tylko akcję rejestracyjną, ale przede wszystkim weryfikacyjną.

Problem leży jednak nie w tym, czy wszyscy zostali już zarejestrowani, lecz w tym czy rząd RFN podejmie decyzje wypłaty odszkodowań. Realizacja odszkodowań mogłaby nastąpić dopiero po określeniu wszystkich poszkodowanych, a nie według zasady, kto pierwszy, ten lepszy. Jak dotychczas żadne decyzje w tej sprawie jeszcze nie zapadły, a wszelkie spekulacje w tym zakresie wywołują jedynie zbędne emocje. (...)

mgr ANTONI LIPIŃSKI
(Prezes)

MAM INNE ZDANIE

Ze zdziwieniem i zażenowaniem przeczytałem list Komisji Zakładowej „S" przy MBP im. L. Waryńskiego w Łodzi, zamieszczony w numerze 47 „Odgłosów". Dlaczego ze zdziwieniem? Otóż dlatego, iż taka zamiana patronów jest niepoważna dla samych projektodawców. Zresztą nie ma co nawet mówić o zamianie patronów, ponieważ gotowy gmach Biblioteki nigdy nie nosił imienia Marszałka. Obiekt od początku swego funkcjonowania nosi imię Ludwika Waryńskiego. Do tego należy dodać, że Biblioteki nie wybudowali przedwojenni kapitaliści, lecz powstała po wojnie za nasze pieniądze, wypracowane przez robotników łódzkich. Nie ma niczego uwłaczającego w tym, że Bibliotece nadano swego czasu imię L. Waryńskiego. (...)

Czy człowiek, który walczył o godność ludzi pracy nie zasłużył na to, aby uczcić jego imieniem taki obiekt jak Biblioteka? Czy L. Waryński był gorszym Polakiem od J. Piłsudskiego? Że nie dane mu było doczekać niepodległości Polski, to nie jego wina. Kiedy umierał zżerany przez gruźlicę w twierdzy szlisselburskiej, J. Piłsudski przebywał na zesłaniu. Obaj byli gnębieni przez tego samego wroga — przez rosyjski carat.

A dlaczego z zażenowaniem? Dlatego, iż określone struktury w naszym kraju popadły w swego rodzaju amok. Szeroko krytykują i potępiają kult jednostki, a sami nie są inni. Nikt nie neguje zasług Marszałka dla Polski, ale nie twórzmy takiego samego kultu, jak u wschodniego sąsiada, gdzie w każdym mieście jest pomnik Włodzimierza Lenina i po kilka obiektów nazwanych jego imieniem.

Następna sprawa, która mnie niepokoi — to koszty. Zmiana pieczątek, druków, ekslibrisów etc. to niebagatelna sprawa. Przecież nikt nie jest w stanie usunąć z tysięcy książek imienia L. Waryńskiego. (...)

Jest w Łodzi obiekt, który powstał przed wojną wybudowany ze składek społeczeństwa łódzkiego, jako DOM POMNIK im. J. Piłsudskiego. Członkowie Komisji Zakładowej „S" przy MBP im. L. Waryńskiego nie muszą o tym wiedzieć, gdyż w czasie kupna cegiełek na budowę DOMU POMNIKA nie było ich po prostu na tym świecie. Nie wspomniałem jeszcze, co to za obiekt. Otóż gmachem tym jest Łódzki Dom Kultury. Jeżeli mamy koniecznie nazwać imieniem Marszałka jakiś budynek, mieszczący szanującą się instytucję, to przywróćmy to imię Łódzkiemu Domowi Kultury. Na pewno wydźwięk społeczno-polityczny będzie korzystny dla wszystkich, a i koszty będą inne. (...)

EUGENIUSZ WOJECH

SDP WYJAŚNIA

W imieniu Zarządu Oddziału SDP w Łodzi uprzejmie proszę o sprostowanie mylnej informacji zawartej w artykule pt. „Co będzie z radiem?" („Odgłosy" nr 51 z 17.12.1989 r.) pióra Bogumiła A. Makowskiego.

SDP nie „proponowało" — jak pisze autor — kandydatury red. Zbigniewa Wojciechowskiego na stanowisko kierownika Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia. Opinię o kol. Z. Wojciechowskim na prośbę Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego przedstawiła w pierwszych dniach listopada 1989 r. grupa 14 członków SDP z Łodzi. Była to opinia a nie propozycja, ponieważ tylko w taki sposób stowarzyszenie zawodowe może być pomocne przy ocenie swoich kolegów dziennikarzy.

Była to wszakże tylko opinia grupy członków SDP, a nie stowarzyszenia, które dopiero 16 listopada 1989 r. ukonstytuowało swoje organy mające prawo występować w imieniu organizacji.

W przypadku zwrócenia się prezesa A. Drawicza do SDP o taką opinię o ewentualnym kandydacie na stanowisko kierownicze w Łódzkiej Rozgłośni, postaramy się to zrobić jak najrzetelniej.

Zostawmy to jednak przyszłości, a p. Bogumiła Makowskiego prosimy o każdorazowe jednak sprawdzanie informacji u źródła.

MAŁGORZATA GOLICKA-JABŁOŃSKA
(Sekretarz Zarządu Oddziału SDP)

WAŻNE DLA KLIENTÓW PKO

Odpowiadając na pytanie Stanisława Łukaszka dotyczące opłat z tytułu czynszu z rachunku oszczędnościowo-rozliczeniowego, uprzejmie wyjaśniamy:

Dyspozycje w sprawie przekazywania należności z tytułu czynszu składa właściciel rachunku. Bank PKO bez zgody właściciela nie może dysponować wkładem swojego klienta.

W chwili tworzenia przepisów odnośnie stałych zleceń z rachunków oszczędnościowo-rozliczeniowych „kont osobistych" tego rodzaju opłaty (np. za czynsz) były stabilne. Przypuszczamy, że zmienne opłaty czynszu są przejściowe i z czasem ustabilizują się.

Pragniemy poinformować, iż jedynie opłaty za energię i gaz, jak również telefon, realizowane są zgodnie z przesłanymi do PKO rachunkami, do czego zresztą klient upoważnia bank. Pozostałe zlecenia PKO może realizować tylko zgodnie z dyspozycją klienta. Każda zmiana kwoty zlecenia wymaga od posiadaczy „kont osobistych" poinformowania o powyższym PKO.

Wychodząc naprzeciw zapotrzebowaniu swoich klientów, PKO umożliwia (bez potrzeby osobistego udawania się do placówki PKO) przekazywanie wszelkiego rodzaju zmian dotyczących zleceń w formie pisemnej dyspozycji właściciela rachunku oszczędnościowo-rozliczeniowego i przesłanie jej drogą pocztową pod adresem właściwego Oddziału PKO, tj. Oddziału prowadzącego rachunek klienta.

WOJEWÓDZKI UNIWERSYTET ROBOTNICZY
90-360 Łódź, ul. Piotrkowska 232,
tel. 36-14-54

I N F O R M U J E,

że od dnia 1 stycznia 1990 r. przyjmuje od zakładów pracy

◄ **ZLECENIA** ►

na organizowanie kursów zmieniających kwalifikacje członków załóg zgodnie z potrzebami reformy zatrudnienia (przekwalifikowanie załóg).

Kursy prowadzone są przez doskonałych fachowców, w oparciu o znakomitą bazę techniczną, również na terenie zainteresowanych przedsiębiorstw, we wszystkich zawodach przy atrakcyjnych cenach.

Zgłoszenia będą przyjmowane w naszej siedzibie, pok. nr 5 lub telefonicznie.

57-k

ZDROWIA I POMYŚLNOŚCI w nowym 1990 roku P.T. Klientom życzy

PAŃSTWOWY ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ

Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego

drasa

producent atrakcyjnych wyrobów dziewiarskich w tym ubiorów sportowych uruchamia dalszą produkcję ekskluzywnych wyrobów.

W związku z uruchomieniem nowej produkcji ogłaszamy

◄ **NABÓR PRACOWNIKÓW** ►

w zawodach:

UKŁADACZKA

SZWACZKA

BARWIARZ

PRACOWNIKÓW DO PRZYUCZENIA w ww. zawodach.

Oferujemy wysokie zarobki oraz bogaty wachlarz świadczeń socjalnych.

Przedsiębiorstwo dysponuje wolnymi miejscami w hotelu pracowniczym.

Zainteresowanych prosimy o osobiste zgłoszenie się do Działu Osobowego w Łodzi, al. Kościuszki 23/25, tel. 32-99-24.

Zakład nie przyjmuje pracowników po porzuceniu pracy.

57-k

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE „FORM”

Spółka z o.o.
ul. Poli Gojawiczyńskiej 1/3
powstała na bazie
PPP „DĄBROWA”

O F E R U J E

◄ **WYROBY i USŁUGI** ►

w zakresie:

— wszelkiego rodzaju prefabrykaty betonowe i żelbetowe,
— stropy gęstożebrowe, nie wymagające szalunku do montażu ręcznego,
— wyroby i usługi ślusarskie, i zbrojarskie,
— beton towarowy,
— galanterię betonową typu:
pustaki, płyty chodnikowe, obrzeża trawnikowe, płyty „Jomb” itp.

54-k

tel. 43-50-30 centr. 42-81-75 wew. 47, 59

argus

MASZ PROBLEMY Z PROJEKTOWANIEM, WYKONAWSTWEM I INNYMI PRACAMI BUDOWLANYMI

◄ **SKONTAKTUJ SIĘ Z NAMI** ►

Wykonujemy m. in.:
— projekty (budynków przemysłowych, użyteczności publicznej, domków jednorodzinnych) we wszystkich branżach,
— ekspertyzy budowlane,
— porady prawne w sporządzaniu umów,
— kosztorysowanie,
— makiety architektoniczne,
— wszystkie prace budowlane.

Proponujemy atrakcyjne ceny i krótkie terminy.

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCJI HANDLU I USŁUG „ARGUS”
Spółka z o.o. w Łodzi, plac Zwycięstwa 1,
tel. 74-68-01, 74-08-84. 55-k

P R O P O N U J E:
8-DNIOWE WYJAZDY NARCIARSKIE
do
J A S T R Z Ę B I A Z D R O J U
ZA 400 TYS. ZŁ OFERUJEMY:

1. pobyt w hotelu „DIAMENT” — czterogwiazdkowy — do dyspozycji basen, lodowisko, kręgielnia, sauna,
2. śniadania i kolacje,
3. codzienny przewóz autokarem z hotelu do wyciągów narciarskich Wisły i Ustronia oraz bezpłatne z nich korzystanie, poza kolejnością.

Czekamy na Ciebie w naszym biurze —
Piotrkowska 137/139, tel. 36-21-42.

52-k

Ogłaszaj się w „Odgłosach”

Wojewódzki Uniwersytet Robotniczy

90 360 Łódź
ul. Piotrkowska 232
tel. 36 14 54

I N F O R M U J E

że przyjmuje zlecenia od zakładów pracy oraz zgłoszenia indywidualne, na następujące

◄ **KURSY:** ►

JĘZYKÓW:

— japońskiego, angielskiego, niemieckiego, francuskiego:
  — dla dzieci, młodzieży oraz dorosłych, w godzinach przed i popołudniowych,
  — dla początkujących i zaawansowanych,
  — przyspieszone, zwykłe, błyskawiczne oraz konwersacje;
— Przygotowujące na Politechnikę, Uniwersytet, Akademię Medyczną,

ORAZ

— Kierowników małej gastronomii,
— Bukieciarstwa,
— Kasjerów walutowych,
— Obsługi Fiata 126p,
jak również we wszystkich zawodach

MISTRZOWSKIE, KWALIFIKACYJNE

m. in.:
— diagnostów uprawnionych,
— spawania gazowego, elektrycznego, w osłonie CO_2 i Argonu,
— obsługi wózków akumulatorowych i spalinowych,
— dozoru i eksploatacji urządzeń elektroenergetycznych do 1 kV (na uprawnienia SEP)
— obsługi garażowych stacji paliw
— palaczy c.o. i obsługi węzłów cieplnych,
— legalizacji prędkościomierzy, drogomierzy i tachografów,
— mechaniki pojazdowej,
— BHP — podstawowe, okresowe, dla kadry kierowniczej, inżynieryjnej i służb BHP,
— obsługi butli gazowych i autoklawów,
— przyuczenia do zawodu w ramach OHP.

DOSKONALI FACHOWCY,
ATRAKCYJNE CENY.

Nie zaprzepaść swojej szansy.

Informacji udziela i zapisy przyjmuje sekretariat, pok. 5, tel. 36-14-54. 56-k

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO-SPRZEDAŻ

HAFTUJĄCY automat, nici, **maszyny** stolarskie — kupię 34-19-84. 63165-g

KURTKI teksas — sprzedam Łaznowska Wola 31, 97-160 Rokiciny, trasa Łódź — Tomaszów. 50g

PIANINO niemieckie tanio sprzedam 78-27-62. akcept 13655-g

ŚCIĄGACZ bawełniany dresowy — sprzedam. 43-61-27, wieczorem. 63712-g

CIŚNIENIOMIERZ komputerowy sprzedam. 57-73-50. 13683-g

FUTRA (kurtki) — sprzedam. 57-23-33. 13681-g

RUBIN 714, akordeon 120 basów — sprzedam 34-36-95. 63179-g

STOLARSKIE maszyny, surowiec, sprzedam 34-19-84. 63166-g

OVERLOCK — sprzedam 87-46-41. 61440-g

NIERUCHOMOŚCI

SPRZEDAM działkę Sokolniki 78-63-75. 13655-g

SPRZEDAM dom 5 mieszkań, działką 12 arów, Zduńska Wola, Porębska 12. 13126-g

RÓŻNE

KANCELARIA „Codex" Łódź Nawrot 2a podejmowanie działalności, sprawy podatkowe, wszelkie spółki, przedsiębiorstwa typu joint-ventures zapraszamy codziennie godz 17—19 prócz sobót 33-35-71. 10619-g

POJAZDY

PILNIE sprzedam samochód ciężarowy Jelcz 315 Chocianowicka 78A, 33-11-15. 63447-g

USŁUGI

PIELĘGNIARSTWO — dyżury, opieka, masaż — rehabilitacja 86-69-69. 64135

WTRYSKARKI — wolne moce, kooperacja 87-31-71. 59826-g

NAUKA-PRACA

STUDENCKIE Biuro Korepetycji ZSP UŁ. 32-29-65. 13431-g

ZGUBY

ANNA Knabe zgubiła legitymację studencką 17170 AM. 63456-g

PAWEŁ Siejka zgubił legitymację studencką 61043 PŁ. 63319-g

KATARZYNA Pietruszewska zgubiła leg. studencką 16895/L AM. 30-g

PAWEŁ Marciniak zgubił leg. studencką 69094 UŁ. 63392-g

BOGUSŁAW Fijałek zgubił zaświadczenie 531/H (wpis do ewidencji Łódź-Polesie). 63090-g

UNIEWAŻNIAM pieczątkę i zezwolenie „Lakiernictwo Samochodowe, Hanki Sawickiej 8, Stróża Kopeć Henryk". 63146-g

ALDONA Szymańska zgubiła legitymację studencką 16567 AM. 63094-g

ZGUBIONO pieczątkę „Spedytor 4236 PTHW nr 4". 63686-g

UNIEWAŻNIAM pieczątkę „Spedytor ładowacz nr 4169, PTHW-4 Łódź. 63489-g

Popołudniowe Przedszkole Baletowe przy Państwowej Szkole Baletowej przyjmuje dzieci w wieku od 6 do 10 lat. Proponowane zajęcia, prowadzone przez najwyższej klasy specjalistów z Państwowej Szkoły Baletowej:

— elementy tańca klasycznego
— elementy tańca ludowego
— rytmika
— gimnastyka wyrównawcza i ogólnousprawniająca
— język francuski

Zajęcia od 3.01. 1990 r. w środy i piątki w godz. 17—19, w salach Państwowej Szkoły Baletowej w Łodzi, ul. Wrocławska 3/5.

Dla młodzieży i dorosłych aerobic i studio tańca współczesnego w tym samym miejscu i czasie.

Zapisy przed zajęciami.

Szczegółowe informacje: Spółka z o.o. „TOMI" Łódź, ul. Wspólna 6 tel. 34-33-05

Spółka „TOMI" oferuje również montaż wszystkich typów anten satelitarnych tel. 34-33-05.

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE „THERMA" spółka z o.o.

W Y B U D U J E

na Twojej działce w ciągu 4 miesięcy

ENERGOOSZCZĘDNY DOM

Nowoczesna technologia na licencji RFN, kompletne wyposażenie — wysoka jakość materiałów

BUDUJEMY RÓWNIEŻ

1. **CHŁODNIE** z niezależnym układem klimatyzacyjnym 8x3x3 m w 3 tygodnie.
2. **HALE PRODUKCYJNE** w bezkonkurencyjnie krótkim terminie.

Informacji udziela się:

ŁÓDŹ, al. WŁÓKNIARZY 194/10, tel. 51-59-82, w godz. 9—15.

„ODGŁOSACH" ogłaszaj się w

1

Z przymrużeniem oka

To dziwne, ale niektórzy byli satyrycy nawołują teraz do powagi. Śmiać się podobno nie ma z czego i trzeba na wszystkie sposoby starać się pomagać rządowi, a nie błaznować. Czasy błaznowania skończyły się ponoć definitywnie. I rzeczywiście, najbliższa przyszłość nie zapowiada się optymistycznie. Tym bardziej nie jest to powód, by uśmiech miał zniknąć z naszych twarzy. Uważam, że wręcz przeciwnie!

Podejrzewam jednak, że znaczna część naszych satyryków jest nieodrodnymi dziećmi tego systemu; przez cały czas wykonując swój zawód szkolili się głównie w tym, jak najlepiej przyłożyć komu trzeba, ale tak, żeby było śmiesznie i cenzura przepuściła. I nagle teraz, kiedy już prawie wszystko wolno, załamali biedni ręce, bo po prostu inaczej nie potrafią. Proszę na przykład zastanowić się, jakie kabarety w powojennej Polsce pozostały i ciągle nadają się do oglądania i śmieszą nas. Moim zdaniem należą do nich „Kabaret Starszych Panów" i „Dudek", no może do tej ścisłej czołówki załapie się jeszcze jeden, dwa... i to byłoby na tyle.

Krótko mówiąc, polityka jest bardzo łatwym materiałem do obróbki, ale za to niezwykle niewdzięcznym, bo zmienia się zbyt szybko. I tak, twórca może włożyć wiele wysiłku i pracy w coś, co po miesiącu nikogo już nie będzie interesowało. Dotyczy to oczywiście nie tylko kabaretów, ale również filmu i literatury. Mógłbym wymienić przynajmniej kilka tytułów książek z obu obiegów, które w tej chwili mało kto czyta, a za pół roku być może mało kto w ogóle będzie o nich pamiętał. Rzecz jasna nie oznacza to również, że na kanwie polityki nie powstają dzieła wybitne. Nie jest to wszakże takie proste.

Kabaret polityczny ma jednak tę wadę, a zarazem zaletę, że kończy się wraz z epoką polityczną. Nic na to poradzić się nie da, trzeba natomiast szukać nowych środków wyrazu i nowych form, a nie namawiać do ogólnego smutku. Bo to w tej chwili wygląda tak, jakby impotent przestrzegał przed kochaniem się, bo to szkodzi na serce.

Obejrzałem ostatnio w naszej telewizji angielski film pt. „Kwadratura koła". Szkoda tylko, że był on nadawany tak późno i pewnie nie wszyscy mogli go zobaczyć. Ubawiłem się przy nim serdecznie. Pokazać Polskę między sierpniem 1980 roku a 13 grudnia 1981 roku w takiej formie mogli tylko Anglicy ze swoim specyficznym poczuciem humoru. Szczególnie zabawne były sceny spotkań kolejnych sekretarzy PZPR z towarzyszem Breżniewem, albo pijaczek komentujący niektóre ważne wydarzenia. Rozbawił mnie też moment, kiedy generał Jaruzelski, po tym, jak został wybrany I sekretarzem (skupia już wtedy w swoim ręku trzy najważniejsze funkcje), zadaje pytanie chyba Kulikowowi: czy to wszystko nie wyszło zbyt w stylu południowo-amerykańskim? I tak dalej i dalej. Można więc na sprawy nawet najbardziej poważne popatrzeć z lekkim przymrużeniem oka.

A swoją drogą ciekawy jestem, jak wiele osób poczuło się dotkniętych przedstawieniem naszej nie tak dawnej przeszłości właśnie w taki sposób. Sądzę, że będą tacy zarówno z jednej jak i drugiej strony, a także znaczna część tych stojących jakby z boku, a nie przyzwyczajonych (bo niby skąd?) do takiego pokazywania naszej, można w końcu już powiedzieć, historii.

Następnego dnia kolega pożyczył mi „Noc Generała" Gabriela Meretika (książkę tę niestety bardzo trudno jest kupić). Przeczytałem ją jednym tchem. Muszę powiedzieć, że jest to znakomita robota dziennikarska, po prostu dobrze napisany reportaż. I myślę, że tak autorowi „Nocy Generała" jak i twórcom filmu pt. „Kwadratura koła" nie chodziło o zagłębianie się w jakieś meandry polityczno-moralnych postaw niektórych bohaterów tamtego czasu, a o w miarę obiektywne i dokładne pokazanie ówczesnej rzeczywistości. I to chyba się udało.

A my powinniśmy wyciągnąć z tego wnioski i zrozumieć wreszcie, że i tak można pokazywać historię, z lekkim przymrużeniem oka, humorem i niedomówieniami, a wtedy komentarz w dużej mierze pozostanie dla czytelników i widzów. I o to właśnie chodzi.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

2

Nagle zastępstwo Grubą krechą

Początek roku sprzyja podsumowaniom i bilansom. Właściwie nie wiadomo czemu — oprócz zmiany kalendarza nic się szczególnego nie dzieje. Ale taki zwyczaj. Nawet w rolnictwie rok gospodarczy swoją drogą, a rok kalendarzowo-sprawozdawczy swoją. Poddając się zatem ogólnemu zwyczajowi dokonuję oto „samobilansu" i mam zaszczyt przedstawić Czytelnikom i odnośnym władzom sprawozdanie z mojej rocznej działalności na niwie (właściwie nie wiem czemu „na niwie" ale tak się mówi i szlus).

Wasz felietonista, proszę Państwa, jako człowiek zorientowany jako tako politycznie, miał zawsze ambicję nadążania za przemianami i dotrzymywania kroku. Toteż nikogo nie powinno dziwić, że stosuję jako maksymę twórczą aktualne hasła, płynące z najwyższych trybun i najznakomitszych złotych Ust.

Zgodnie z tą zasadą wkroczyłem w 1989 rok z kilkoma maksymami z lat poprzednich i starałem się je stosować zarówno w twórczości felietonistej, jak i w życiu osobistym. Pierwsze z nich brzmiało: *„Socjalizm tak, wypaczenia nie"*. Hasło jest stare cokolwiek i nieco wytarte. Na dodatek nieco się skomplikowała interpretacja tej maksymy. Ponieważ dokładnie nie wiadomo, co to jest socjalizm — jedni twierdzą, że nadzieja ludzkości, inni znów — a tych dzisiaj większość i sporo mają do powiedzenia — że to najdelikatniej mówiąc nieporozumienie. W tej sytuacji zupełnie już nie wiadomo co jest wypaczeniem tegoż socjalizmu? Dałem sobie spokój, sięgnąłem do hasła nieco młodszego, mianowicie: *„nie ma powrotu do sytuacji sprzed sierpnia, ani sprzed grudnia"*. To już było nieco bardziej pragmatycznie. Nie ma ani *„drugiej Polski"* ani *„drugiej Japonii"*. Ja na to idę! Uważny Czytelnik nie mógł w moich felietonach znaleźć ani jednego pozytywnego słowa z dziedziny podwójnej geografii polsko-japońskiej...

Potem przypomniałem sobie sławny bon-mot o tym, że *„wyżywi się sam"*. Owo krytykowane powiedzonko dotyczyło rządu, ale ja starałem się zastosować je do własnej sytuacji. Gdzieś tak do września 1989 r. udawało mi się. Ostatnio coraz częściej staram się, a to coś pożyczyć, a to znów wprosić się do znajomych lub krewnych. Sam się nijak nie mogę wyżywić i powoli się oglądam za zupką-kuroniówką...

Nie muszę przypominać, że cały czas pracowałem *„przy otwartej kurtynie"*: wszystko com zdołał napisać było publikowane w wysokim nakładzie. Oprócz tego, co opublikowałem nie zajmowałem się żadną twórczością tajną — nie pisałem nic *„do rąk własnych"* ani zwierzchników, ani komendantów odnośnych służb.

Patronowała mi także złota myśl o tym, że *„wszystko co nie jest zakazane, jest dozwolone"*. Ta niezwykle prosta — a to przecież cecha genialności? — myśl, uderzyła mnie do tego stopnia, że pisałem tak mniej więcej jak dotąd, ale doznawałem stale miłego uczucia, że oto nic zdrożnego nie robię, pisanie bowiem po gazetach oficjalnego obiegu jest absolutnie prawnie dozwolone! Taką wolność, panie dziejaszku, mamy! Bardzo to krzepiące uczucie, że oto człowiek jest zupełnie legalny i dozwolony...

„Światełka w tunelu", proszę Drogich Państwa, nie dostrzegałem. Przypuszczam, że to wina wady wzroku. Faktem jest jednak, że nie ja jeden — widać krótkowzroczność to nasza cecha narodowa.

Nie było dla mnie nowością hasło o *„stawianiu na nogi tego, co stało na głowie"*. Pochlebiam sobie, że ta przenikliwa myśl towarzyszyła mi już od dzieciństwa. Kiepska sprawność fizyczna nie pozwalała mi też nigdy stawać na rękach, a bywały sytuacje, że ta umiejętność przyniosłaby mi określone profity.

W połowie roku okazało się, że bardzo jest na czasie być *„...wszystkich Polaków"*. Ja bym, proszę odbiorców szanownych, bardzo chciał być felietonistą wszystkich Polaków, ale pismo, w którym mnie zamieszczają, nie ma aż takiego zasięgu. Zbieram teraz podpisy Czytelników oraz ubiegam się o poparcie Komitetu Obywatelskiego i Klubu Inteligencji Katolickiej abym, za łaskawym przyzwoleniem prezesa Andrzeja Drawicza, mógł czytać swoje teksty w wiadomościach TV. Jak się uda może będę felietonistą wszystkich Polaków?

Na koniec, składając Państwu najlepsze życzenia, odkreślam rok miniony *„grubą krechą"* i zaczynam nowy w duchu pluralizmu, zaczerniania *„białych plam"* i pod znakiem Orła Białego w koronie.

ANDRZEJ KAROL

3

Lewym okiem Druga Wenezuela?

Zasada, że każdej jednostce ludzkiej powinien przysługiwać identyczny udział w dorobku społeczeństwa, wulgarniej mówiąc, zasada „wszyscy mamy jednakowe żołądki", jest zasadą doktrynerską, dogmatyczną, nierealną. Zabija w człowieku chęć do wyróżnienia się w czymkolwiek, odbiera ochotę do pracy, czyni życie gnuśnym, bezbarwnym, byle jakim. Równie doktrynerskim i wręcz nieludzkim jest też pogląd, że każdemu należy się tyle, ile zdoła dowolnymi metodami zachapać, choćby to było tysiące razy więcej niż w przypadku jego najbliższego sąsiada. Zadaniem polityki społecznej państwa jest utrzymanie się w strefie umiarkowanej pomiędzy tymi dwoma biegunami. Jeśli państwo takiej polityki skutecznie nie prowadzi, to właściwie nie wiadomo po co istnieje.

Nasz kraj nie jest pogrążony w żadnej z obu sprzeczności, ale wydaje się, że zaczyna jakby grawitować w stronę tej drugiej, w stronę drastycznych, niczym nie umotywowanych nierówności społecznych. Spotyka się już niepokojące przykłady tego zjawiska.

Oto powstał w Warszawie hotel „Marriott" — nazywa się dziwnie, chyba to jest imię żeńskie, chociaż w swoich niezliczonych lekturach nigdy imienia takiego nie spotkałem. Ale mniejsza z tym. W hotelu tym, jak słyszeliśmy parokrotnie przez radio, butelka szampana, kosztuje milion trzysta tysięcy złotych, szklanka herbaty pięć tysięcy złotych, wstęp na bal karnawałowy — siedemset tysięcy od pary. W hotelu tym odbył się już raz wielki, ekskluzywny bal. Karty wstępu wyprzedane były do ostatniej, dochód przeznaczono na biednych, na bieda-zupki dla głodujących. Dochód ten przekazano ponoć w wysokości paruset tysięcy złotych, czyli równowartość kilkudziesięciu szklanek herbaty.

Ja pamiętam takie bale, po których wychodziły pięknie wystrojone damy, a gromadka zmarzniętych oberwańców stała po obu stronach wyjścia czekając na jakiekolwiek datki. Gapie przeganiani byli przez policjantów, bo psuli krajobraz po balu. Ja to pamiętam i nie kwapię się do oglądania po raz drugi.

Jakaś amerykańska firma zamierza w Warszawie w Wilanowie, bo to tak ładnie brzmi, zbudować komfortowe osiedle dla zamożnych polonusów wracających na starość do kraju. Domy będą od A do Z zbudowane i wyposażone w drobiazgi i różne techniczne udogodnienia żywcem z Ameryki. Będą tam korty tenisowe, baseny i zieleńce, sklepy obficie zaopatrzone w produkty całego świata, będzie też własna milicja pilnująca w osiedlu amerykańskiego porządku. Nie wiem, czy będzie też mur otaczający osiedle dokoła, wtedy nie różniłoby się już ono niczym od dzielnicy białych w przedrewolucyjnym Szanghaju. Ale i bez muru jest to, w moim pojęciu, impreza absolutnie kolonialna, powtarzająca wzory z niedawnej jeszcze przeszłości Tanganiki, Konga i Nowej Gwinei. I jak należy domniemywać tubylcy czyli mieszkańcy Warszawy, spoza dzielnicy polonijnej, będą mieli prawo wejść pomiędzy jej zabudowania tylko po to, żeby uprzątnąć śmieci.

Inna firma zachodnia buduje jednorodzinne domki, których cena, w przeliczeniu na dzisiejszą wartość dolara, będzie wynosić od stu pięćdziesięciu do dwustu milionów złotych. Takie domki nie załatwiają w niczym naszej kwestii mieszkaniowej, są już zresztą sprzedane na pniu, ale sprzedane przecież nie tym, którzy od kilkudziesięciu lat czekają na własne mieszkania. W wielu dyskusjach telewizyjnych, prasowych, radiowych, towarzyskich słyszy się kilkanaście razy dziennie „tak jest dobrze, bo tak jest na całym świecie, tak jest na Zachodzie". To jest używane jako ostateczny argument — tak jest na Zachodzie, przy czym mówiący ma prawie zawsze na myśli Republikę Federalną Niemiec i Stany Zjednoczone. Ale Zachód to także na przykład Szwecja, gdzie kilka lat temu zlikwidowano ostatnie prywatne szkoły, bo jak się chce mieć demokratyczne społeczeństwo to najbardziej demokratyczne i jednakowe dla wszystkich muszą być szkoły.

U nas zaczyna się na wielką skalę otwierać prywatne szkolnictwo twierdząc, że tak właśnie jest na Zachodzie. Zachód to także Wenezuela. Lech Wałęsa po powrocie stamtąd powiedział głosem pełnym przejęcia, że zaszokowany był nędzą i przepychem, jakie tam widział. Wenezuela to także Zachód, to kraj w stu procentach urynkowiony, pełen zagranicznych inwestycji, nie zniszczony żadną wojną i nie zagrożony przez potężnych sąsiadów. Nie mówmy więc: „bo tak jest na Zachodzie", już raczej mówmy, „bo tak jest w RFN". Ale wbicie się do poziomu tego kraju nie będzie łatwe, słowo daję. Obawiam się, że nasz „Zachód" będzie bliższy, nie daj Boże, Wenezueli.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

ALEKSANDER MINKOWSKI

Sekrety prominentów (6)

Rys. Janusz Szymański-Glanc

— Żeby mnie zjedli? — wyrwało się Naczelnemu i zaraz to skorygował: — Muszę dopełnić misji, Eminencjo. Nikt nas w tym nie wyręczy, nie doprowadzi dzieła do zwycięskiego końca.

— Pamiętasz swoje widzenie z brodatym prorokiem, za które wyrzucony zostałeś z seminarium? Waszą teorię myszy zjadły.

— Przeminął czas teorii — odparł sucho Naczelny. — Nawet na wiecach używa się jej z rzadka. Kocham mój lud. Wymuszam wariant optymalny.

— To znaczy?

— Naokoło układnie, a w środku ku przodowi. Nie ja nabałaganiłem w historii.

— Każdy to mówił.

— Droga jest okrutna, ale prowadzi w jasność — powiedział Naczelny. — Trzeba przejść próbę biedy, wytrzymać ciśnienie przy dnie. Potem się odbić. Jestem sługą mojego ludu, Eminencjo. Idę przodem. Po grudzie, po ugorach, przez ogień i wodę. Prawie nie sypiam, mało jadam, odpoczywam parę dni w roku i tylko na rozkaz lekarzy. Kto mnie zastąpi?

— Nadmiar męczeństwa, synu.

— Nie pragnę honorów ani epoletów. Mógłbym jeździć trabantem. Byle poderwać lud do twórczego działania, które zapewni mu powszechny dostatek. Potem choćby na krzyż, Eminencjo.

— Wszyscy kochamy lud — powiedział w zadumie Eminencja. — Nie pojedyncze sztuki, lecz jako całość, bogatą duchem i doświadczoną cierpieniem wielowiekowym. Każdy zryw ludu to wielkie marnotrawstwo energii, które później trzeba odchorować. Niby lepiej, a idzie w koszty. Po raz ostatni błagamy cię: odpocznij.

— A wam co do tego? — zapytał gniewnie Naczelny. — Już raz daliście mi popalić, wyrzucając z seminarium za przekonania. Nie wiadomo, kto by dzisiaj ogłaszał bulle...

— Bój się Boga, Rafał! — zawołał w przestrachu Eminencja.

— Wy się bójcie — odparł Naczelny. — Módlcie się do Niego, żeby mi pomógł.

— Sam się módl.

— Poglądy nie pozwalają.

Zeszli z wieży. Potem Naczelny odprowadził Eminencję do śmigłowca. Rozmawiali o tegorocznej pogodzie, która sprzyja warzywom, ale szkodzi zbożom, i o marynowaniu czosnku w czerwonym winie, co go pozbawia odoru zachowując smak i bakteriobójczość. Gdy helikopter odleciał, Naczelny na krótko połączył się z Remigiuszem Bardem. Zastępca zapewnił szefa, że wszystko idzie dobrze, na świetle kanikuła, bratni szefowie także na wakacjach.

— Z Luandy nadeszły dla was lubrowane limonki od tamtejszych przywódców.

— Pamiętają. Ładnie. Wyślij im karton winiaku lubuskiego. Pozdrowienia dla Leokadii.

Zakończywszy rozmowę, Naczelny przeszedł do saloniku rekreacji, pełnego rozmaitych przyrządów gimnastycznych, świecących niklem. Czekała tu na niego Laura w krótkiej białej tunice i pielęgniarskim czepku. Naczelny położył się, wyciągnął chude, owłosione nogi i ruchem brwi polecił Laurze brać się za masaż.

— Wierzysz we mnie? — zapytał w pewnej chwili, rozluźniony już i odprężony masowaniem, obserwując spod półprzymkniętych powiek czekoladowy od słońca biust sierżant Jaskulskiej, kolebiący się w rozcięciu tuniki.

— Służę szefowi — odparła, gniotąc mu stalowymi palcami umięśnienie ud, zwłaszcza musculus triceps i sartorius.

— Dlaczego donosisz?

Laura przerwała masowanie i popatrzyła na Naczelnego fiołkowymi oczyma naładowanymi zdziwieniem.

— Służę szefowi — powtórzyła. — Wszyscy tutaj służymy szefowi. Każde wasze słowo się liczy.

— Zapisujesz?

— Pamiętam. Inaczej bym się nie nadawała do tej służby. Zapisuję dopiero na wieczór, kiedy stawiamy się do raportu u dowódcy.

Naczelny wiedział to wszystko. Kiedyś sam nadzorował służby specjalne i ochronę kierownictwa, znał więc zasady i regulaminy, ale każdego nachodzi chwila, gdy zdaje mu się, że jest traktowany inaczej.

— Jak myślisz, Lauro, dlaczego nie układa nam się tak jak by mogło? — zapytał po kolejnej pauzie, wypełnionej błogością od coraz delikatniejszego masowania kruchych męskich okolic.

— Bydło nie ludzie — usłyszał mruknięcie sierżant. — Za dobrze mają. W Etiopii żrą suszone kaktusy i dobrze, a naszym dawaj kabanosy. Powinni szefa na rękach nosić.

— Nie czekam na wdzięczność. Chcę zrozumienia i współpracy. Wiesz, czego mi brakuje, Lauro? Bezwzględności Marszałka. Gdybym był jak on, wybilibyśmy się na mocarstwo. Żelazna konsekwencja i nieliczenie się z ofiarami, tylko tyle, Lauro, i jesteśmy mocarstwem. Mocarstwowość, Lauro, leży dziś na ulicy. Świat się rozregulował. Kto go weźmie za pysk, wychodzi na prowadzenie. Daj mi soku ogórkowego.

Dzbanek z dyskretną nalepką „DGE" — degustowane — stał obok na stoliczku, sierżant Jaskulska napełniła szklankę i podała szefowi. Patrzyła z rozczuleniem jak pije małymi łyczkami zielonkawy płyn.

Leonard Rem okazał magnetyczny kartonik niewidzialnemu kontrolerowi i system pozwolił mu wejść na terytorium Ośrodka. Wartownicy w trzech dalszych punktach kontroli, choć znali leśniczego, prześwietlali przepustkę na sprawdzaczach i dopiero po rozbłysku żółtego światełka salutowali aprobująco.

Major czekał na leśniczego nie opodal koparek. W milczeniu przeszli wzdłuż rowu, depcąc poharatane sosenki i brzózki, trupio zwiędłe gałęzie kasztanów i klonów, obnażone, jak kości, korzenie dębów, jeszcze usiłujące czepiać się ziemi. Dno rowu było martwe, bagniste, zryte koleinami. Las patrzył na dzieło koparek w niemym bezruchu.

Leonard Rem szedł leniwie, jakby sennie, z psem u nogi, który kopiował nastrój pana: był także rozleniwiony i senny. Wabił się Żul. Jego babka, dożyca, niepojętym sposobem skrzyżowała się z bokserem, a płód tego związku, suka, nader dziwna i przez to źle traktowana przez ludzi i psy, zniknęła na rok w puszczy. Ani chybi puściła się z wilkiem. Kiedy Leonard natknął się na nią, zdychała: dzik szablą rozciął jej podbrzusze. Obok konającej matki warowało zwierzę, tajemnicze, białoszarobrązowe, o pysku i posturze owczarka alzackiego, ale dużo odeń większe mimo swej szczenięcości. Był to dzieciak. Popłakał nad ciałem matki, zawył parę razy na jej pogrzeb, którą usypał leśniczy, i poszedł za nim, i już przy nim pozostał, choć Leonard nie próbował psa do siebie przywiązać. Pies czy wilk? Zwierzę domowe czy drapieżnik? Jeżeli wilk, to wiadomo, do lasu go pociągnie. Nie pociągnęło. Może musiał wybierać i wybrał budę na podwórku leśniczówki. Ale w puszczę zapuszczał się od czasu do czasu, ginął na tydzień, wracał wychudły jak kościotrup, spał dobę i znowu był psem. Rozumiał każde ludzkie słowo. Więcej: rozumiał bez słów — odcień uśmiechu, namarszczenie brwi, westchnienie, bezruch. Żul był przeznaczeniem Leonarda. Zwierzęta mają również aureole. Aureola Żula była toczka w toczkę taka, jak pierścień wokół głowy leśniczego. Nieraz porównywał w lustrze świecenie ich obu i nadziwić się nie mógł, albowiem nikt ze znajomych mu ludzi nie świecił złociście z dodatkiem kremowego różu. Takie świecenie widuje się czasem na starych ikonach, odmalowane przez słynnych mistrzów.

— Nie zadręczaj się — mruknął Major. — Gorsza rana zarasta.

— Boli.

— A ty co? — zirytował się dowódca Ośrodka. — Ma nie boleć? Musi być słodko? Kto ci to przyrzekał, leśny człowieku? Ciebie boli głupi rów, no i niech cię boli, nas zadręczają sprawy dużo trudniejsze. Jak tam modrzew?

— Schnie.

— Zrób coś, żeby schł szybciej. Brygida mnie męczy o boazerię.

— Polowania jutro może nie być — powiedział po pauzie Rem i sam się zdziwił; Żul szczeknął twierdząco, otarł się łbem o biodro leśniczego.

— Znowu zaczynasz z półwyspem? Nie szantażuj, Remie, my nie jesteśmy strachliwi. Ma być jutro polowanie i polowanie będzie. Szef strzeli największego dzika. Potem na twoim podwórku pojemy myśliwskiego bigosu z kotła.

— Moje podwórko, ale nie mój bigos — uśmiechnął się leśniczy, drapiąc Żula za uchem. — Ja na swoim podwórku lubię bigos z kapusty ukiszonej w beczce, z grzybami, wędzonką od Rudaków, z kawałkami różnego mięsa, co się uzbiera przez jakiś czas, z plastrami zwyczajnej i to wszystko na pomidorach, z dodatkiem wina domowego, i żeby był ze trzy razy podgrzewany....

— Nie gadaj — przerwał mu Major. — Ślinka cieknie.

— Wasz lepszy. Tylko kwestia gustu. W waszym bigosie eksportowy bekon, szynka „Krakus", krakowska sucha, drobno siekane kabanosy, polędwice różne i na okrasę kapusty co nieco wyselekcjonowanej, podlanej koniaczkiem francuskim. Sam patrzyłem, jak kuchmistrz komponował. Artysta!

— Kpisz — mruknął Major. — A nas obowiązuje receptura zatwierdzona w Centrali. Każdy składnik osobno zdegustowany i po raz drugi degustacja całości przez pana Waldka, naszego przysięgłego degustatora, co najmniej godzinę przed konsumpcją.

— Nie mogliby żyć jak ludzie? — zapytał Rem cicho, zapatrzony w kotlinę, ku której zmierzali obaj.

— O niczym innym nie marzą — odparł Major. — Głową ręczę, że szef, jak wilk, rzuciłby się na przypadkowy ogórek czy sklepową kiełbasę, już nie mówiąc o chlebie i mleku.

— To nie rozumiem.

— Proste. Naczelny nie jest zwyczajnym człowiekiem, jak ty czy ja. Jego życie należy do ludu. Nie ma prawa ryzykować nim, jedząc sklepowe, które mogli podtruć. Starczyłoby wstrzyknąć przez kapsel jadu do mleka albo wbić w chleb zatrutą igłę.

Leśniczy Rem potknął się o brzozową szczapę, białą i jeszcze wilgotną od soków, z pozwijanymi strzępkami kory. Koparki, po krótkiej przerwie, eksplodowały rykiem i ruszyły do natarcia, wywracając drzewa, mijając podściółkę gąsiennicami. Rem zobaczył rzekę, jak wpada w jezioro. Zobaczył spękane pola, zwiędłą nad buraczaną, oklapłą pszenicę. Ale to był obraz wymyślony. Leśniczy na moment opuścił powieki i wtedy z zewnątrz naszedł go obraz koparek, zasypujących leśny rów. Zazwyczaj sprawdzały się wizje, które oglądał przy zamkniętych oczach. Kto jednak wie? Czasy stają się coraz bardziej szalone, jasnowidzenia objawiają się w paru wersjach, falują i rozmazują się, nie wiadomo, która prawdziwa.

— Będzie jadł przypadkowe ogórki. Niedługo już.

— I ja mu tego życzę — powiedział Major. — Fachowcy pracują nad tym. Superczułe wykrywacze, na odległość. Jeśli brzęczyk nie dźwięknie, można jeść.

Rem zatrzymał się na owalnej polance oprawionej w świerki:

— Tutaj ich rozstawimy.

Major wskazał na samotne stare drzewo, stojące z osobna, jakby potrzebowało więcej słonecznego ciepła i blasku dla swych poskręcanych reumatycznie konarów.

— Naczelny tam — powiedział. — Żebyśmy go mieli na oku. Pozostali nieco przed nim. Nagonkę puścisz z kierunku północno-wschodniego. Dziki dowieźli?

— Są.

— Tylko pamiętaj, mają się ruszać. Tamtym razem głupiec by poznał, że chore sztuki.

— Nie poznali.

— Wiesz co? — Major zaśmiał się. — Nim wypuścisz z klatek, daj terpentyny pod ogon. Pójdą jak pioruny.

Wyjął z kieszeni popiskujący radiotelefon. Głos nieco odkształcony zameldował Majorowi, że w Bartach zatrzymano agitatorów.

— Ilu?

„Dwóch i baba".

— Temat?

„Rzeka. Podjudzanie ekologiczne. Że ziemia wyschnie i chłopi pójdą z torbami. Pokazywali jakieś ekspertyzy. Pod kościołem, po nabożeństwie. Zebrał się tłum. Społeczeństwo zaniepokojone".

— Coście zrobili?

„Zgodnie z instrukcją. Grzeczne zatrzymanie i przesłuchanie na posteruniku. Można im zrobić kolegium za zakłócanie porządku publicznego".

— Nie tutaj. Pędźcie precz. Niech się stąd wynoszą.

„Nie chcą opuścić Bart. W tym sęk, szefie. Jacyś fanatycy, szczególnie baba. Żądają, żeby ich przyjął Naczelny".

— Zrozumiałem. Pod eskortą do autobusu i dopilnować.

„Rozkaz".

— Puśćcie niby od siebie, że źle trafili. Naczelny odpoczywa w górach, pod Tatrzańską Łomnicą, stąd odleciał przed tygodniem.

„Tak jest, szefie".

Major schował do kieszeni kurtki mikrotelefon. Leśniczy Rem wyglądał na zafrasowanego. Patrzył w ziemię.

— Co znowu? — spytał Major.

— Nic...

— Jeżeli rozmyślasz o Brygidzie, to ja cię ostrzegam — mruknął Major ku własnemu zaskoczeniu i ku jeszcze większemu kontynuował: — Kombinujesz, Leonard, żeby się z nią spotkać, ja to dobrze wiem, chcesz wykorzystać moje przejściowe niemoce, a może urok na mnie rzuciłeś? Przyznaj się lepiej!

— Jaki urok? — zapytał cicho leśniczy.

— Bez zgrywy, dobrze?

Żul warknął ostrzegawczo. Nie lubił, gdy takim tonem zwracano się do jego pana. Szarobura sierść zjeżyła mu się na grzbiecie. Rema ogarnął smutek aż do bólu w piersiach, westchnął, przejechał palcami po czarnej mierzwie włosów.

— Trochę jest tak jak myślisz — powiedział. — Przed snem ją widzę każdego wieczoru. Kiedy człowiekowi nie uda się życie, rozgrzebuje przeszłość. Pewnie bym nie był z Brygidą szczęśliwy, ale nie wiem tego.

— Dlaczego miałbyś nie być? — zapytał Major. — Ja jestem.

— Z nikim nie byłbym szczęśliwy. Mam w sobie swoje nieszczęście. Smutek zawsze przychodzi ze środka, kiedy się dużo wie, a nic nie rozumie. Człowiek się jednak łudzi. Więc przyjemnie sobie wyobrazić, że z Brygidą...

— Ty sobie moją żona gęby nie wycieraj — przerwał mu Major. — Myśl o innych babach.

— Przepraszam — wymamrotał leśniczy, czerwieniejąc. — Nie zrozumiałeś.

— I nie chcę. Trzymaj się od nas z dala. A urok lepiej odczyń, bo potrafię zaszkodzić.

— Nie rzucam uroków, ani nie odczyniam. Wierzysz w takie głupoty?

— Inni też mają mnóstwo na głowie, a im staje — powiedział Major, nie patrząc na Rema. — Nawet starsi ode mnie.

— Pij esencję z kminku. Szklankę przed snem.

— Sypiam dobrze.

— Przed pójściem do łóżka z Brygidą. Będzie ci grał jak dzwon. Łyżka stołowa kminku na szklankę wody i gotować przez kwadrans na małym ogniu, pod przykryciem.

— Dziękuję, Leonard. Tylko nie mów nikomu, że ja... Nerwy. To mnie zżera. Za duża odpowiedzialność.

— Więcej dystansu, Marian — doradził leśniczy. — Nie trzeba się przejmować.

— Gdyby Naczelnemu włos z głowy spadł, odebrałbym sobie życie — wyznał Major.

— Ty go kochasz? — zaciekawił się Rem.

— Człowieku... Dwa razy w boju życie mi uratował. Spod kul niemieckich pod Strzerzyszynem i z ognia w Warce. Nie opuścił i później, kiedy miewałem różne kłopoty. Ja za niego na śmierć!

— To ładnie — pochwalił leśniczy. — Jemu najpierw wypuścić tego dużego dzika?

— I uprzedzisz krótkofalówką, że duża sztuka idzie prosto na Naczelnego. Żeby inni nie ubiegli.

— A jak spudłuje?

— Mógłbym ukryć nad nim w konarach wyborowego strzelca — powiedział Major — i nieraz tak robiłem dla zagranicznych gości, ale Naczelny nie pudłuje.

— Różnie bywa.

— Muszę w niego wierzyć — odparł Major, patrząc przed siebie na sielankową biel i zieleń młodziutkiej brzeziny, przesłaniającej rozbój koparek w nieodległym parowie. — Człowiek bez wiary to roślina.

— Dąb czy bluszcz? — Rem zaśmiał się bezgłośnie.

— Cynik z ciebie. Gdyby mój Naczelny nie trafił dzika, będzie to wina wiatru albo broni. Żal mi ciebie, że w nic nie wierzysz, ani w nas, ani w tamtych. Mamy to w kartotece, sprawdzamy okresowo. Pewnik.

— To dlaczego wolno mi tutaj pracować?

— Pracuje się nie na wiarę, tylko dla pieniędzy — powiedział Major, nie dostrzegając własnej niekonsekwencji, a może było to konsekwentne. — Jesteś fachowcem, znasz las i nie ma w tobie fanatyzmu. Każdy by cię zatrudnił.

— Mogliby mnie zatrudnić tamci.

— Zapomniałem jeszcze dodać, że jesteś uczciwy. Mamy to sprawdzone.

— W takim razie ja tu czegoś nie rozumiem — powiedział leśniczy. — Przecież ty wierzysz.

— Ale przede wszystkim jestem fachowcem — odparł Major. — Poszczęściło mi się i mam to zharmonizowane. Wiarę z obowiązkiem. Byłoby dobrze, gdyby dziki dla reszty nie różniły się między sobą.

— Którego boisz się najbardziej? — zapytał, uśmiechając się, Rem.

— Nie strach — odparł Major. — Dla nich wszystko ma znaczenie. Nie wyobrażasz sobie, Leonard, na ile można podzielić włos. A ja mam obowiązek chronić ich przed stresami.

Rem przymknął oczy. Usłyszał harmider zbliżającej się nagonki, trzask pękających gałązek, potem zobaczył dzika, jak wybiega na polanę i pędzi prosto na starą samotną sosnę, za którą czeka Naczelny ze sztucerem gotowym do strzału. Ale strzał nie pada. Coś dzieje się na przeciwległym skraju polany. Dźwięczny głos kobiecy, jakieś opary, może dym...

— Nie rozumiem — mruknął.

— Co tu rozumieć? — powiedział Major. — Wyższa szkoła jazdy. Jakby każdy grał z każdym na dziesięciu szachownicach i każdy chciał mieć sędziego po swojej stronie, a sędzia też gra, tylko z kimś innym, piętro wyżej. To nie dla nas, Rem.

Dwa krótkie dzwonki pośrodku nocy zbudziły sierżant Jaskulską. Spała nago. Dwa krótkie dzwonki znaczyły, że powinna mieć na sobie długą nocną koszulę, flanelową i bez dekoltu, najlepiej w kolorze różowym. Włosy rozpuszczone, luźno opadające na ramiona. Zapach zielonego jabłuszka.

Zerwała siatkę z włosów, spryskała się wodą pod pachami, rozgryzła szybko miętowy cukierek. Nie zapalając świateł na korytarzu, bocznymi schodami weszła na piętro. Po dwóch krótkich dzwonkach droga zawsze była wolna, dyżurny drzemał w fotelu za biurkiem, drzwi do sypialni uchylone.

C.D.N.